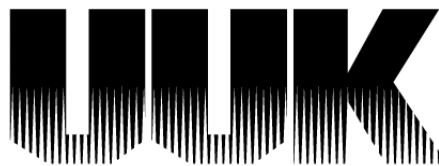


BOHDAN PETECKI

STREFY ZEROWE



QUALITY = BOOKS

Rozdział 1

W Kręgu Psychotronu

Biały żetonik drgnął mi nagle w dłoni. Omal go nie upuściłem. Rozwarłem palce i przyjrzałem mu się. Za matową osłonką pulsowało mleczne światełko. W sekundowym rytmie, jakby zachęcając do pośpiechu. Płaski, biały trójkącik. Tak płaski, że należało go trzymać opuszkami palców. Pojęcia nie miałem, jakim cudem zdołano wewnątrz tego maleństwa coś jeszcze umieścić. Coś, co świeciło i wprawiało żetonik w rytmiczne drgania. Zabaweczka. Do niedawna dawała uczciwe, plastikowe bilety. Te trójkąciki musieli wykombinować w ostatnim przyptywie natchnienia, kiedy skończyła się rywalizacja planetarnych biur podróży. Nie dlatego, żeby któreś z tych biur, dzięki technikom reklamy i ich sztuczkom, jak ta z żetonikami, zepchnęło na ślepy tor całą konkurencję. Po prostu ludzie przyzwyczaili się żyć spokojnie. Kto nie musiał, nie opuszczał Ziemi. Setkom luksusowych dworców pasażerskich pozostały na pociechę wycieczki szkolne, załogi baz planetarnych czy też satelitarnych, ekipy specjalistów i tacy jak ja. Nie należący do żadnego ze światów. Ale dla takich jak ja nie wymyślaliby białych żetoników, drgających i migających mlecznym światłem na znak, że czas już udać się na pole startowe.

* * *

Wstałem z ogromnego, pomarańczowego fotela, który natychmiast wypełnił się powietrzem, przybrał kształt kuli i potoczył w róg hali jak lekka, plażowa piłka. Trzy miękkie, bezszelestne eskalatory biegły w stronę tunelu. Każdy z nich był pomalowany na inny kolor. Wybrałem biały. Chociaż słowo „wybrałem” brzmi tu naiwnie. Osobista aparatura korekcyjna mogła sama porównać moje skojarzenia wzrokowe z barwą żetonika. W odróżnieniu od innych ludzi zdarzało się nam nie

wiedzieć, czy robimy coś w wyniku własnych przemyśleń, czy też akurat działamy pod dyktando tej modulowanej diody laserowej wielkości staroświeckiej zapalniczki, jaką każdy z nas nosił w kołnierzu skafandra. Nazywaliśmy tę aparaturę „butlerem”. Działała niezawodnie i dyskretnie. W gruncie rzeczy często zapominaliśmy o jej istnieniu.

Eskalator wpłynął do kishkowatej pochylni wypełnionej matowym światłem. Wszystko tu było idealnie gładkie i bez wyrazu. Jak plecy niemowlęcia. Gdyby na tym dworcu wylądowali kiedyś przybysze z przestrzeni, otrzymaliby od razu syntetyczny obraz naszej cywilizacji. Łagodnej i bezkontrastowej. Przynajmniej na oko.

Musiałem się uśmiechnąć do tej myśli. Hiss miał rację. Nie wszystko było ze mną w porządku. Stale przychodzi mi do głowy coś spoza programu. I to bez sprzeciwu ze strony automatów korekcyjnych. A nawet komputera kadrowego w centrali. Jakby selektory informacji obiegających sprzężone ogniwa naszych pól mózgowych i psychotronu nagle wyłączały jedną lub kilka sekcji.

To oczywiście niemożliwe. Komputer był niezawodny. A gdyby w jego superprecyzyjnej sieci powstały jakieś luki, Hiss nie byłby w stanie nic wywęszyć. Po prostu mieściłem się w granicach tolerancji.

Nie ma doskonałej stymulacji nawet w stosunku do automatów, pozbawionych śladu białka. Ostatecznie mogli i nam zostawić margines. Zresztą pal ich sześc. Cóż stąd, jeśli swoją względną swobodę zawdzięczam jedynie defektowi programu? Kosztował mnie trzy tygodnie pracy. Ale nie usunięcie defektu. Wprowadzenie.

Co tu zresztą mówić: defekt. Musiałem podmienić osobistą aparaturę. Na cały czas przeprowadzanej operacji. Musiałem obliczyć zależności. A wszystko po to, żeby zapamiętać miłość do dziewczyny, która kochała już innego.

* * *

Miłość. Jak to inaczej nazwać? Nawet jeśli kształtowała się jako proces... bo ja wiem, jak go nazwać? Chyba poznawczy. Bez wszystkiego, co ludziki nazywają wzruszeniem. I co bywa pobudką ich działania. Na to nikt by mi nie pozwolił. A najmniej ja sam. Ostatecznie byłem członkiem Korpusu Informacyjnego.

Byłem nim naprawdę. Czułem tę więź każdym ułamkiem upływających sekund, w jakich mój mózg przetwarzał, a w każdym razie mógł przetwarzać, dwukrotnie więcej informacji niż bywało to udziałem najtęższych umysłów nie sprzężonych z psychotronem naszej centrali. Słowem, wszystkich mieszkańców Ziemi, poza tym tysiącem istot figurujących w rejestrze inforpolu. Tak nazywano Korpus

przez skojarzenie, nie wiem, czy najszcześniejsze, z jakąś organizacją czy instytucją porządkową, rozwiązana sto lat temu. Mniejsza z tym. Itia wiedziała, o co chodzi, ale Itia jest historykiem. Tak czy inaczej każda myśl, każde drgnienie mięśnia mówiły mi, kim jestem. Czulem wyważoną, sprężystą siłę własnego ciała, z którego przez lata ćwiczeń zrobiono idealny instrument i niemal idealną broń.

Aparatura psychotronu mieściła się w głównym gmachu centrali, na szczycie łagodnego wzgórza, noszącego nazwę „Dzwonnica”. Może stał tam kiedyś kościół. Albo jakaś strażnica. W każdym razie nazwa wzgórza kojarzyła mi się zawsze z letnim, niedzielnym przedpołudniem i przeciągłym dźwiękiem dzwonów, niosącym się nad bezludnymi wrzosowiskami. Co najśmieszniejsze, zasięg aparatury zamykał się w kole o promieniu trzydziestu kilometrów. Niewiele dalej niż przy łagodnym, sprzyjającym wietrze docierać mogły płynące z tego wzgórza dźwięki dzwonów. Jeśli rzeczywiście stała tam kiedyś dzwonnica.

Poza kręgiem psychotronu pozostawały jeszcze sprzężenia z osobistą korekturą homeostazy oraz z zespołami diagnostycznymi. Zapewniały nam one w każdej sytuacji autonomię układu nerwowego i informowały o wszystkich procesach zachodzących w organizmie, czy człowiek był ich akurat ciekaw, czy nie.

* * *

Eskalator wbiegł do podziemnej pustej hali, przypominającej kształtem ogromną beczkę. W kolistej ścianie świeciły kabiny wind. Zstąpiłem na miękką posadzkę i nie słysząc własnych kroków przeszedłem do szybu. Tuż za mną podążało dwóch facetów, podobnych do kuchcików w swoich cienkich, przezroczystych skafandrach. Piloci. Na głowach mieli tylko siatki antenowe, jakby utkane z pajęczyny. Wszedłem do kabiny, odwróciłem się i oparłem plecami o świecąca ściankę. Teraz dopiero spostrzegli, z kim mają do czynienia. Myślałem, że nogi pogubią, tak szybko przenieśli się do sąsiedniej windy. Ale dawno już minął czas, kiedy podobne reakcje ludzików bawiły mnie czy nawet sprawiały przykrość.

Chodnik dojazdowy, na powierzchni, był w ruchu. Znowu miałem ich przed sobą. W pewnej chwili jeden z nich, niższy, odwrócił się i musnął wzrokiem mój emblemat na lewym ramieniu. Twarz mu pociemniała, wspiął się na palce i powiedział coś drugiemu do ucha. Zaraz potem obaj postąpili kilka kroków do przodu, pomimo że chodnik posuwał się całkiem szparko. Piloci. Nawet oni.

Chodnik kończył bieg kilkanaście metrów przed stanowiskiem startowym promu orbitalnego. Przy wejściu na trap stał dryblas niewiele niższy ode mnie, w eleganckiej czapce i srebrnym skafandrze. Wyglądał jak karykatura króla ryb ze sta-

rych książek dla dzieci. Podałem mu żetonik. Wziął go ostrożnie, jakby się bał skaleczyć, obejrzał nieufnie i spojrzał na mnie z wyrazem szczerego osłupienia.

— Bilet? — bąknął.

— Na to wygląda — powiedziałem cicho, patrząc prosto przed siebie. — Coś się nie zgadza?

Zreflektował się natychmiast.

— Oczywiście... — wymamrotał — wszystko w porządku. Mógł pan jechać bezpośrednim, prosto na płytę — mówił szybko, więcej niż uprzejmym tonem. Była to uprzejmość, jaką okazuje się nie lubianemu profesorowi, który ma nas egzaminować.

Nie odezwałem się. Boy. Także relikty ery turystyki.

Oczywiście, że mogłem jechać prosto na płytę. Mogłem wylądować pociągiem załogowym koło trapu i wsiąść do promu bez jednego słówka. Mogłem na dobrą sprawę wszystko. Jak każdy z nas. Było nas tylko tysiąc na te paręnaście miliardów ludzi. A to, czego nie mogłem i tak nie przyszłoby mi nigdy do głowy, I co z tego? Tym bardziej wolno mi chyba przyjść jak każdemu innemu, kupić bilet i zafundować sobie całą tę ceremonialną procesję. I żadna ryba z błazeńską czapką nie powinna się tym interesować.

* * *

Prom był starym pudłem. Jego chemiczne silniki pracowały tak głośno, że w kabinie zaległa nagle głucha cisza, cisza, jaka w ogóle nie zdarza się w naturze. Ilość decybeli przekroczyła widać wartość krytyczną, co automatycznie unieruchomiło fonty. Każdy z nas nosił te głośniczki wszyte w skórę, za uchem. Kiedy natężenie dźwięków dochodzących z zewnątrz przekraczało dopuszczalną barierę, fonty zaczynały emitować fale zsynchronizowane z falami hałasu. Bez względu na jego źródło.

Nic dziwnego. Najzwyklejsza w świecie interferencja. Ale faktem jest, że te lipicie odbiorniki i nadajniki równocześnie, odegrały doniosłą rolę w dziele przewycięzania ubiegłowiecznego kryzysu cywilizacyjnego. Obliczono, że połowa masowych samobójstw, plagi dwudziestego pierwszego wieku, była popełniana przez ludzi dotkniętych psychozą, której źródeł doszukano się we wszechobecnym hałasie. Tylko, jak to zwykle bywa z uzdrowiaczami, popadli oni ze skrajności w skrajność. W każdym kiosku można było kupić aparacik, który tłumił wszystkie, nawet najcichsze dźwięki, odbierane przez ludzkie uszy. W efekcie powstały nowe psychozy, równie groźne. Ludzie stawali się apatyczni, wpada-

li w melancholię, dostawali obłądu. Wreszcie skonstruowano fonty, na zasadzie złotego środka. Każdej żywej istocie potrzebne jest tło akustyczne.

Dlatego z ulgą powitałem moment, kiedy na ekranie pojawiła się pierwsza radiolatarnia stacji satelitarnej. Dwie minuty później prom zastopował. Konstrukcja stacji przestała się powiększać. Kłapa wjazdu transportowego opadła na pomost. Spod niego, jak wyrosłe z przestrzeni, wyłoniły się wysmukłe stalowe palce, zakończone spiralami magnesów. Ostatnie piętnaście metrów drogi. Jej pierwszego etapu. Wjazd zamknął się za nami.

Odczekałem chwilę i kiedy ostatni z nielicznych pasażerów opuścił kabinę promu, wyszedłem na peron. Stąd przez otwartą na oścież komorę służby widać było czarną walcowatą halę poczekalni. Jej strop, pomalowany w czarno-błękitne pasy, kłuł oczy tysiącami kolorowych światełek. Miało to zapewne naśladować nieboskłon. Ale nie było takiego miejsca we wszechświecie, skąd nieboskłon przedstawiałby się równie przeraźliwie. Ktoś, kto to wymyślił, oczywiście z nadzieją dogodzenia turystom, z pewnością dał dyla natychmiast po zakończeniu dzieła, w obawie przed zemstą załogi stacji, która musiała tutaj pracować.

Wzruszyłem ramionami, przekroczyłem wysoki próg służby i wszedłem do środka.

Zatrzymałem się pod plastikową palmą, blisko wyjścia na przeciwległy peron. Jedno, co tu było miłe, jak zresztą we wszystkich obiektach orbitalnych i w ogóle pozaziemskich, to atmosfera. Czterdzieści procent tlenu i sześćdziesiąt helu. Trudno pojąć, jak udało się naszej staruszce urodzić organizmy wyższego rzędu, z tą jej odrobiną tlenu oraz azotem źle przewodzącym ciepło i nadającym się do wszystkiego, tylko nie do oddychania.

W rogu hali stał wysoki bufet, wybrzuszający się ku pasażerom wdzięczną sinusoidą.

— Szesnaśka — miauknęło mi za uchem.

Butler. Całą drogę milczał. Teraz odkrył, że w moim organizmie dopalają się jakieś składniki.

Podszedłem do automatu za kontuarem i wybrałem klawisz oznaczony liczbą szesnaście. Nic. Przycisnąłem ponownie. Z tym samym skutkiem. Po dobrych kilku sekundach w ścianie opadła miniaturowa kłapka, za którą ukazała się część twarzy faceta z obsługi. Ujrzawszy mnie przestraszył się. Ale musiał powiedzieć swoje.

— Bardzo przepraszamy — wymamrotał. Zabrzmiało to, jakby mówił z wnętrza wielkiego bębna. — Wymieniam właśnie cewkę pod szesnaśką. Jeszcze dwie minuty. Niech pan będzie uprzejmy poczekać albo wybrać inny zestaw. . .

— Szóstka — szczechnął głośniczek.

Przycisnąłem klawisz i dostałem miseczkę ostro przyprawionej papki. Nie spojrziałem już w stronę wciąż jeszcze otwartego, śmiesznego otworu i uwięzionej

w nim twarzy. Przeszedłem przez halę i zatrzymałem się pod sporym, owalnym iluminatorem.

* * *

Ziemia zawsze wygląda pięknie. Z daleka. Jest kolorowa, pogodna, przyprószona obłokami jak choinka. Nad moim kontynentem chmury układały się w nitkowate pasma, rozciągnięte wzdłuż południków. Musieli zamówić u meteorologów cień, a może i deszcz. Ciekaw byłem, czy i tym razem pada wszędzie, poza obszarem skąd przyszło zamówienie.

— Przepraszamy pasażerów udających się na Lunę — zaśpiewały nagle głośniki. — Start opóźni się o kilkanaście minut. Centrum radiolokacyjne na Cererze przechodzi dziś okresową konserwację. Przepraszamy.

Trzeba mieć szczęście. Gdyby to się zdarzyło w okresie turystyki — przemknęło mi przez myśl — poradziliby sobie bez tego centrum. Każda stacja miała własne latarnie radionawigacyjne, wzdłuż zastrzeżonych dla niej torów. Ale teraz, kiedy wszystkie biura podróży przejęła jedna agencja komunikacyjna, nikomu nie zależało tak bardzo na pasażerach. Niech czekają.

Czekali. Nie zauważyłem, żeby ktoś pozwolił sobie na jedno złośliwe słówko lub na gest świadczący o zniecierpliwieniu. Poza Ziemią człowiek odkrywa nagle, że kilka minut nic nie znaczy. Co do mnie, nie musiałem niczego odkrywać. Ja nie mogłem się zniecierpliwić. Automatyczna korektura. Niezła rzecz, dają słowo. Jak ostatni model sztucznej ręki.

* * *

Wybrałem fotel wciśnięty w najodleglejszy kąt sali. Jakaś para, siedząca najbliżej, podniosła się natychmiast i oddaliła w źle maskowanym popłochu. Odprowadziłem ich spojrzeniem. Nie lubili nas. Nikt nas nie lubił. Nie pasowaliśmy do naszej ślicznej, zaokrąglonej cywilizacji. Lubili oglądać stare zbroje w muzeach. Ale współczesne im istoty, od dziecka, ba, od pierwszej komórki w łonie matki przeznaczone do walki? Tego nie mogli strawić w swoim ulizanym humanitaryzmie.

Zresztą nie moja sprawa. To ładnie brzmi. Moja sprawa... Czy w ogóle były jakieś sprawy, które mógłbym nazwać moimi? Poza czekającym mnie zadaniem, o którym nic jeszcze nie wiedziałem?

Wczoraj w południe polecono mi zwinąć moją kwaterę w klubie i zameldować się w bazie Korpusu na Lunie, w Budorusie. Moje osobiste rzeczy zapakowałem w torbę wielkości małej dyni i zgodnie z instrukcją złożyłem w depozycie. Kilka fotografii, dokumenty, parę mikrofilmów. Wszystko. Nie zająknęli się nawet, o co chodzi. Szef centrali, Hiss, nie patrzył mi w oczy. Oznajmił tylko, że zobaczymy się na Lunie. Powiedział to takim tonem, jakby rzecz miała mi sprawić szczególną przyjemność. Oczywiście musieli wiedzieć, że czekam na coś więcej. Byłem już raz w akcji. Drobiazg. Facet z rozdzielni automatycznej przetworni paliwa na Ginamedzie zwariował po roku samotnej pracy i chciał wywalić w kierunku Cerery cały nagromadzony zapas deuteru. No tak. Ale z tego tysiąca, do którego należałem, tylko kilku ludzi było w prawdziwej akcji. Interwencje Korpusu zdarzały się raz na kilka lat. Ogromna większość moich kompanów spędzała całe życie w klubach i na poligonach. Było co najmniej dziwne, że wysyłają mnie na akcje po raz drugi. Nie słyszałem, żeby zdarzyło się to komukolwiek przede mną. Ale to w końcu także ich sprawa. Nie moja. Ja miałem tylko wykonać zadanie. Tak właśnie powiedziałem wczoraj Itii.

Wstałem i wróciłem pod iluminator. Obłoki trwały dalej nieporuszone, dzieląc kontynent, który opuściłem, na cienkie plastry. Próbowałem odszukać miejsce, gdzie powinno się znajdować moje miasto. Gdzie była Itia.

Spojrzałem na tarczę. Tam minęła już trzecia. Kilka minut temu Itia wróciła z centrali. Wczoraj o tej porze wysiadłem z żyrobusu pod jej domem. To był bardzo miły domek, na trzecim poziomie czterdziestej siódmej ulicy. Prawdziwe gniazdko. Tylko siedział już w nim ktoś inny.

Nie była zdziwiona, kiedy zobaczyła mnie przed drzwiami. Uśmiechnęła się nawet. Miała na sobie komplecik z różowego chromopianu, najcieńszy, jaki widziałem w życiu. Na jej śniadej skórze ta migocąca mgiełka wyglądała jak opakowanie zrobione z myślą, aby towar w środku był dobrze widoczny.

— Wyjeżdżam — powiedziałem.

Skinęła głową. Powiedzieli jej. Chodziło widać o coś, co uznali za godne uwiecznienia w kronice inforpolu. To znaczy w zespołach pamięciowych aparatury zainstalowanej w jednym z pawilonów centrali, należącym do Itii i jej dwóch czy trzech współpracowników.

Wszedłem do pokoju. Wskazała mi fotel i usiadła naprzeciw mnie. Natychmiast podjechał do nas barek, pobrzękując apetycznie szklaneczkami.

— Baza w Budorusie — mruknąłem. — Jutro rano.

— Coś poważnego?

Pytanie raczej retoryczne.

— Myślałem, że wiesz — powiedziałem. — Ja dowiem się na miejscu. Hiss będzie tam jutro.

Potrząsnęła głową.

— Kazali mi tylko zanotować twój wyjazd i założyć specjalny tor w komputerze. Ale bez sprzężenia. Zdaje się, że polecisz gdzieś dalej.

— Mniejsza z tym — powiedziałem. Pociągnąłem łyk musującego płynu. Miał cierpki, słoneczny smak nie całkiem dojrzałych owoców. — Nowy przepis? — spytałem.

— Stary jak świat. Piłam to jako dziecko — zaśmiała się. Ale zaraz spoważniała.

Odstawiłem szklaneczkę i rozejrzałem się po pokoju.

— Wszystko po staremu. Jakbym wyskoczył na chwilę poplotkować z kumplami — stwierdziłem. — Pełnia stabilizacji. Pomyśleć, że to już osiem... nie, blisko dziewięć lat. Co w ogóle u ciebie?

Patrzyła na mnie przez chwilę uważnie. Wreszcie uniosła brwi i uśmiechnęła się. Nie był to najweselszy uśmiech.

— Nic — powiedziała półgłosem. — Pracuję... — nie dokończyła.

— To wszystko?

Przestała się uśmiechać. Utkwiła wzrok w pustej szklaneczce.

— I... czekam — dodała wreszcie, niemal szeptem.

Musiała to powiedzieć. Żeby nie było wątpliwości.

Wyprostowałem się.

— Mówisz to na wypadek, gdybym przestał być grzeczny? — spytałem. — Nie bój się. To tylko kurtuazyjna wizyta pożegnalna. Z kimś, u licha, musiałem się pożegnać. Tak się składa, że nie mam nikogo innego.

Spojrzała na mnie szybko. Oczy jej się rozszerzyły.

— Och, Al — wyjąkała — to nie dlatego... ja... — urwała.

Czekałem dłuższą chwilę w milczeniu.

— Pamiętasz? — szepnęła wreszcie, tak że ledwo usłyszałem.

Dobre sobie. Ale trudno jej się dziwić. Sam nie wiem, jakim cudem udała mi się ta operacja z butlerem. Miłość, do tego nieszczęśliwa! Toż to szkolny przykład naruszenia autonomii systemu nerwowego. Moja wierna dioda powinna była natychmiast powiadomić centralę. „Leczenie” miałoby przebieg łagodny i odbyłoby się bez udziału ludzi, zawsze skłonnych do niedyskrecji. Korekta. Sprzężenia. Po miesiącu wiedziałbym tylko, że jest na świecie jakaś Itia, dziewczyna należąca do jednego z nas.

A ja nie chciałem. Mniejsza, dlaczego. Sam nie wiem. Nie chciałem i już. Postanowiłem zapamiętać. Wszystko. Gorączkowo, po nocach, przerabiałem program zainstalowany w butlerze. To było fałszerstwo. W dodatku udane.

Wszystko zostało we mnie. Na dobre. Ale tylko tyle. Zachowałem pamięć o emocjach. Nie emocje. Dyskwalifikowałyby mnie one jako członka Korpu-

su. Moja myśl musiała płynąć przez kanały mózgu, włókna psychotronu i diody wzmacniaczy równym, chłodnym, przyspieszonym nurtem. Gdybym postradał umiejętność całkowitej koncentracji na tym, co właśnie robię, gdyby zaistniał cień obawy, że w jakiejś sytuacji zawiedzie mnie zdolność błyskawicznej oceny, trzeźwej kalkulacji i natychmiastowej, najsluszniejszej z możliwych reakcji, gdyby jeden taki sygnał dotarł do centrali, na drugi dzień przenieśliby mnie do sekcji szkolenia. Ale jak jej to powiedzieć? One wszystkie boleją nieopisanie, kiedy muszą kogoś unieszczęśliwić. Dopiero, jeśli okaże się, że rzecz wygląda trochę inaczej...

Uśmiechnąłem się.

— Nie przejmuj się — powiedziałem spokojnie. — Pamięć to jeszcze nie wszystko. Zwłaszcza pamięć cyborga.

Aż ją podniosło. Natychmiast przestała się roztkliwiać.

— Oszalałeś? — parsknęła. — Jak możesz tak mówić? Ja wiem, skąd się wzięło to słówko!

Prawda. Była historykiem.

— Właśnie dlatego to słówko tutaj padło. Sama pracujesz w centrali. Znasz żargon. Zresztą tak kiedyś nazywano facetów z Korpusu. I do dziś tak mówią... ludziki — zaśmiałem się.

Trwało chwilę, zanim się rozchmurzyła.

— Coraz lepiej. — Jej głos brzmiał już spokojnie. — To obraźliwe, wiesz?

— Jedno i drugie — potwierdziłem. — Jesteśmy kwita. A ty, jakbyś siebie zakwalifikowała?

— Jako ludzika — oświadczyła z powagą.

Skinąłem głową.

— To mi odpowiada — mruknąłem. — Chociaż jeśli się lepiej zastanowić... pracujesz z nami. Kochasz jednego z nas. Twoje laboratorium ma także te kilka biosprzężeń... można by i ciebie nazwać tak, jak tego nie lubisz.

— Nie lubię — przytaknęła. — Cyborg... sztuczny mózg, sztuczne serce, tkanki nerwowe. Tak to sobie wyobrażano. Dwieście lat temu.

Pomyślałem, że to wszystko jedno, wprawić komuś sztuczny mózg czy też z jego własnego zrobić niezawodny aparat nieustannie wspomagany i korygowany przez automaty. Ale nic już nie powiedziałem.

Ludziki? No cóż, piękne to nie było. Nawet, jeśli mówili tak sami wykładowcy, od pierwszego kursu. Bez cienia pogardy zresztą czy chociażby lekceważenia. Raczej z pewnym żalem. Wszyscy ludzie na świecie mieli swoje wzruszenia, godziny smutku, i minuty, kiedy ich serce uderzało szybkim, radosnym rytmem. Wszyscy poza tysiącem. Poza nami. A przecież to zwykli ludzie, ulegający emocjom i ceniący sobie tę swoją słabość, spomiędzy siebie wyłonili pierwsze oddziały Korpusu. Oni wymyślili program szkolenia. I to ich mieliśmy bronić. Na wypadek, gdyby ktoś lub coś zagroziło Ziemi; że w praktyce sprowadzało się to

do obezwładnienia raz na dwa lata jakiegoś biednego szaleńca, dysponującego aparaturą wyzwalamą energię, to już zupełnie inna sprawa. Tak naprawdę, nasze życie składało się z ćwiczeń. Bazy, poligony, wielomiesięczne patrole planetarne.

O tym wszystkim ona wiedziała.

Dłuższą chwilę milczeliśmy oboje. Należało wstać i pożegnać się, ale nie chciało mi się ruszyć z miejsca.

— Przykro mi, Al — odezwała się wreszcie — że cię rozczarowałam. Nic nie wiem o twoim wyjeździe. Gdyby Hiss mi zlecił. . .

— Nie zleci — przerwałem. — I nie przejmuj się. Nie po to przyszedłem.

— Wiem — rzuciła wyzywającym tonem.

Uśmiechnąłem się. Miała oczy dziecka, które nie rozumie, o czym mówią dorośli, ale wie, że wyniknie z tego coś przyjemnego.

— No to nie udawaj.

— Ty też nie.

Wzruszyłem ramionami. Następnie westchnąłem, wstałem i przeszedłem się po pokoju.

— A więc czekasz — powiedziałem bardziej do siebie niż do niej. — Rozumiem. Rozumiem, chociaż ja. . .

— Nie czekałbyś?

Stałem. Spojrzałem jej prosto w oczy.

— Nie. Ja nie czekam. To pewna różnica.

Zarumieniała się. Jej wzrok powędrował szybko w stronę okna.

— Kochałam cię bardzo, Al — wyszeptwała. — Nie muszę mówić. Ale. . .

— Nie kończ. On tam jest?

Skinęła głową.

— Cały czas w Budorusie?

— Tak. Pisz. . . — zawahała się.

— Kiedy wyjechał?

Spojrzała na mnie uważnie. Ale bez zdziwienia, że pytam. Raczej jakby nieufnie.

— Mniej więcej siedem lat temu. . . — powiedziała.

Coś mnie tknęło. Zrobiłem obojętną minę.

— Jak się z sobą kontaktujecie? Holowizją?

— Nie. . . pisze. Otwartym kodem.

A więc tak. Oczywiście, to mogło nic nie znaczyć. Albo i dużo. . .

— Chciałem cię o coś zapytać — powiedziałem szybko. — Możesz to nazwać konsultacją.

— O coś, co dotyczy Ustera? — zmarszczyła brwi.

— Nie. Jeśli, to tylko o tyle, o ile dotyczy każdego z nas. Ale zależy mi nie na tym, co wiesz, tylko, co czujesz.

— Nie czuję nic takiego. . .

— Posłuchaj — przerwałem znowu. — Myślę o tym, co działo się sto lat temu. O nierównym podziale dóbr, o głodzie, psychozach, nieustannych konfliktach, słowem o wszystkim, co wy, historycy, nazywacie kryzysem cywilizacyjnym. Dwudziesty pierwszy wiek. Sto lat. . . Niby dużo. A jeśli nie dość dużo? Widzisz, żaden z nas nie może nawet w przybliżeniu przewidzieć okoliczności, w jakich przyjdzie mu wypełniać najbliższe zadanie. Dla mnie pytanie, które ci teraz stawiam, jest bardzo konkretne. Czy tamto to naprawdę już tylko przeszłość? Czy nie mogłoby ożyć w sprzyjających warunkach? Myślę o tym, co w nas siedzi. W każdym z nas — dodałem z naciskiem.

Nie odpowiedziała od razu. Przyglądała mi się podejrzliwie. Jakby się czegoś bała.

— I ty mówisz, że jesteś maszyną — odezwała się w końcu półgłosem. — Na to nikt ci nie odpowie. Może za następne sto lat. Ale — zawahała się — bądź ze mną szczerzy. Powiedziałeś to w związku z Usterem.

Robiła, co mogła, by zapanować nad głosem. Mogłem sobie pogratulować. Sam zapędziłem się w ten zaułek.

Nie myślałem o Usterze. Powiedziałem jej to, ale mi nie uwierzyła. Oczywiście, że nie. Nie mogła uwierzyć, przynajmniej teraz, tutaj. Bała się chyba, że odkryłem w sobie nagle jakąś niechęć do niego, a może i zazdrość.

Teraz dopiero stanęła mi przed oczami twarz Ustera. Oczywiście nie było mowy o jakichkolwiek nieprzyjaznych uczuciach. Nonsens. Co innego niechęć, a co innego niepokój. Czy choćby zaniepokojenie.

Siedem lat. Akurat tyle, żeby. . . mniejsza z tym. Na razie. Dość już napędziłem jej strachu.

Wyprostowałem się.

— Tylko Uster i Uster. Jak w piosence. Muszę już iść.

Podszedłem do niej. Wstała, ociągając się i podała mi rękę. Na ułamek sekundy przytrzymała palcami moją dłoń, jakby o coś prosząc.

— Powiedzieć mu coś? — spytałem, już w otwartych drzwiach.

Potrząsnęła głową.

— Al. . . — urwała.

Czekałem.

— Jeśli możesz. . . — dobiegł mnie jej szept — bądź dalej jego przyjacielem.

Uśmiechnąłem się.

— Opowiadałaś mi kiedyś o jakimś starożytnym buntowniku czy powstańcu. . . dałaś mi taką książkę. . .

— Spartakus?

— Właśnie. Wyczytałem tam mądre zdanie. Bohater był jednym z niewolników przeznaczonych specjalnie do walki. Nie pamiętam, jak się nazywali.

— Gładiatorzy. . .

— Otóż to. Powiedział kiedyś do drugiego takiego jak on sam: „Gladiatorze, wśród gladiatorów nie szukaj przyjaciół...”

Zmarszczyła brwi.

— Czemu tak mówisz? — spytała sucho. — To ładnie brzmi, ale nic nie znaczy. Teraz.

— Teraz nic — przytaknąłem. — Tylko kto wie, co będzie jutro? Nie martw się — dodałem szybko. — Powiem mu, jeśli go zobaczę.

— Co powiesz?

— Że czekasz.

* * *

Pasma obłoków nad kontynentem przesunęły się odrobinę na zachód. Zakrywały teraz brzeg oceanu.

Spojrzałem na zegarek. Tkwiliśmy tutaj przeszło dwadzieścia minut. Szczególny rekord.

Ktoś otarł się o mnie ramieniem. Odwróciłem głowę, zdziwiony. Biedny ludzik. Tak nie lubią się do nas zbliżać.

Żaden ludzik. Jakbym spojrzał w lustro. Ciemnozielony kombinezon, półprzezroczysty, lśniący jak szkło. Czarno-biały emblemat na lewym ramieniu. Taki jak mój. Silnie zaznaczone kości twarzy. Oczy szeroko rozstawione, patrzące, jakby mogły widzieć przez ściany. Nawet włosy podobne do moich, krótkie, jasne, o barwie, której nigdy nie umiałem nazwać.

Poruszył nieznacznie głową. To miało znaczyć: przepraszam. Patrzył przy tym prosto przed siebie.

Jeszcze raz spojrzałem na jego emblemat. Nie miał gwiazdki. Jasne, że nie. Znałem wszystkich, którzy w ostatnich dziesięciu latach brali udział w akcjach. Można ich było zliczyć na palcach.

Ja sam nosiłem na ramieniu jedną mikroskopijną gwiazdeczkę. Nie spotkałem nikogo, kto miałby dwie. A więc może będę pierwszy. Jeśli to znowu nie jakieś manewry.

Staliśmy obok siebie, milcząc. Spotkaliśmy się, oczywiście, kilka razy na poligonach. Ale w klubie, gdzie mieszkałem, nie widziałem go nigdy. Nie pamiętałem nawet jego nazwiska.

Wokół nas zrobiło się pusto. Jeden to było już dość. Żeby spotkać dwóch za jednym zamachem, trzeba mieć prawdziwego pecha. Tak pewnie myśleli.

Spojrzał na zegarek, jak ja przed chwilą. W jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Oparty niedbale o ramę iluminatora, sprawiał wrażenie dwumetrowego po-

sagu. Może się niecierpliwił. Kto wie. Poznawał to pewnie tak samo jak ja. Kiedy się zdenerwowałem, marzły mi koniuszki palców. Tylko tyle.

Jeden z inforpolu. Cyborg — jak mówiliśmy drwiąco pomiędzy sobą. Facet z Korpusu — jak powiadano półoficjalnie. Cichy jak antymateria. Niemal równie dobry jako broń.

Trwało jeszcze dłuższą chwilę, zanim przyleciał statek. Muzealny gruchot. Iluminatory widziały szczotki ostatni raz z dziesięć lat temu. Klimatyzacja rozregulowana. Butler kazał mi natychmiast przybrać pozycję półleżącą i głęboko oddychać.

Usiadł koło mnie. Wyciągnął nogi tak, że zrównały się z moimi. Te same miękkie, porowate buty. Rozmiar stopy, na oko, także identyczny. Mogłem w każdej chwili dostać jego serce, tak jak jemu dałoby się bez żadnych badań przeszczepić moją wątrobę. Korpus był pierwszą zamkniętą grupą społeczną, w której osiągnięto doskonałą zgodność immunologiczną.

Stewardesa przyniosła kawę. Pociągnąłem łyk. Przy trzecim mój głośniczek zabuczał ostrzegawczo. Kawę dawali całkiem, całkiem. Odstawiłem filiżankę. Po kilku sekundach on zrobił to samo. Widać zabrał się do kawy o te kilka sekund później. Albo wolniej pił.

Uster był taki sam. Wszyscy byliśmy tacy sami. Trudno się dziwić, że ludzie nie skakali z radości na nasz widok. Nam samym robiło się czasem nieswojo.

Uster. Jedyne na dobrą sprawę, z którym żyłem się bliżej. Idąc na spotkanie z Itią, zabierałem go najczęściej ze sobą. Dlatego potem... Ale nie mogłem mieć pretensji. Dwa lata spędziłem na poligonie. Przed wyjazdem powiedziałem jej, żeby nie zaprzętała sobie mną głowy. Że taki jak ja nie będzie nigdy odpowiednim towarzyszem dla dziewczyny. Naprawdę tak myślałem. Wtedy miałem głowę nabitą czekającymi mnie zadaniami, stałą gotowością, posłannictwem i takimi tam rzeczami. Kiedy pod koniec pobytu na poligonie przekonałem się, że byłem osłem, niczego to już nie mogło zmienić. Zrozumiałem, że kocham ją naprawdę. Ale byli już razem.

Pomyślałem, że mogę się z nim spotkać za kilka godzin, uśmiechnąłem się do siebie i zapadłem w drzemkę. Ten koło mnie spał już od dobrej chwili. Oddychał bezgłośnie. Nie chorowaliśmy nigdy. Była to jedna z podstawowych różnic między nami i resztą ludzi. Do nich, kiedy im coś było, przychodził lekarz. Do nas technik. Trzeba czegoś więcej?

Ładowanie poszło nadspodziewanie gładko. Szybciej niż kiedy byłem tu ostatnim razem. Musieli wreszcie wymienić automaty przechwytyjące. Najwyższy czas. Dworzec Lamberta należał do najstarszych na Lunie. Obsługiwał dwie pierwsze bazy ze stałą załogą. Teraz skupiał cały ruch osobowy związany z wszystkimi zakarpackimi fabrykami paliwowymi, rozciągniętymi na obszarze Oceanu Procellaryjskiego.

Sam dworzec też się zmienił. Mało brakowało, a byłbym wlaź na towarowy eskalator. Facet, który przyleciał ze mną, przytrzymał mnie za ramię.

— Dziękuję — mruknąłem. — Nazywam się Thaal. Mów po prostu Al.

Skinał nieznacznie głową.

— Riva — powiedział. — Budorus — dorzucił po chwili.

W halu czekał na nas łysy chudzielec z obsługi dworca. Zmierzył nas bezgranicznie znudzonym spojrzeniem i ruszył w stronę jednego z korytarzy. Poszliśmy za nim.

W rozdzielni na nasz widok podniósł się z obrotowego fotela facet z Korpusu. Tego w ogóle nigdy dotąd nie widziałem. Zapewne należał do stałej załogi bazy.

— Możemy jechać — to było wszystko, co powiedział na powitanie.

Poprowadził nas bocznym korytarzem do szybu. Wyjechaliśmy na pole startowe wąskim eskalatorem, podskakującym jak zepsuty budzik. W wieży, przed wyjściem, automaty sprawdziły nasze skafandry. Jakimś cudem wcisnęliśmy się do pomarańczowego żyrolotu, przypominającego zabytkowe łóżko z baldachimem.

Lot do krateru Budorusa trwał krótko. Za krótko, żeby mi się zdążył znudzić krajobraz za iluminatorem.

Czerń i biel. Lekko rozmazane. Czerń wpadająca w błękit, biel złamana jaśniutkim złotem. Kontrasty, jak zaznaczone tuszem. I góry. Prawdziwe. Takie jak na obrazku. Bez kolejek, wyciągów, zjazdów, bufetów, pseudokoleb i ścieżek spacerowych dla staruszków. No i tłumu bywalców obwieszonych pamiątkami. Uczciwe góry. Takie, jakimi jeszcze pięćdziesiąt lat temu były, od biedy, Himalaje.

Sleep, jak brzmiała popularna nazwa tego typu żyrolotu, wznosił się coraz wyżej. Lecieliśmy na północny zachód. W pulpicie pilota cały czas pulsowały światełka. Namiary z Platona. Przelecieliśmy nad nim piętnaście minut po starcie. Zaraz potem zmieniliśmy kurs na zachodni i weszliśmy za północną ścianę Alp. Mieliśmy już kilometr pod sobą, ale trzeba było nieźle zadzierać głowy, żeby dotrzeć wzrokiem do szczytów zawisłych nad nami.

Łądowaliśmy dziesięć minut później, w zewnętrznym pierścieniu bazy. Jak na poligonie, po ogłoszeniu pogotowia. Niczego nie lubili tak bardzo, jak procedury wartowniczej, jednak tym razem wpuścili nas do głównego szybu bez większych ceregieli. Korytarze poziomego alarmowego wyglądały jak wymarłe. Do chodnika szło się pieszo ładnie parę metrów. Posadzka była miękka, o pomimo to nasze kroki budziły metaliczne echo. Równe kroki, odmierzone, spokojne. Kroki facetów, którzy wiedzą, czego chcą.

Weszliśmy prosto do dyspozytorni. Zanim jeszcze drzwi zwinęły się za nami w podwójną trąbkę, zobaczyłem Hissa. Był także Jeus, komendant bazy. I jeszcze czterech z Korpusu. Stali nad czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak stary szkolny model układu planetarnego. Ale to nie był nasz układ. W trzeciej planecie pulsował czerwony ognik.

Hiss obrzucił nas przelotnym spojrzeniem i gestem kazał nam podejść bliżej. Regulaminowa jowialność, z jaką żegnał mnie wczoraj w centrali, zniknęła bez śladu. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Jakby się nagle postarzał o dobre dziesięć lat. Miał na sobie cywilny kombinezon, w jakim mógłby się wybrać, powiedzmy, na inspekcję stacji na Ganimedzie. Ale nigdzie się nie wybierał. On nie. Wiedziałem, co powie, zanim jeszcze otworzył usta. Staliśmy przed modelem układu Alfy.

Rozdział 2

Budorus

Czy ludzie pamiętali? Owszem. Tak jak się pamięta o wielu rzeczach, które kiedyś wydawały się ważne, nawet bardzo ważne, ale o których wiadomo, że nigdy już nie sprawią kłopotów. Najwyżej historykom. Sześć lat to więcej niż mogłoby się wydawać. Nawet jeśli chodzi o kogoś, kto zginął kilka świetlnych lat od domu.

Kontaktów z istotami technologicznymi w Galaktyce szukaliśmy, jeśli się nie mylę, już w dziewiętnastym wieku. W dwudziestym zaczęto wysyłać w kosmos specjalnie opracowane sygnały matematyczne. Przy użyciu prymitywnych nadajników. Co zresztą nie miało nic do rzeczy. Jeśli się sonduje oceany, to prędzej czy później trafi się na rybę. Rachunek prawdopodobieństwa.

Sto lat temu radioteleskopy na Lunie odebrały pierwsze sygnały, co do których nikt nie mógł mieć wątpliwości. Wszystkie komputery potwierdzały, że nie pochodzą ze źródeł naturalnych. Ale nie była to odpowiedź. Nie były to nawet sygnały w potocznym rozumieniu tego słowa. Żadnego symbolu, pasma znaczeniowego, żadnej matematyki. Dwudziestowieczni astrofizycy potraktowaliby je jako nowy typ promieniowania gwiazdowego. Ale i najczulsze współczesne analizatory teraz, po kilkudziesięciu latach badań, wyrzucały na tablice wyników jedno zero po drugim.

Co zrobił człowiek? To, co zawsze w swojej historii. Najpierw powiedział, że trzeba tam polecieć. Potem pośmiał się trochę i stwierdził, że jak świat światem nikt nie wymyślił czegoś równie głupiego. Następnie doszedł do wniosku, że rzecz jest ciekawa, nawet pasjonująca, szkoda tylko, że całkowicie nierealna. Po czym, oczywiście, poleciał.

Dwudziestego czwartego lipca dwa tysiące sto dwudziestego dziewiątego roku z bazy w Archimedesie wystartowało pięcioro ludzi. Mniej więcej dziesięć lat wcześniej udało się grupie Amalsona zastosować strumieniowe świece tachjonowe do podróży kosmicznych. Dzięki temu monitor mógł liczyć na stałą łączność z bazą. Największe opóźnienie, w ostatniej fazie lotu, nie miało przekroczyć kil-

ku dni. Statek osiągnął szybkość podrózną czwartego stopnia. Lot powinien był trwać niespełna sześć lat.

I nie trwał dłużej. W trzydziestym piątym roku monitor uruchomił silniki hamujące nad drugim satelitą trzeciej planety Alfy, gdzie zgodnie z programem miała powstać pierwsza baza eksploracyjna. To była ostatnia wiadomość, jaka dotarła do bazy. Czekano spokojnie kilka dni. Potem opublikowano komunikat. Okrągły rok obowiązywała cisza radiowa w pasmach, w jakich możliwe było nawiązanie łączności. I to właściwie wszystko. Na całej kuli ziemskiej zorganizowano wieczornice żałobne, w czasie których ten i ów uczony miał okazję napomknąć, że od początku sprzeciwiał się wyprawie. W drugą rocznicę utraty łączności z monitorem rozstrzygnięto konkurs na pomnik. W trzecią poproszono Hissa, żeby dokonał uroczystego odsłonięcia. Pomnik stanął na grani Everestu. Kamienna, stylizowana dłoń, wkomponowana w skały, wyciągająca ku gwiazdom pięć smukłych palców, w tragicznym wołaniu o przyjaźń. Pod każdym z palców wypalono w bazalcie nazwisko. Siąść i płakać. Nie pozostało zresztą nic innego. Bo o następnych wyprawach nikt jakoś nie wspominał.

Wysłuchaliśmy na stojąco wszystkiego, co Hiss miał do powiedzenia na temat monitora i jego załogi. Mówił przyciszonym głosem, jakby do siebie, wpatrując się w czerwone światełko, pulsujące bez przerwy w plastikowym jądrze Trzeciej. Chwilami zdawało się, że zapomniał, gdzie jest i kto go słucha. Nie powiedział nic ponad to, o czym wiedziało każde dziecko. Do pewnego momentu.

Przeszedł właśnie do ostatniego radiogramu nadanego z pokładu monitora.

— Jak wiecie, zapis urywa się dwudziestego lipca trzydziestego piątego roku. Teksty radiogramów dostaniecie po odprawie — wskazał ręką kąt sali, gdzie na podłużnym stoliku leżał stos podręcznych analizatorów. — Proszę, żebyście zapamiętali każde słowo, jakie tam padło. Od dwunastego lipca. Trzeciego sierpnia — ciągnął tym samym monotonnym głosem — a więc trzy tygodnie po zerwaniu łączności, wystartowała z rejonu naszej bazy ekspedycja ratunkowa. . .

Co powiedziałem? Że po zaginięciu monitora nikt już nie zająknął się na temat dalszych wypraw? Otóż to. Wysłali dwa statki. Na każdym z nich było dwanaście osób. Tym dwunastym, w jednej i drugiej załodze, był ktoś od nas, z Korpusu. Resztę stanowili młodzi specjaliści, wybrani z obsługi baz planetarnych. Nie zająknęli się, rzeczywiście. Ale nie o planowanej ekspedycji. O tym, że ją wysłali. I wiem nawet, dlaczego. Śmierć człowieka była ceną nie mieszczącą się w kategoriach wartości naszych współczesnych. Zagłada monitora i jego pięcioosobowej załogi stała się powszechną tragedią. Wysłanie dalszych dwudziestu czterech Ziemi na prawdopodobną zgubę mogło wywołać szok o trudnych do przewidzenia reperkusjach społecznych. Takie już jest to nasze milutkie stulecie.

Od dawna panowało wśród specjalistów przekonanie, że ze wszelkich prób nawiązania bezpośrednich kontaktów z mieszkańcami kosmosu trzeba wyłączyć automaty. Nie można się od nich spodziewać niczego ponad to, co przewidziano

w ich programach. A jak zaprogramować sposób postępowania martwego urządzenia na wypadek zetknięcia z istotą technologiczną, która dajmy na to jest zbudowana z substancji niebiałkowej, ma kształt orchidei, fruwa, emituje ultradźwięki i wybucha w zetknięciu z tlenem? A przecież wszystko to zamyka się w kręgu pojęć znanych, z naszego świata. Poza nim muszą istnieć rasy niepodobne do niczego. Każdy kontakt tych istot z ziemskim automatem groziłby nieobliczalną w skutkach katastrofą. Zgoda. A jednak dałbym sobie rękę uciąć, że na wieść o planowanej wyprawie ratunkowej ogromna większość ludzi podniosłaby głośny krzyk, opowiadając się za wysłaniem maszyn. Automatów. Do tego nie wolno było dopuścić. Pozostało zatem albo schować głowę w piasek i udawać, że nic się nie stało, albo też...

Pierwsze było wygodne. Na krótką metę. Jeżeli bowiem ci z układu Alfy celowo i świadomie zniszczyli ziemski pojazd, to czy w takim razie prędzej czy później nie należało oczekiwać z ich strony jeszcze zabawniejszych niespodzianek?

Hiss, rzecz jasna, nie pisał słówkiem o powodach, dla których druga wyprawa wystartowała w najgłębszej konspiracji. Podawał fakty.

A fakty były bardziej niż złe. Dziewiątego sierpnia, dokładnie trzy tygodnie temu, obydwa statki ekspedycji ratunkowej weszły na orbitę satelity Trzeciej. O godzinie dwunastej w południe, czasu bazy, Thorns, dowódca „Heliosa” przesłał meldunek, w którym informował, że pozostaje na orbicie stacjonarnej. Równocześnie drugi statek, „Proxima”, przystąpił do manewrów poprzedzających lądowanie. Sześć minut później załogi straciły łączność. Przeszło dwie godziny Thorns nie ruszał statku z orbity, powtarzając sygnały kodu wywoławczego. Wystrzelił kilka sond, z którymi stracił łączność natychmiast po opuszczeniu przez nie pola bezpośredniej obserwacji. Następnie zameldował, że zmienia orbitę w nadziei odzyskania lepszego pasma odbioru.

I na tym wszystko się skończyło. Do bazy nie dotarł już nie tylko strzęp meldunku, ale choćby jeden dźwięk automatycznych nadajników pomiarowych. Miały podawać pozycje statków, gdyby nawet na ich pokładach nie było już jednego żywego człowieka. Ten i ów z grona specjalistów pomyślał może wtedy, że zamiast uszczęśliwiać jednym facetem z Korpusu każdą załogę, trzeba było od razu wysłać ekipę inforpolu.

Co do mnie, byłem tego samego zdania. Nasza misja *t e r a z* mogła mieć tylko jeden epilog. Dwadzieścia dziewięć trupów to trochę za wiele. Człowiek nie pozwoli zabijać się bezkarnie. Także przez mieszkańców najdalszych planet Galaktyki. Nawet, jeśli przybywa do nich jako nieproszony i być może mało atrakcyjny gość.

Ale Hiss miał złudzenia. To znaczy usiłował nam wmówić, że je ma. Roztoczył przed nami kuszącą wizję kontaktu z pozaziemską cywilizacją. Mądrą i dobroduszną. Nie marzącą o niczym, tylko o odrobinie ciepła ze strony mieszkań-

ców Ziemi. Cała Trzecia Alfy pogrążona jest teraz w żałobie. Siedzą i zapłakują się na śmierć. Bo okazało się, że w statkach, które zniszczyły automaty strażnicze ich stacji satelitarnych, byli ludzie.

W ustach Hissa brzmiało to oczywiście inaczej. Niemniej istotny sens jego wystąpienia był aż nadto jasny.

— Zadanie pierwsze — mówił, wodząc po nas beznamiętnym spojrzeniem — kontakt. Równoległe próby odnalezienia i ewakuacji trzech pierwszych załóg. W razie trudności — demonstracja naszych środków. Najlepiej rozwalcie jakąś planetoidę czy skrajnego satelitę. Antymateria. Zostawcie im trochę czasu do namysłu. Potem dopiero. . . — urwał.

Wiedzieliśmy, co potem. Nie zapomną nas tak szybko. I dwa razy pomyślą, zanim kiedykolwiek podejmą akcję przeciw ziemskim statkom. Chociażby nam samym miało się nie udać.

Nie wspomniał słowem, że mamy tam lecieć. Po co? To było jasne od chwili, kiedy przekroczyliśmy próg dyspozytorni. Wydawało mi się tylko, że jest nas tu trochę za dużo. Tym jednak nie zamierzałem zaprzętać sobie głowy.

— Tak to wygląda — kończył Hiss. — Statki zobaczycie jutro, przed startem. Dziś przeczytajcie radiogramy i odpocznijcie. Lot potrwa około sześciu lat w jedną stronę. Na miejscu zabawicie, powiedzmy, sześć miesięcy. Razem około półtora roku biologicznego. Podróż, oczywiście, w hibernacji. Są pytania?

Chwilę trwała cisza, Przerwał ją Riva.

— Polecimy jednym statkiem? Wszyscy? — spytał niedbałym tonem, jakby dopełniał formalności.

— O szczegółach dowiedzie się jutro — powtórzył Hiss. — To wszystko?

Twarz Jeusa wygładziła się w przelotnym uśmiechu. Zrobił kilka kroków w stronę Rivy i obejrzał go od stóp do czubka głowy. Z miną ogrodnika, któremu pokazano groch wielkości śliwki. Sam miał dobre dwa metry. Ale kombinezon tkwił na nim jak naciągnięty na tyczkę od tego grochu. Przemknęło mi przez myśl, czy mu to trochę nie pomogło. Tak długo zastanawiali się, co z nim zrobić, aż został komendantem największej bazy inforpolu. Jedynej zastrzeżonej dla akcji.

— Mogę tylko powiedzieć — odezwał się scenicznym basem — że dostaniecie wszystko, czym dysponujemy. Teraz zaprowadzę was do kabin. Pogadamy jutro.

Przydzielono mi jeden z pokoi przylegających do dyspozytorni. Były tu punktowe światła, wygodna leżanka, fotele z pulpitami, podręczny komputer i komplet kalkulatorów. Nawet umywalnia ze zwykłą wodą. Można się było przyzwyczaić. Gdyby, oczywiście, zostawili na to trochę czasu.

Zjadłem, co znalazłem w bufecie i zabrałem się do tych radiogramów. Nie było tam nic, o czym bym nie wiedział. Nie kończące się kolumny raportów dotyczących promieniowania, nasłuchów, temperatury, namiarów, analiz widmowych

i miliona innych obserwacji, poczynionych przez załogę wyprawy kontaktowej. Niemal równie obszerne przekazy automatów o stanie zdrowia załogi i warunkach lotu. Wreszcie zarejestrowane rozmowy całej piątki od chwili startu. Pękata księga. Bez końca. Dosłownie.

Przebiegłem ją wzrokiem i wróciłem do miejsca, gdzie zaczynał się ostatni zapis. Wdusiłem klawisz magnetofonu.

— Uwaga, Ner — to był głos Toritha — zero i zero.

Moment, kiedy monitor zaczął schodzić z orbity. Za pół godziny mieli lądować.

— Dobra, Torith — ucieszył się Notti. — Dawaj współrzędne. Nic nie widzę na tym ekranie.

— Zero i zero, jeden — zameldował Torith.

— Więcej tlenu — głos Ann.

— Zero i zero, dwa.

Naprowadzali statek w korytarz.

— Zero i zero, trzy.

— Tak trzymaj.

— Tam są jakieś cholerne góry — zauważył Notti.

— Zero i zero, cztery.

— Stop dysze — rzucił Ner.

Hamowali już. Moment, który nigdy nie należy do najprzyjemniejszych.

— Zero i zero, pięć — Torith. Jego głos brzmiał o odcień mniej spokojnie.

— Co jest — mruknął Ner. — Jak dysze?

— Bez ciągu — odpowiedział natychmiast Notti.

— Więcej tlenu — przypominała Ann.

— Zero i zero, sześć — wyrzucił Torith.

— Kontra na osi! — głos Nera zabrzmiał niemal piskliwie.

— Czwórka na osi! — wyksztusił Notti.

— Zero i zero, cztery — doniósł Torith.

Pomyślałem, że dowódca wyprawy, Ner, ociera sobie teraz ukradkiem pot z czoła.

— Zróbcie coś z tą czwórką — mruknęła Bistra.

— Jeszcze chwileczkę — powiedział Notti.

— Zero i zero, pięć — krzyk Toritha.

— Przeciążenie? — spytał natychmiast Ner.

Nie doczekał się odpowiedzi.

— Zero i zero, sześć!

— Kontra!

— Straciłem. . . — zaczął piskliwym głosem Torith.

* * *

Co takiego mógł stracić? Łączność? Jeszcze była. Chyba że jego pulpit komunikacyjny coś już awizował. Namiar korytarza? Byłby to pierwszy wypadek w historii astronawigacji. Tachdarowy obraz lądowiska? Może. Szansę na to, żeby się dowiedzieć, o co chodziło naprawdę, równały się praktycznie zeru. To „straciłem. . .” było ostatnim słowem, jakie dotarło z pokładu monitora do bazy w Budorusie.

W pokoju zrobiło się chłodno. Wstałem i przesunąłem rączkę klimatyzatora. Następnie wróciłem do stolika, odsunąłem nogą fotel i zapatrzyłem się w czarny ekran analizatora. Jego mikroskopijny głośniczek w dalszym ciągu odtwarzał szumy, dobiegające z kosmosu, z miejsca, gdzie jeszcze dwie minuty temu rozmawiali ludzie. Postąłem tak chwilę, po czym wyłączyłem aparacik. Zamarł z cichym miauknięciem, jak przegrzany żyrobus dla lalek.

Zrzuciłem skafander, rozebrałem się do rosołu, wziąłem drugi aparat z zakodowanymi meldunkami ekspedycji ratunkowej i poszedłem z tym na leżankę.

Wysłuchałem wszystkiego skrupulatnie. Od początku do końca. Nie stałem się jednak dzięki temu ani odrobinę mądrzejszy. Monitor miał przynajmniej awarię automatów sterowniczych czy hamujących. Jeśli to była awaria. W każdym razie schodził z kursu. W raportach z „Proximy” i „Heliosa” nie było wzmianki o najdrobniejszej niezgodności z programem lotu. Z płaszczyzny ekliptyki wyszli za orbitę Jowisza. Zaraz potem zapadli w hibernację. Obudzili się na wysokości Piątej układu Alfry. Bez przeszkód weszli na orbitę drugiego satelity Trzeciej. Przesiedzieli tam dwa dni, cierpliwie nasłuchując. Zrobili wszystko, co można było zrobić. Ostatni meldunek był równie spokojny jak wszystkie poprzednie. Sprawdzili współrzędne, sygnalizację alarmową, kilka wariantów awaryjnej łączności. Przeszli na orbitę stacjonarną. Leger uruchomił dysze hamujące i przystąpił do wstępnych manewrów lądowania. Przebiegały pomyślnie. Po prostu normalnie. Pierwsze dwie minuty. Po ich upływie, nagle, bez jednego sygnału ostrzegawczego, w ogóle bez żadnego możliwego powodu stracili łączność. Jakby między jednym a drugim statkiem zapadł metalowy ekran.

Pokładowa aparatura „Heliosa” urządziła istną kocią muzykę. Każdy najmniejszy automat sygnalizował alarm. Thorns, dowódca statku, nie zaniedbał niczego. Był z nim Krosvitz, z Korpusu. Przeszli jeden po drugim systemy awaryjne. Równocześnie wysłali w równych odstępach sześć sond komunikacyjnych, na zmienne orbity. Wszystko z tym samym skutkiem. To znaczy żadnym. Minutę po starcie sondy, ile ich było, przestawały przekazywać nie tylko wizję, ale i fonię. Jakby je ktoś wyłapał do wielkiego worka, pełnego ołowianych pieniążków. Oczekali jakiś czas. Wreszcie Thorns zameldował, że przechodzi na ciałniejszą

orbitę i będzie zmieniał pozycję. Liczył na znalezienie jakiegoś korytarza radiowego w nie-przenikliwym, jak się zdawało, polu, otaczającym satelitę.

Ostatnie jego słowa, zapisane w bazie brzmiały:

— W porządku, Areg. Uważaj na...

Pierwsze zdanie odnosiło się do współrzędnych. Drugie... No tak.

Obydwa zapisy przeszły, rzecz jasna, komplet testów interpretacyjnych. Analizowano każdą sekundową zmianę poziomu, każdy najdrobniejszy dźwięk. W programy komputerów wbudowano wszystko, co tylko zdołali wymyśleć najwięksi fantaści z grona specjalistów. Trwało to bite dwa tygodnie. Sześć dni temu pogodzone się wreszcie z nieustannie wracającym wynikiem. Zero. Uwzględniając znane czynniki lotu żaden z największych ziemskich kompleksów obliczeniowych nie potrafił podać hipotetycznej przyczyny katastrofy.

Zamknąłem aparacik, zgasilem światło i wyciągnąłem się na leżance. Nie byłem śpiący. Podłożyłem łokcie pod głowę i leżałem bez ruchu. Jutro o tej porze będę zasypiał w kabinie rakiety. Mając pod fotelem kilka pokładów, pełnych sond laserowych, baterii kwarkowych, latających maszyn wyposażonych we wszelkiego rodzaju miotacze, akceleratory antyprotonów i licho wie, co jeszcze. Nie powiem, żeby mnie to bawiło. Już teraz. Wolałem nie myśleć, co będzie tam. Choćby Hiss opowiedział jeszcze tysiąc bajeczek o „przypadkowym nieszczęściu”, kontakcie i supercywilizacji z Alfą. Rozwalili przecież trzy statki słabo uzbrojone i z pewnością nie szukające zaczepki.

Że akurat mnie pierwszemu w historii Korpusu Informacyjnego przypadnie misja, do jakiej w gruncie rzeczy byliśmy powołani? Cóż, skoro dotychczas nic takiego się nie zdarzyło. Ktoś kiedyś musiał być tym pierwszym. Zresztą, nie lecę sam.

Przyszedeł mi na myśl Uster. Już w czasie rozmowy z Itią zastanowiły mnie daty. I miałem rację. Poleciał z Leferem, na „Proximie”. Głupio byłoby wrócić i powiedzieć Itii, że...

Ale dlaczego ja właśnie miałbym wrócić?

Itia... Przypomniałem sobie, jak była ubrana wczoraj. Jej włosy. Pokój pełen pogodnego światła. I to, jak bawiła się szklaneczką z musującym płynem.

Uśmiechnąłem się do siebie i zasnąłem.

* * *

Zbudziłem się o siódmej, czasu miejscowego. Umyłem się, spakowałem radiogramy i poćwiczyłem szczęki na kostce koncentratu. Kiedy jadłem, przyszedł

technik z obsługi. Miał na nosie staroświeckie okulary z dymnymi szklami. Jakby wracał z obserwatorium.

Nie należał do rozmownych. Obejrzał mnie całego, poruszając przy tym bezgłośnie wargami. Wyszedł w końcu, ale tylko na chwilę. Wrócił z własnym zestawem diagnostycznym. Nigdy nie widziałem czegoś równie cudacznego. Obchodził się z tym jak alpinista z ulubionym prymusem. Sprawdził sprzężenia, wymienił jakiś drobiazg w butlerze. Miałem wrażenie, że przeszkadza mu we mnie wszystko, co nie jest mechanizmem.

Kiedy wreszcie skończył, wezwano mnie do dyspozytorni. Czekał tu już Snagg. Spotykałem go czasem w klubie. Razem kończyliśmy ostatni kurs Korpusu.

Kilka sekund po mnie wszedł Riva. Stanęliśmy koło układu planetarnego Alfa. Nie poświęciliśmy zbyt wiele uwagi jego orbitom, maźniętym w przestrzeni błyszczącymi nitkami. I nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Chwilę potem przyszedł Jeus. Wydawał się jeszcze bardziej chudy niż wczoraj. I nie patrzył nam w oczy. Spytał, czy przesłuchaliśmy radiogramy i nie czekając na odpowiedź ruszył ku drzwiom.

Poszliśmy za nim. Najbliższym szybem wyjechaliśmy na drugi poziom. Alarmowy. Stąd przeszliśmy pochylnią transportową bezpośrednio na pole startowe. Przezroczysta kopuła wieży była tak przezroczysta, że musiałem jej dotknąć palcem. Stała tam naprawdę. Tuż pod wieżą, w odległości dosłownie pięciu kroków, wznosiły się na wysokość kilkunastu pięter trzy popielate cygara. Wyglądały solidnie. Za sześć lat mieliśmy ujrzeć z ich kabin świat innego słońca. Pokazać mu, co potrafimy. Może nawet wrócić tutaj, na ścięty szczyt niewielkiego, stożkowatego wzgórza w Budorusie, które kryło w swym bazaltowym brzuchu główną bazę inforpolu. Każda z raket nosiła emblemat Korpusu, wytrawiony u nasady dysz. Poza tym wzdłuż całego kadłuba środkowej ciągnęły się wielkie litery, tworzące nazwę „Uran”. Dwie pozostałe miały ledwo widoczne napisy: „Kwark” oraz „Merkury”.

Automat służowy sprawdził skafandry. Były w porządku. Podeszliśmy bliżej włazu. Jeus odchrząknął i przygarbił się jeszcze trochę. Wodził nieprzytomnym spojrzeniem po czubkach naszych butów. Zanosilo się na dłuższą mowę.

— Dowódcą ekipy jest Thaal — wymamrotał.

Nie poruszyłem się. Równie dobrze mogli wyznaczyć któregoś z dwóch pozostałych.

— Leci was trzech — ciągnął Jeus, nieco jaśniejszym głosem. — Riva i Snagg. Kabina „Urana” została całkowicie zaadaptowana dla załogi trzyosobowej. Poza statkiem dowodzenia macie dwa pojazdy tego samego typu, sterowane przez automaty. Ich ośrodki dyspozycyjne są sprzężone z waszym. W razie konfliktu starajcie się w pierwszej kolejności manewrować statkami satelitarnymi. Wyposażenie kontaktowe. Podwójny komplet sond komunikacyjnych i laserowych. Zestaw po-

jazdów standardowy. Szczegółowe dane będą wam przekazane przez pokładowe datory w czasie hibernacji. To wszystko.

Wyprostował się. Jego wzrok podniósł się odrobinę. Gdzieś do wysokości naszych pasów. Można powiedzieć, że poweselał.

Skinąłem głową i odwróciłem się do włazu. Przepuścili mnie pierwszego. Zrobiłem kilka kroków w stronę trapu. Na moment przystanąłem i rozejrzałem się. Nad Budorusem zaczynał się drugi tydzień dnia. Słońce stało niemal w zenicie. Na południowym krańcu widnokregu majaczyły postrzępione szczyty Kaukazu. Jakby ktoś zaznaczył kontury łądu czarnym, cienutkim wężykiem. Między burozłotą pustynią i granatowym firmamentem, powleczonym złotą mgiełką, tak jasną, że niemal białą. Nie była to oczywiście prawdziwa mgła. Na wschodzie, bliżej, Alpy. Na północy, niewidoczny stąd, krater Arystotelesa. Ze swoimi bazami i ich uczoną załogą. Miną jeszcze doby, zanim Budorus i wszystko, co go otacza, pograży się w księżycowej nocy. Będziemy wtedy za orbitą Transplutona. A nawet za apheliami komet.

Przeszedłem trap. Wszedłem do kabiny i zająłem środkowy fotel, przed głównym ekranem i pulpitem neuromatu. Kiedy się obejrzałem, Snagg i Riva siedzieli już koło mnie.

Kazałem sprawdzić zespoły. Chwilę wsłuchiwałem się w śpiewne meldunki automatów i spokojne głosy ludzi. Ciekaw byłem, dlaczego Jeus nie wspominał o trzech pozostałych. Sześciu nas ściągnęli z centrali. Może zmienili plany w ostatniej chwili? Było to mało prawdopodobne. Ale niech się tamci martwią.

Wystartowaliśmy punkt dwunasta. Dwie godziny później urządziliśmy totalną kanonadę. Widok musiał być piękny dla kogoś, kto przyglądałby się z zewnątrz. Miałyby co opowiadać. Gdyby jakimś cudem przeżył.

Automaty celownicze działały bez zarzutu. Tak samo generatory energii. W ogóle wszystko działało. Ale coś trzeba było robić. W hibernację mieliśmy wejść dopiero po opuszczeniu płaszczyzny ekliptyki. Za orbitą Jowisza.

Nastąpiło to pod koniec trzeciego tygodnia podróży. Teraz dopiero statek zaczął się rozpędzać do szybkości podróźnej. My tkwiliśmy już w pianolitowych kokonach, pogrążeni w najgłębszym śnie. Do pobudki zostało trochę czasu. Nie wiele ponad sześć lat.

* * *

W programie był błąd. Albo w czasie, kiedy spaliśmy, nastąpiła awaria któregoś z zespołów. Automaty niczego nie sygnalizowały. Wokół nas była próżnia.

Ekrany czyste jak próbki granatowoczarnej farby. Czujniki wszystkie na swoich miejscach. Równe rzędy białych i zielonych światełek na pulpitych.

A jednak wyszliśmy z hibernacji w sposób przewidziany dla sytuacji alarmowych. Bez adaptacji. I od razu musieliśmy wziąć się do roboty. Przede wszystkim stwierdziliśmy, że we śnie nie dowiedzieliśmy się niczego. Nawaliły teledatory. Trzeba było pytać automaty. Na gwałt przygotowywaliśmy programy. Nie było sekundy do stracenia. Za kilka dni mieliśmy wejść w pole grawitacyjne Trzeciej. Do tego czasu baza nie odbierze nawet naszych meldunków. Nie mówiąc już o odpowiedzi. Wykorzystanie tachjonów do komunikacji międzygwiazdnej zmniejszyło opóźnienia z lat do tygodni. Byliśmy w sąsiedztwie najbliższego ze słońc. Jednak przecież te półtora parseka.

* * *

Podchodziliśmy spiralnym torem do drugiego satelity. Jak dotąd nic się nie działo. Przechwyciliśmy silne sygnały radiowe. Ale bez związków znaczeniowych. Przynajmniej takich, żeby mogły je rozszyfrować nasze analizatory. Za kilka minut znajdziemy się na orbicie.

Raptem, w ułamku sekundy, cała kabina rozjęczała się sygnałami alarmu. W pulpicie zapłonęły ostre światła. Przez pancierz statku przebiegło drżenie. Rzuciłem się do neuromatu. Jego ekran był ciemny. Musiałem postępować tak, jakby zawiodło całe automatyczne sterowanie. Zablokowałem sprzężenie neuromatu. Sam przejąłem stery. Riva kazałem zająć się „Merkurym”. Snagg miał zdalnie pilotować „Kwarka”. Natychmiast wysunął statek do przodu, żeby nie wpakować „Urana” pod jego dysze. Riva zrobił to samo. Szliśmy szykiem stożkowym. Nie spuszczałem wzroku z ekranu tachdaru. Jedyne, na jaki można było jeszcze liczyć. Ukazała się iskierka. W ułamku sekundy urosła do rozmiarów płonącej kropli. W tym samym momencie przestrzeń przed nami zmieniła się w morze ognia. Riva otworzył ogień. Miotacz „Merkurego” strzelił w kierunku obiektu ładunkiem antyprotonów. Nie było poprawek. Ekran ściemniał na chwilę, a kiedy odzyskał kolor rozjaśnionego granatu, nie dostrzeżliśmy na nim śladu jakichś iskier ani kropelek. Co to było? Meteor? Pocisk?

Alarm. W polu widzenia trzy obiekty. Nie meteory. Statki. Nawet podobne do naszych. Zbliżały się po stycznej, dzięki czemu mogliśmy je obejrzeć.

Snagg i Riva przystąpili do akcji. Zobaczyłem, jak satelitarne rakiety odwracają ciężkie łby, pokonując przeciążenia zabójcze dla każdej żywej istoty i rozbiegają się na boki. Usłyszałem sygnały wywoławcze. Krótkie serie liczb. Ale tamci znajdowali się już w polu rażenia baterii laserowych. I nie odpowiadali. Zanim

zdążyłem pomyśleć, że nie czas teraz bawić się w parlamentariuszy, dostrzegłem najcieńsze nitki złota, które na mgnienie połączyły lasery „Merkurego” ze środkowym statkiem obcego klucza. Zaraz ześliznęły się w stronę dwu pozostałych. Jeszcze moment i w miejscu, gdzie przed chwilą ciemniały smukłe korpusy rakiet, wykwitły trzy chmury ognia. Pole wokół nas było znowu czyste.

Kilkanaście minut pozostawaliśmy na orbicie. Sprawdziłem zużycie energii i wyrównałem pracę stosu. Wszystkie zespoły neuromatu pracowały jakby nigdy nic. Kazałem powtórzyć meldunki, jakie w czasie starcia poszły w kierunku bazy. Były precyzyjne i układały się w logiczną całość. Ścieśniliśmy orbitę i po upływie dalszych kilkunastu minut uruchomiliśmy dysze hamownic. Nagle Snagg zameldował, że automatyczny pilot „Kwarka” utracił sprzężenie z neuromatem. Chwilę później ujrzeliśmy w iluminatorach dziób statku. Zachowywał się tak, jakby przechodził do szyku bojowego. Przyspieszył. Niemal straciliśmy go z oczu. Raptem zaczął zataczać ostry łuk. Tak ostry, że nie sądziłem, aby przy tej szybkości w ogóle było to możliwe. Dobra rakietka. Za dobra. Ustawiła się na wprost nas, nieco bokiem. Snagg od dłuższej chwili szarpał raz za razem dźwignię blokady. Z równym skutkiem mógł zabawiać się zapalniczką. „Kwark” najwyraźniej manewrował pod wpływem automatów celowniczych. Ale nie było w co celować. Poza nami.

Żaden z nas nie odezwał się słówkiem. Od momentu przebudzenia nasze umysły pracowały jak najczulsze stacje obliczeniowe. Szybko i precyzyjnie. Reakcje następowały jedna po drugiej, za każdym razem jedyne, jakich wymagała sytuacja. Nie czułem nawet chłodu w koniuszkach palców. Nie czułem nic.

I teraz byłem spokojny, przyciskając spust miotacza antymaterii. „Kwark” był za dobrze uzbrojonym statkiem, aby próbować zabawy z laserami.

Zniknął w ułamku sekundy, pozostawiając utrzymujące się w próżni światło. W następnej chwili zablokowaliśmy jego sprzężenie z neuromatem. Coś się zmieniło. Mieliśmy już tylko dwa statki. Automaty zachowywały się przez chwilę jak zdezorientowane. Trzeba im było zapewnić równowagę w nowej sytuacji.

Równolegle przez cały czas rozwijaliśmy operację lądowania. Tachdar określił już pole na powierzchni satelity. Weszliśmy w korytarz z dokładnością do centymetrów. Dziesięć minut później kratownice „Urana” dotknęły gruntu.

* * *

Odczekaliśmy trzydzieści sekund. Cisza. Oba statki stały mocno, bez drgania. Podłoże musiało być skaliste. Przeprowadziliśmy krótkie pomiary. Atmosfera jak na zamówienie. Radioaktywność praktycznie żadna. Temperatura wysoka, ale w normie.

Zostawiliśmy automaty w pozycji pogotowia startowego. W kabinie „Ura” miał czekać Riva. Snagg i ja zeszliśmy na ląd. Kłapa transportowa „Merkurego” stała już otworem. Po chwili ukazał się w niej płaski łeb „Phobosa”. Ten najcięższy z naszych poduszkowców był niemal tak uzbrojony jak jego macierzysty statek. Wypełzał teraz na miazgi piasek, zalegający lądowisko.

Jazda trwała niespodziewanie krótko. Za pierwszą wyższą wydumą, w piaszczystym siodle ukazał się nagle wielki, cudaczny pojazd. Przypominał staroświecką barkę. Albo stodołę. Stanęliśmy. Zbliżył się do nas na odległość czterystu metrów i zatrzymał się również. Z jego wnętrza trysnęły jak race, wyrzucone we wszystkich kierunkach naraz, jajowate kształty. Długimi skokami, ale nie bardzo szybko, polatywały w naszym kierunku. Były przezroczyste. W ich wnętrzu, za cienkimi — jak się zdawało — ściankami coś się poruszało. Wyrównały tyralierę i zamarły, odgradzając nas od swojego macierzystego pojazdu dość gęstym płótem.

Domyśliłem się, że wewnątrz siedzą automaty. Zostawiłem Snagga przy miotaczu i zeskoczyłem na piasek. Powoli, ściskając w ręku kolbę ręcznego lasera, zszedłem w ich stronę. Uśmiechałem się. Powinienem się uśmiechać. Mogą mieć analizatory lepsze od naszych.

Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, przystanąłem. Odpiąłem od pasa pustą karburę i położyłem ją na piasku. Oddaliłem się parę metrów i wypaliłem do niej krótką serię. Spłonęła jak słomka. Odwróciłem się twarzą do obcych. Podniosłem rękę z miotaczem, następnie schyliłem się i położyłem laser przed sobą. Wyprostowałem się, rozłożyłem ręce, pokazując, że są puste, i odliczyłem jeszcze sto kroków w stronę mieszkańców Trzeciej. Bo przecież nie mogły to być istoty czy maszyny pochodzące stąd, z martwego satelity.

Chwilę stałem bez ruchu. Wreszcie wzruszyłem ramionami i rozsiadłem się wygodnie na piasku. Robiłem to wszystko tyle razy na poligonie, że nieustannie docierające do mnie wskazówki pokładowych automatów przyjmowałem jak szum deszczu na Ziemi, nie zwracając na nie uwagi.

Siedziałem tak bite dwadzieścia minut. Pomyślałem, że Snagg pojedzie, jeżeli to jeszcze trochę potrwa. Wstałem i wyprostowałem się. Wtedy coś wreszcie poruszyło się w obcej tyralierze. Spoza niej, chyba od strony głównego statku, wyszły dwie postacie. Ruszyłem im naprzeciw. Po chwili zatrzymaliśmy się. Oni i ja. Nie dzieliło nas więcej niż półtora metra.

Poruszałem się teraz jak na zwolnionym filmie. Wydobyłem z kieszeni miniaturowy przekaźnik holowizyjny. Równocześnie Snagg uruchomił nadajnik. Uderzyłem się wskazującym palcem w pierś i wyświetliłem pierwszy obraz. Zdjęcie układu słonecznego na tle Galaktyki. Żółta strzałka wskazywała Ziemię. Następny obraz był przestrzenną fotografią planety, zrobioną ze stacji satelitarnej. Dalej miasto. To, w którym się urodziłem. Góry, morze, rzeka. Drzewa, ogrody pełne kwiatów. Ludzie. Kobieta i mężczyzna. Dzieci.

Trwało to dość długo. Twórcy zestawu nie skąpili informacji nie znanym sobie widzom. Wreszcie skończyłem. Wtedy położyłem przekaźnik na otwartej dłoni i z wyciągniętą ręką podszedłem do pierwszego z obcych. Stałem tak, że jeszcze krok, a musiałbym go popchnąć. Ani drgnął. Za to mogłem mu się teraz lepiej przyjrzeć. Nie był automatem. Chyba nie. Każdy ogród zoologiczny na Ziemi kupiłby go bez wahania. Największemu fantaście wśród zoologów nie przyszłoby na myśl, że ma przed sobą istotę technologiczną. A był nią, skoro umiał posługiwać się pojazdami.

Staliśmy pierś w pierś, jeśli można tak powiedzieć o trójkątnym pojemniku w bezbarwnej folii, jaki sterczał z jego tułowia na wysokości mojego żołądka. Niewykluczone, że miał tam głowę. Centrum nerwowe. Gdziekolwiek ją zresztą miał, nie wyglądało, żeby jej nadużywał. Znacząco mnie to nudziło. Wreszcie wykonał jakiś ruch. Nie był to jednak gest pod moim adresem. Natychmiast z tyraliery pojazdów wysunął się jeden wypukły krążek i podjechał ku nam. Zatrzymał się całkiem blisko. W przezroczystym płaszczu dostrzegłem otwór wielkości fryzjerskiego lustra. Mogło to oznaczać zaproszenie. Mogło nic nie oznaczać. Porozumiałem się ze Snagiem i wlałem do środka. Kabina pojazdu od wewnątrz wyglądała jak szklane jajo. Była idealnie pusta, ogołocona ze wszystkiego, co w najmniejszym stopniu mogło przypominać przyrządy nawigacyjne. Ułożyłem się niezgrabnie w środkowej części zakłębienia jak na dnie wielkiej wanny. Jajo pędziło już ze mną, tocząc się po gruncie i wzbijając chmury pyłu. Nie sposób było spostrzec, czy inne podążają za nami, czy zostały w sąsiedztwie Snagga. Spróbowałem nawiązać z nim kontakt. Odpowiedział niespodziewanie Riva. Coś psuło się w atmosferze. Przez górną ściankę widziałem nadbiegające zewsząd chmury. Wreszcie wjechaliśmy do miasta.

Miasto. Raczej składowisko pomocy naukowych. Setki brył geometrycznych, poprzewracanych i zastygłych w niemożliwych pozach. Wielki, jak wymieciony, plac. Przypominał rynek. Równie dobrze mógł to być cmentarz albo na przykład strzelnica.

Kiedy wygramoliłem się z pojazdu, pośrodku placu, daleko, w perspektywie szerokiej przecinki między bryłowatymi konstrukcjami coś drgnęło. Obejrzałem się. Jajo znikło już z pola widzenia. Zostałem sam jak palec.

Najniespodziewaniej usłyszałem głos Snagga, jakby stał metr koło mnie. Powiedziałem, że żyję, ale żeby się miał na baczności. Nie był daleko. Musiał też ruszyć w stronę miasta, niewiele wolniej niż moje jajo.

Z przecinki naprzeciw wytoczył się duży, żółwiowaty pojazd. Miał z przodu coś w rodzaju wieżyczki zakończonej ostro ściętą rurą. Obrócił ją w moją stronę. Błysnęło. Był to króciutki błysk, nie zdążył mnie nawet oślepić. Równocześnie grunt drgnął. Kilka centymetrów przed moimi stopami przetoczył się ciemny kształt. Wywołałem Snagga. Jeszcze podawałem mu namiary, kiedy błysk się powtórzył. Znowu chybili. W tym momencie Snagg otworzył ogień. Niemal

usłyszałem niewidoczny lot pocisku z kwarkowym jądrem. Runąłem na ziemię. Siedemset, może osiemset metrów od epicentrum.

Snagg przedobrzył. Zamiast przestrzelić miasto i dosięgnąć go zewnętrznym promieniem rażenia, wpakował pigułę w sam ratusz, jeśli można się tak wyrazić. Pomyślałem to leżąc bez ruchu, kiedy bryły domów, jeśli to były domy, w sąsiedztwie strzelającego pojazdu spływały ogniową lawą, tworząc barwne rozlewiska.

Nic mi się nie stało. Nie dosięgnął mnie żaden odłamek. Przed bezpośrednim podmuchem osłoniło mnie przypadkiem znalezione przedpiersie. Mogłem pożyć jeszcze dwa, nawet trzy dni. Przy tej dawce promieniowania szansę na przedłużenie tego okresu były żadne.

Odwrociłem się powoli i sztywno wyprostowany ruszyłem w stronę, skąd przyjechałem.

Pół godziny później odnalazłem Snagga. Czekał w otwartym wylazie „Phobosa”, na szczycie płaskiego wzgórza.

Kiedy mu powiedziałem, zamilkł. Następnie, wbrew mojemu zakazowi usiłował podjechać bliżej. Krzyknąłem. Uspokoił się. Ale tylko na moment. Zastanowił się przez chwilę, po czym wyskoczył z wylazu i zaczął iść w moją stronę. Wziąłem do ręki rzutnik holowizyjny i powiedziałem, że strzelę, jeśli zbliży się jeszcze o krok. To go zatrzymało. Nie mógł dojrzeć, że nie mam miotacza. W dalszym ciągu był podniecony. Wykrzykiwał, że nie odleci, że na statku są neutralizatory, że ułożą mnie w hibernatorze i tak dalej. Nonsens. Musiał sobie równie dobrze jak ja zdawać sprawę, że takiego źródła promieniowania, jakim było teraz moje ciało, nie zniósłby w kabinie osobowej żaden z pokładowych automatów. A oni nie mogli się do mnie zbliżyć. Wystarczyłoby kilka minut.

Wezwałem Rive. Dałem sygnał alarmu. Nie próbował startować. Położył rakiety i taranował powierzchnię globu na poduszce powietrznej. Musiało mu być ciepło. Za to ujrzałem go po niespełna piętnastu minutach. Wtedy Snagg ruszył. Nie spiesząc się, krok za krokiem podążał w moją stronę. Próbowałem uciekać. Skażenie zrobiło jednak swoje. Był szybszy, kiedy zaczął biec. Dopadł mnie, zanim przebyłem dwieście metrów. Nie miałem pod ręką żadnego przedmiotu, którym mógłbym go uderzyć i obezwładnić. Stał koło mnie i uśmiechał się. Liczył chyba na to, że Riva nie zostawi obu swoich towarzyszy w tej samej sytuacji.

Minęło pięć minut. Odrobinę za wiele. Riva był teraz równie bezradny jak ja. Nakazałem mu opuszczenie globu i powrót do bazy. Strata statku i śmierć dwóch ludzi, w tym dowódcy, usprawiedliwiała tę decyzję. Nie miał tu już czego szukać. Sprawa musi zostać otwarta do czasu następnej ekspedycji. Nie wątpiłem, że ją wyślą. Ale ani ja, ani Snagg już tego nie zobaczymy.

Zabrzmiał daleki, spokojny, jakby niechętny głos Rivy. Żegnał się z nami po swojemu. Zaraz potem „Uran” uniósł łeb i zaczął przechodzić do pionu. Usłyszałem, jak samotny już pilot wzywa automaty startowe „Merkurego”. Czas naglił. W każdej chwili należało oczekiwać odwetu za zdruzgotane miasto. Powietrze

zadrgało. Jeden po drugim odpalały silniki głównego ciągu. W ciągu kilkunastu sekund rakieta stanęła na słupie ognia. Uniosłem rękę. Nie wiem, czy na mnie patrzył. Start z nie przygotowanego pola stwarza zawsze trochę kłopotów. Odprowadziłem wzrokiem niknącą w przestrzeni smużkę fotonowej wiązki, po czym odwróciłem się do Snagga. Nie zobaczyłem go już. W ułamku sekundy obraz rozmazał się, ściemniał, zafalował. Zniknęła piaszczysta pustynia, obcy nieboskłon, stygnąca kałuża gruntu, trafionego odrzutem startującego statku. Tam, gdzie przed chwilą jeszcze stał Snagg, widniała teraz skrzywiona twarz Jeusa. Powiększona do rozmiarów reklamowego afisza. Wypełniała cały czołowy ekran statku.

Rozejrzałem się. A więc to tak. Siedzieliśmy najspokojniej w kabinie rakiet, kilka metrów od wieży dyspozycyjnej pola startowego w Budorusie. Z lewej i prawej strony wznosiły się ciemne sylwetki statków satelitarnych. Od rzekomego startu minęło nie sześć lat, a chyba niewiele więcej niż sześć minut. Kwestia częstotliwości. Musieli użyć najnowszych, sprzężonych emitatorów holowizyjnych. Jeśli już zdecydowali się na zabawę w egzaminatorów. . .

Licho wie, po co w takim razie przechodziliśmy te wszystkie sprawdziany na poligonach, kilka razy w roku.

* * *

Odpiąłem pasy. Ciekawe, kiedy wystartujemy naprawdę. W każdym razie teraz możemy wrócić do naszych przytulnych pokoików. Skoro już zrobili to przedstawienie, będą kilka godzin ślęczeć nad zapisami automatów kontrolnych. Na zdrowie.

Przypomniałem sobie dziwnego technika w okularach. Jasne. Pokombinował coś z moją osobistą aparaturą. Inaczej od razu dałaby mi znać, że to tylko szopa.

Rozdział 3

W PRZESTRZENI

Leżałem nagi na materacu, odpierającym elastycznie każde poruszenie ciała i czułem, jak skrapla się w porach mojej skóry wyparowana wilgoć. Nie byłem zmęczony. Nie bardziej niż po pierwszym lepszym pozorowanym locie sondażowym po orbicie Jowisza. Tam także spotykały nas wymyślne niespodzianki. Złudzenie było równie doskonałe. Tylko że włączając do rakiety człowiek był uprzedzony. A dzisiaj cały ten lot, walkę i śmierć przeżyłem naprawdę. Fakt, że wszystko rozegrało się pięć kroków od bazy, miał znaczenie tylko dla obserwatorów. Nie dla mnie. I choć nie czułem zmęczenia, wewnątrz mojego układu nerwowego musiały zachodzić jakieś procesy regeneracyjne.

Ktoś zapukał do drzwi. Zwlokłem się z materaca i z uczuciem człowieka wchodzącego w samo południe do pieca rozpalonego na Saharze, wbiłem się w lekki, spacerowy skafander. Ustawiłem rączkę klimatyzatora na zerze i otworzyłem drzwi.

Na progu stała młoda dziewczyna w krótkiej, pomarańczowej spódniczce. W pierwszej chwili przebiegło mi przez myśl, że to dalszy ciąg porannych igraszek. W każdej bazie były oczywiście kobiety. Ze wszystkimi możliwymi cenzurami naukowymi. Ich osiągnięcie pochłania ładne kilkanaście latek. Najzdolniejszym.

Ta wyglądała raczej na studentkę. Jej krótko ścięte włosy miały barwę jasnego, wytrawnego wina. Uśmiechała się. Równocześnie jednak jej szeroko otwarte oczy patrzyły we mnie jakby badając, czy zaraz zamienię się w wielką, złośliwą małpę, czy trochę jeszcze poczekam.

— Widziałem dzisiaj różne potwory — mruknąłem, nie ruszając się z miejsca. — Jestem uodporniony. Inaczej padłbym trupem na miejscu. Nie przypuszczałem, że posuną się aż do tego. To nie fair.

Uśmiechnęła się znowu. Tym razem uśmiechnęły się także jej oczy.

— Jeżeli nic już panu nie grozi — powiedziała tonem, jaki jej zdaniem mógł świadczyć o pewności siebie — to może pozwoli mi pan wejść. Na chwilę — dodała szybko.

Przepuściłem ją bez słowa, następnie zamknąłem drzwi i postąpiłem kilka kroków w jej stronę.

— Co do tych potworów — powiedziała — widziałam wszystko. Byłam w wieży dyspozycyjnej. Jestem lekarzem — wyjaśniła.

Wskazałem jej fotel. Sam wróciłem na materac i wyciągnąłem się wygodnie.

— To świetnie — mruknąłem. — Ale nie sądzę, żebym potrzebował lekarza. Chyba że chce mi pani wymienić jakiś drobiazg?

— Na imię mi Lina — jej głos stał się nagle poważny i jakby smutny. — Nic panu nie trzeba wymieniać. To raczej mnie proszę traktować jak pacjenta. Potrzebuję pomocy.

— Naprawdę? — zdziwiłem się. — To mnie podnosi na duchu. Zrobię wszystko dla dziewczyny w spódniczce.

Znowu poweselała odrobinę.

— Wszyscy zwracają uwagę na moje ubranie — poskarżyła się z kokieterią. — A ja uważam, że to bardziej kobiece niż spodnie i te różne cudaczne kombinacje.

— Cieszę się, że tak uważasz — oświadczyłem z powagą.

Spódnice nosiły już tylko niektóre plastyczki i babki zawodowo, że tak powiem, ekstrawaganckie. Na Ziemi. Założyłbym się, że była jedyną, która dochowała im wierności również w przestrzeni. Miała nogi jak tancerka z kabaretu. Takiego, gdzie człowieka dwa razy obejrzą od stóp do głowy, zanim go wpuszczą.

— Niewiele mogę zrobić — powiedziałem powoli, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. — Jeśli spodoba im się to, co widziałaś, jutro już mnie tu nie będzie. Chyba — uśmiechnąłem się — że tam masz coś do załatwienia.

Skinęła poważnie głową.

— Tak — szepnęła. — Właśnie tam.

A więc jednak. Uniosłem się na łokciach i spojrzałem na nią zachęcająco.

— Ann jest moją siostrą — powiedziała cicho. — Wiesz. . .

Nie wiedziałem, oczywiście. Skąd miałem wiedzieć. Ann. Poleciała z wyprawą kontaktową. Uchodziła za wybitnego egzobiologa.

— Chcesz, żebym ją przywiózł z powrotem? — spytałem po chwili półgłosem. — Po to tam lecimy — skłamałem. — Tylko minęło już kilka lat i. . .

— Wiem — przerwała. — Nie jestem dzieckiem. Chciałam. . . — ściszyła głos. — Nie wskórasz nic, jeśli od razu zaczniecie strzelać. Przepraszam — dodała szybko. Ale w jej głosie nie było śladu skruchy.

— Nie szkodzi — powiedziałem.

Chwilę nie mówiliśmy nic. Nie miało sensu jej tłumaczyć. Wiedziała wszystko równie dobrze jak ja.

— Może za wcześnie przychodzisz z tym do mnie — powiedziałem wreszcie.
— Było nas sześciu. . .

— Nie — przerwała znowu. W jej głosie zabrzmiała pewność.

— Powiedzieli ci?

Potrząsnęła główką.

— Nie musieli mi mówić — oświadczyła z powagą. — Widziałam. Byliście lepsi.

Wstałem i przeszedłem się po pokoju. Miła dziewczyna. Jej twarz, odrobinę za pełna, miała w sobie coś z górskiego kwiatu. Takiego, co rozwinął się w słońcu i któremu nie przeszkodziły deszcze ani wiatr. Zatrzymałem się tuż za nią i położyłem rękę na jej ramieniu.

— Dziecinko — powiedziałem z uśmiechem — jesteście tacy sami. Wszyscy. Nie ma wśród nas lepszych. A już na pewno gorszych.

Określiła się zwinnie w miejscu, tak że jej twarz znalazła się tuż pod moją. Duże, szeroko rozstawione oczy, wąski nos z delikatnie zarysowanymi nozdrzami i ciemne brwi, wygięte ku górze. Miła dziewczyna.

— Nadludzie? — spytała drwiąco. — Czy może automaty? Zapominasz, że jestem lekarzem. Byliście lepsi o trzy punkty. To znaczy tamci byli trzykrotnie bliżej błędu,

— Ale go nie popełnili?

Zachnęła się.

— Tak czy owak poleci twoja załoga — powiedziała. — Wiedziałam o tym. . .
— zawahała się.

— Jak tylko nas ujrzałaś? Zrozumiałaś, że albo nikt, albo my. Była kiedyś taka piosenka.

Pomyślała chwilę, czy się rozgniewać. Ale dała spokój.

— Nie was — poprawiła. — Ciebie. Może jesteście tacy sami. W służbie i tak dalej. Ale nie dla dziewcząt. W każdym razie nie dla mnie. Dość, że wiedziałam. Przyjmij to jako fakt, równie pewny, jak moja obecność tutaj, w twojej kabinie. Widzisz, to przecież ciebie właśnie przyszedłem prosić, żebyś zrobił wszystko dla Ann. . . Wszystko, co będzie możliwe. . .

Już od pewnej chwili przestałem się uśmiechać. Teraz poczułem, że w pokoju robi się chłodno. Wstałem i przesunąłem rączkę klimatyzatora. Zrobiłbym jeszcze coś, co zajęłoby trochę czasu. Ale nic nie przychodziło mi na myśl.

Wróciłem powoli na tapczan i spojrzałem jej w oczy. Patrzyła na mnie spokojnie.

— Dziecinko — mój głos brzmiał odrobinę ciszej, niż należało — nie licz na to za bardzo. Rozumiem, co chciałaś mi powiedzieć. Tylko tyle.

Skinęła głową.

— O to mi właśnie chodziło — wyszeptała. — I nie myśl, że przyszedłem z tym do każdego. Pomimo — uśmiechnęła się — że jesteście tacy sami. . .

Zapanowało milczenie. Wiedziałem, co zrobię, a czego nie. Powiększenie marginesu w naszych programach nie wchodziło w rachubę. Byłby to zawsze margines błędu. Błędu, który mógłby kosztować wszystko. Swoją drogą dziwne, że wybrali akurat mnie. Tak naprawdę nie wierzyłem ani przez chwilę, że moje machinacje z butlerem pozostały nie zauważone. Aparatura kontrolna stymulatorów w centrali musiała coś zarejestrować. Ale byłem spokojny. Cały czas. Może to dlatego?

Spojrzałem na dziewczynę. Siedziała bez ruchu, przyglądając mi się uważnie. Jej twarz była czujna, choć zniknęło z niej napięcie. Jakby właśnie zażegnała grożące jej niebezpieczeństwo.

— Od dawna jesteś tutaj? — spytałem.

— Od sześciu lat — odpowiedziała obojętnym tonem.

Skinąłem głową.

— Czekam — dodała po chwili. — Dali mi przydział, chyba ze względu na Ann. Ja... — zawahała się — my byliśmy zawsze razem...

— To kawał czasu — mruknąłem. Odniosłem wrażenie, że za chwilę się rozklei. Nie lubiłem tego. — Kiedy, u licha, zdążyłaś skończyć studia? — spytałem szybko.

Uśmiechnęła się blado.

— Mam dwadzieścia sześć lat — oświadczyła bez przykrości. — Kiedy wrócisz, będę starsza od ciebie.

Obliczyłem szybko.

— O rok — wzruszyłem ramionami. — I będziesz już profesorem. A ja pójdę do przedszkola. Żeby się nauczyć, co zrobiliście przez te trzynaście lat.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Studia skończyłam tutaj — wyjaśniła. — Nie będę profesorem — dorzuciła po chwili.

— Co robisz po pracy?

Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiejąc. Wreszcie uniosła brwi i rozłożyła bezradnie ramiona.

— Mamy tu kluby... uczę się trochę... chodzę na spacer.

— Na powierzchni?

— Też. Ale nie za często. Zwykle idę do ogrodów. Porobili tam kawiarenki, takie jak na dole.

Uśmiechnąłem się mimo woli. Wyrażenie „na dole” należało do żargonu przyjętego we wszystkich pozaziemskich stacjach. Oznaczało oczywiście Ziemię i jak wiele zwrotów tego żargonu zawierało podświadomy bunt przeciw odkryciom Kopernika, w momencie kiedy przychodziło doświadczyć ich prawdziwości na własnej skórze.

— Poszłabyś tam ze mną? — spytałem!

Ożywiła się.

- Teraz? — spytała, wstając.
— Uhm. Na jutro nie mogę się, niestety, umawiać.

* * *

Oprowadziła mnie po całej bazie. Zrobiliśmy, lekko licząc, dwadzieścia kilometrów. Najpierw zjechaliśmy na trzeci poziom, najniższy. Zlokalizowano tam całą produkcję. I energetykę. Mijaliśmy nie kończące się ciągi przewodów, węzły, rozdzielnie niebotytanowych kabli kriogenicznych, a raczej ich pancerzy, w których krążył powoli płynny wodór. Piece wodne, ogrzewające wszystkie zakamarki bazy i stanowiące dodatkowe źródło energii. Na ekranach, wmontowanych w ścianę korytarza, można było śledzić toczący się w nich nieustannie proces łączenia deuteru w hel. Dalej fabryki broni. Hala laserów chemicznych, stosowanych jako zapalniki bomb i pocisków kwarkowych. Generatory laserowe i miotacze. Mnóstwo zabawnych rzeczy do zabijania, trucia i spalania. Jednodniowa produkcja dostarczała energii, zdolnej do rozwalenia całego układu planetarnego. Na tym poziomie znajdował się dworzec kolei grawitacyjnej, łączącej bazę z innymi placówkami na całym globie. Ale pociągi przychodziły tu rzadko i nieregularnie. Teren specjalny.

Nie zabawiliśmy tam długo. Ani też na średnim poziomie, zwanym dyspozycyjnym, gdzie mieszkała prawie cała załoga. Tu zresztą zaczęliśmy nasz powitalny spacer. Teraz pojechaliśmy wyżej. Pięć szóstych powierzchni poziomu zajmowały tutaj ogrody. Poza nimi znalazło się miejsce na plac alarmowy i startowy. Wszystko na jednej, najwyższej płaszczyźnie, częściowo, jak na przykład w wypadku ogrodów, przykrytej tylko wypukłym przezroczystym pancierzem, pozwalającym wreszcie sięgnąć wzrokiem do postrzępionego horyzontu bez pośrednictwa telewizji. Obejrzałem otaczającą bazę pierścień ogniwo fotoelektrycznych, niewidocznych z pola startowego. Bliżej ogrodów znajdowały się wytwórnie wody, które jednak na powierzchnię wystawiały zaledwie szczyty wież destylacyjnych. Wodoru i tak zresztą stale przybywało, dzięki zwykłemu metabolizmowi, zachodzącemu w organizmach żywych. W sąsiedztwie tych wież zbudowano szerokie, płaskie tlenownie. Już w pierwszych bazach pracowały na podobnej zasadzie. Były tylko dziesięć razy mniejsze. Całkiem niedawno, chyba jedenaście lat temu, ekipie Riona i Lampila udało się ostatecznie uporać z ucieczką lżejszych molekuł w słabych polach grawitacyjnych. Dopiero wtedy produkcja tlenu z minerałów i wody krystalicznej nabrała znaczenia w skali przemysłowej.

Znałem to wszystko na wylot. Nie, żebym tu tak często przyjeżdżał. Ale technika obsługi baz orbitalnych wchodziła w zakres ćwiczeń na każdym poligonie.

Mimo to robiłem minę jak uczeń, którego pierwszy raz zabrano do pracowni w kraterze Archimedes. Wreszcie znaleźliśmy zaciszny kąt, w głębi ogrodu, wśród karłowatych drzewek o nieproporcjonalnie szerokich koronach. Ustawiono tu wiatę, skleconą z plastikowych łat, naśladujących liście tropikalnych roślin. Pod nią szynkwas, jakby przeniesiony ze starych filmów z Dzikiego Zachodu. Wszystko razem trąciło szmirą o milę. Ale prócz nas nie było tu żywego ducha. A za boczną ścianą kopuły rysowały się ostrymi konturami poszarpane stożki Alp.

Najbardziej ujął mnie chyba jej spokój. I to, jak wyłożyła swoją sprawę. Wiedziała, co zaszło, w czasie całego tego przedstawienia z pozorowanym lotem. Wiedziała, że dla mnie był to prawdziwy lot i walka, i śmierć. Przyszła prosić, żebym się tak nie śpieszył. Pomimo wszystko. Trzeba do tego trochę odwagi. Nawet, jeśli się to zrobi tak ogłędnie jak ona. Bez stawiania kropki nad „i”.

Pomyślałem, że nie byłaby najgorszą towarzyszką dla faceta z inforpolu. Oczywiście nie faceta, który wybiera się na trzynastoletni spacer. Nawet, gdyby miał szansę wrócić.

W pewnej chwili umilkła. Jej wzrok powędrował przez płonący, biały płaskowyż ku linii skalnych urwisk. Zamyśliła się. Wstałem i przyniosłem z bufetu dwa owocowe cocktaile. Za bufetem przesuwiał się płaski robot, przypominający tarczę w jarmarcznej strzelnicy. Miał na szyi jedwabną apaszkę i srebrną gwiazdę na piersi. Jakby w czasach, z jakich rzekomo pochodził, żaden szeryf nie zajmował się niczym innym, jak tylko podawaniem gościom szklaneczek z jabłkowym sokiem.

Kilka minut siedziała bez ruchu. Wreszcie, nie odrywając wzroku od linii horyzontu, powiedziała jakby do siebie:

— Byłam tu z Krosvitzem.

Nie powiem, żeby to była wiadomość, na jaką czekałem.

— Tak? — mruknąłem uprzejmie.

Odwróciła się do mnie. Chwilę badała mnie spojrzeniem, wreszcie uśmiechnęła się. Był to uśmiech młodej dziewczyny, która domyśliła się nagle czegoś, co dziewczynom nigdy nie sprawia przykrości.

— Mówiłaś mi... o tym samym? — spytałem szybko.

Spoważniała. Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Myślałam o tym — szepnęła. — Ale on... — urwała.

Pociągnąłem łyk cierpkiego płynu i odstawiłem kubek.

— Odmówił?

— Nie to — odparła z namysłem. — Nie słuchał po prostu. Chciał... mniejsza z tym zresztą — odwróciła twarz. Zarumieniła się i nagłym ruchem sięgnęła po szklaneczkę z cocktailem.

— Rozumiem — mruknąłem. — Może go tam spotkam. Ale nie będę go lubił.

— Och, nie — zawołała bez przekonania. Uniosła szklaneczkę odrobinę wyżej i spojrzała na mnie przez szkło. — Naprawdę? — spytała. Zabrzmiało to jak zaproszenie do wspólnej zabawy.

Roześmiałem się, wznosząc zachęcająco kubek z sokiem. Poczułem się nagle młody. Jakbym nigdy nie widział błysku anihilacji i nigdy, skazany na śmierć półtora parseka od domu, nie żegnał startujących w kierunku Ziemi towarzyszy.

Odpowiedziała uśmiechem i pogroziła mi palcem. Wstałem i odniosłem kubki do bufetu. Podniosła się także, wygładziła spódniczkę i podeszła do mnie. Stała tuż za moimi plecami. Odwróciłem się powoli. Spojrzałem na nią z powagą, marszcząc brwi. Następnie wpatrzyłem się w przestrzeń za kopułą, położyłem palec na ustach i z przejęciem, jakbym odkrył coś niesłychanie ważnego wskazałem ręką w kierunku gór. Kiedy odwróciła twarz w tamtą stronę, pocałowałem ją w policzek. Odskoczyła. Przez moment wydawało mi się, że powie coś, co nie sprawiłoby mi przyjemności. Ale nic nie powiedziała. Jej oczy złagodniały po chwili. Tylko twarz pozostała poważna, odrobinę za poważna. Zbliżyła się do mnie i delikatnie, jakby badając, czy nie mam gorączki, pocałowała mnie w usta. Nie poruszyłem się. Naprawdę zaczynała mi się podobać. Wcale nie dlatego, że była spokojna. I opanowana. W każdym razie nie tylko dlatego.

Bez słowa wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z ogrodu. Zjechaliśmy na środkowy poziom. Cały czas czułem na dłoni ucisk jej drobnych palców. W pewnej chwili stanęliśmy przed białymi drzwiami. Dotknęła zamka i kiedy drzwi zniknęły w ścianie, skinęła głową. Puściła moją rękę i weszła pierwsza.

— Chodź — powiedziała spokojnie, lekko ochrypłym głosem. — Muszę cię zbadać.

— Zbadać? — zdziwiłem się.

— Jestem przecież lekarzem.

* * *

Zbudziłem się rano z uczuciem, że siedzę w kabinie rakiety, pędzącej przez atmosferę i że wystawiłem rękę przez iluminator. Uniosłem głowę i rozejrzałem się. Nie było rakiety. Leżałem w pokoju obok dyspozytorni, gdzie wyznaczono mi kwatery. W zgięciu mojego łokcia jaśniał puszysty kłębek włosów o odcień — zapewne niedostrzegalny, jeśli nie widziało się nas razem — ciemniejszych od moich.

Zamruczała, poruszyła wargami i otworzyła oczy. Chwilę wpatrywała się ze zdumieniem w coś, co leżało na jej ramieniu i co było moją dłonią. Następnie

przewróciła się na bok i uniosła głowę. Przyjrzała mi się uważnie, niemal badawczo.

— Jeśli teraz powiesz, że ci się nie podobam — mruknąłem ostrzegawczo — będzie to rekord spostrzegawczości.

Uśmiechnęła się i położyła mi dłoń na ustach.

* * *

Trzy kwadransy później stałem pod drzwiami mojego pokoju w kompletnym skafandrze, z pełnym wyposażeniem startowym. Nie uważałem, żebym zrobił coś niewłaściwego. Wszystko, co dotąd powiedziałem o sobie i swojej służbie, nie znaczy, że żyłem jak średniowieczny mnich. Jak to było z Itią?

Ta myśl przyszła nie w porę. Odlatywałem na akcję. I zegnałem się z miłą, ładną dziewczyną, z którą spędziłem noc. Więcej niż noc. Ostatnią wśród ludzi. Spędziłem z nią kilkanaście godzin, w czasie których byłem szczęśliwy. Jeśli dobrze rozumiem, co to jest szczęście. Powiedziałem jej o tym.

— Nic nie mów — odezwała się szeptem. — Jeśli możesz, nie zapomnij o mnie. I o tym, co mówiłam.

Patrzyła mi prosto w oczy. Uśmiechała się; tylko ustami. Nie był to radosny uśmiech.

— Zrozum mnie dobrze — powiedziała odrobinę głośniejszym głosem. — Nie proszę, żebyś coś zrobił. Tylko, żebyś pamiętał.

Na pewno nie była głupia. Podobała mi się jej szczerość. I takie właśnie postawienie sprawy.

— Bądź zdrowa. Jeśli mogę ci coś poradzić, wracaj na Ziemię. Ale pewnie nie zechcesz. Więc czekaj tutaj. Tylko nie sądz, że to ma jakieś znaczenie.

Potrząsnęła głową.

— To moja sprawa — powiedziała spokojnie. — Zresztą może wróć. To teraz naprawdę nie ma znaczenia. Ale... — zawiesiła głos.

Odczekałem chwilę. Wreszcie podniosła głowę i uśmiechnęła się. Nie przyszło jej to lekko.

— Mogłabym czekać także na ciebie?

Wyprostowałem się. Nic prostszego. Dla mnie oczywiście. Nie dla niej. Zresztą nieważne. Chodzi o prosty rachunek prawdopodobieństwa. Prościutki.

— Nie — mój głos brzmiał spokojnie. Dotknąłem zamka. Otworzyła się perspektywa korytarza. W głębi, na prawo, widniało wejście do dyspozytorni. — Nie — powtórzyłem i nie oglądając się wyszedłem z pokoju.

* * *

Tego samego dnia, punkt dwunasta, tkwiąc w szczelnych kokonach pianolitowych foteli, obserwowaliśmy na ekranach pole startowe bazy w Budorusie, spowite buchającym dymem, w którym pękały krzaczaste rozbłyski, na pozór nie mające nic wspólnego z pracą dysz napędowych rakiety. Metr po metrze czuby wielotonowych cygar dźwigały się wzdłuż widniejących w dali alpejskich urwisk. Najpierw czuje się ciężar rąk, spoczywających bezwolnie na poręczach. Potem zagłusza wszystko szum krwi w skroniach i walka o zaczerpnięcie tlenu. A przecież nie było to przyspieszenie, jakiego wymaga start w polu grawitacyjnym Ziemi.

Kiedy ekrany przejrzały na tyle, aby odsłonić słoneczny refleks, wędrujący grzbietem kopuły pokrywającej poziom alarmowy bazy, usłyszeliśmy głos Jeusa:

— To wszystko, chłopcy. Dalej musicie sobie radzić sami. Blokuję automaty namiarowe bazy. Wracajcie zdrowo.

Odruchowo przebiegłem wzrokiem wskaźniki w głównym pulpicie. Wyglądały tak, jak powinny. Nasze automaty kontrolowały już całkowicie lot, zgodnie z wprowadzonymi w ich zespoły programami.

Na czułe pożegnanie szefa bazy nie odpowiedzieliśmy słowem. Zrobił, co musiał. My na szczęście nie musieliśmy mówić.

* * *

Po przecięciu linii terminatora zeszliliśmy z orbity, jak kamień zepchnięty z karuzeli. Mieliśmy przed sobą kilka dni stereotypu. Mniej więcej do wysokości orbity Jowisza. Potem wyjdziemy z płaszczyzny ekliptyki i pójdziemy bezpośrednim kursem w stronę Centaura. Świat dowie się, że podjęto dalsze „kroki” zmierzające do ustalenia losu pierwszych wypraw poza krąg naszego słońca. Ani słowa więcej. Nie wolno gwałcić subtelnego humanitaryzmu Ziemian świadomością, że znowu kilku z nich posłano do diabła.

Następnego dnia zablokowaliśmy automaty i sprawdziliśmy system sterowania. Przejrzeliśmy agregaty energetyczne, syntetyzatory, wszystkie zewnętrzne przekaźniki i broń. Popędziliśmy trochę statki satelitarne i przestrzelaliśmy ich wyrzutnie. Pozostała już tylko ponowna interpretacja radiogramów, nadanych przez naszych poprzedników i zapoznanie się ze szczegółami instrukcji kontaktowej. Tym razem nie odłożono tego do hibernacji.

* * *

Na początku drugiego tygodnia podróży ułożyliśmy się w hibernatorach. Snagg przejrzał jeszcze raz ich aparaturę.

— Uważaj — mruknąłem do niego — tym razem nie powinniśmy się zbudzić zbyt wcześnie.

Nie odpowiedział.

Wsunąłem pod język pastylkę nasenną i przycisnąłem zielony guzik w ramce małego okienka tuż nad moją twarzą. Wywołałem jeszcze Rive i Snagga. Odpowiedzieli niezrozumiałymi pomrukami. Wtedy zamknąłem powieki... Usłyszałem szelest zamykanej kłapy i poczułem pierwszy powiew chłodu.

* * *

W mojej głowie ocknął się nagle świerszcz. Minęło dobre kilka sekund, zanim udało mi się go umiejscowić. Nie był to jednak świerszcz. Znałem ten dźwięk, przenikający do najodleglejszych włókien nerwowych. Ostrzegawczy świergot butlera.

Głupia diodo — pomyślałem — przecież śpię.

Poruszyłem się jednak. Otworzyłem oczy. Człowiek robi to automatycznie. Nawet po przespanych dwóch tysiącach nocy. I tyłuż dniach.

W ramce, tuż nade mną, płonęło czerwone światełko. Oprzytomniałem natychmiast. Przeszło mi jeszcze przez myśl, że zabawa się nie skończyła i dalej jesteśmy nieświadomymi bohaterami przedstawienia, ale przypomniałem sobie wszystko, co poprzedziło start. Odprawę, kordon przeciwpromienny, eskortę i tak dalej. Nie. To już nie pozoracja.

Wygramoliłem się z hibernatora, zanim jeszcze automat do końca odsunął kłapę. Rzuciłem okiem na tamtych. Stwierdziłem, że także już nie śpią i jednym skokiem dopadłem mojego fotela przed pulpitem. Rzuciły mi się w oczy pozycje wskaźników poboru mocy automatów celowniczych. Grubo powyżej punktu neutralnego. W pulpicie paliły się światła generatorów laserowych. Pracowały. Uzupełniały energię, co mogło znaczyć tylko jedno.

— Zapis — rzuciłem, nie odrywając wzroku od ekranów.

Boczny ekran ożył natychmiast. Powoli, jak na staroświeckim filmie, przesunęły się przed naszymi oczami obrazy zarejestrowane przez komputer. Ostatnie minuty naszego snu.

Plamka na tarczy tachdaru. Jak ta iskierka w czasie pozorowanego starcia. Żadna iskierka. Statek o napędzie chemicznym. Analizator określił nawet skład paliwa. Bór, wodór i coś, co widniało tylko w zapisie numerycznym. Jak na swój napęd, statek, czy co to było, rozwijał wcale niezłą prędkość. Jego kurs przecinał nasz. I nie wyglądało, żeby miał zamiar ustąpić z drogi.

Teraz wszystko poszło jak w podręczniku. Impuls do generatorów i automatów celowniczych. Budzenie awaryjne. Potem już tylko błysk, widoczny gołym okiem. I leciutkie załamanie toru lotu, kiedy „Uran” przecinał pole niedawnej anihilacji.

Na ekranie poskakały jeszcze przez chwilę rzędy liczb, określające miejsce, czas starcia, zużytą energię, analizę widmową wybuchu i informujące o wszystkim, o czym powinniśmy wiedzieć.

— Sprawdź kod — powiedziałem do Snagga.

— W porządku — mruknął po chwili. Ziemia otrzyma pełne sprawozdanie. To dobrze. Przynajmniej coś nowego w porównaniu z radiogramami poprzednich wypraw.

— Czy oni, tam w Budorusie, mogli coś wiedzieć? — spytał nagle Riva.

Odgadłem, o czym myśli. Jak dotąd nasz lot był niemal kopią pozorowanego.

— Nonsens — odburknął Snagg. — Gdyby wiedzieli coś, czego nie chcieli powiedzieć, wymyśliliby jakieś inne sztuczki.

Okazało się, że mamy podobne zdanie o pedagogicznych talentach szefostwa. Nie ma co mówić. Mogłem trafić na gorszą załogę.

* * *

Następnego dnia rano, czasu Budorusa, weszliśmy w płaszczyznę ekliptyki Alfya Centaura. Bliskość — oczywiście w skali gwiazdnej — drugiego słońca, sprawiała trochę kłopotów komputerowi. Zaobserwowałem, że przed kolejnym określeniem pozycji jego zespoły zacinają się na ułamek sekundy, jak człowiek, którego coś zaskoczyło.

Minęliśmy w niewielkiej odległości Piątą i Czwartą. Były to martwe globy o niestałych jądrach. Dla spokoju sumienia przeprowadziliśmy stereotypowe badania. Ich wyniki potwierdziły dane, dostarczone przez sondy radiowe i tachdarrowe. Zgodnie z oczekiwaniami, nie odkryliśmy nic zasługującego na uwagę.

Od dłuższego czasu neuromat wyrzucał na ekranie, w jego dolnym rogu, odległość od Trzeciej. Planety, z której od początku lotu dochodził charakterystyczny kociokwik fal radiowych. Myślałem, że może bliskość ich źródła ułatwi zadanie analizatorom. Nic podobnego. Potrafiły jedynie potwierdzić, że fale są emitowane

przez sztucznie wzmocnione nadajniki. To samo wiedzieliśmy przed startem. Ba, od dobrych kilkudziesięciu lat.

* * *

W odległości ośmiuset tysięcy kilometrów od drugiego satelity Trzeciej, celu naszego lotu i miejsca lądowania poprzednich wypraw, ustawiłem statki w szyk stożkowy. W bocznych iluminatorach widziałem teraz cały czas fotonowe żądła, kłujące przestrzeń do granic widoczności najcieńszymi złotymi niciami. Pozostawiały je dysze „Merkurego” i „Kwarka”. Jakby ktoś naciął prostym, niemożliwie płaskim ostrzem granatowe szkło, odgradzając nas od słonecznego świata. Nie był to najgorszy widok. Dla kogoś, kto przywędrowałby tutaj w poszukiwaniu widoków. Granat to granat i nic więcej. Tak przynajmniej mogłoby się zdawać. Ten tutaj wypełniała treść, jakiej próżno byłoby szukać w przestrzeni otaczającej Ziemię. Była w nim warstewka przezroczystej bieli i drobnutkie kryształki rozłożonej purpury. Oczywiście żadne kryształki. Ale tak to wyglądało.

W sąsiedztwie najdalszego satelity Trzeciej, piątego z rzędu i nie przekraczającego rozmiarami średniej planetoidy, odbiór fal radiowych, emitowanych przez gospodarzy układu, wzmógł się do tego stopnia, że musieliśmy wyciszyć całe pasmo w centrali komunikacyjnej. Mieli chyba bazy nie tylko na drugim satelicie. Może należało najpierw rozejrzeć się po dalszych. Zrobiłbym tak, gdyby nikogo tu nie było przed nami. Tak jak się sprawy miały, nie mogłem zmieniać programu. W każdym razie nie chciałem.

Dolatywaliśmy do celu. Za kilkanaście minut przemówią dziobowe dysze, podobne do czarnych, wklęsłych reflektorów. Zacznie się ostatni etap lotu.

Zaczął się. Minęło jednak nie kilkanaście minut, lecz kilka sekund. Kabina zapłonęła czerwienią. Ściany rozjęczały się sygnałem alarmowym. W okienku wskaźników zaczął się gorączkowy ruch.

— Stop w szyku — powiedziałem.

W ułamku sekundy ekran zapłonął ogniem. Równocześnie dzioby statków satelitarnych ukryły się w wybuchach hamownic. Sunęliśmy morzem płonącego błękitu. Nie błękitu. To też był granat, o odcień tylko jaśniejszy od niebosłonu.

Ogniowe pole przed nami przeszył krótki błysk. Drugi. Potem trzeci. Powtarzały się w regularnych odstępach. Równocześnie, z sekundowym opóźnieniem przemówiły baterie „Kwarka” i „Merkurego”.

Seria liczb. Jakimkolwiek systemem je zapisywali, sygnały laserowe musiały być dla nich zrozumiałe. Oczywiście jeśli by chcieli coś zrozumieć. I jeśli w tych statkach jest ktoś żywy.

Bo były to statki. Tachdar zupełnie wyraźnie przekazywał ich obraz na tarczę ekranu. Opływowe cygara, trochę nawet podobne do naszych. Może mniejsze.

— Zero — zameldował Snagg.

Zastopowaliśmy wreszcie. Ale to „zero” nie odnosiło się do szybkości. Nawet względnej. Snagg odczytywał z pulpitu centralki komunikacyjnej reakcję obcych na nasze sygnały. Dawno już musieli je odebrać.

Nie zmniejszyli nawet szybkości. Nie mówiąc o zmianie kursu. Jeśli ta zabawa potrwa jeszcze minutę, będziemy ich mieć na bezpośredniej wizji. Wtedy na nic już nie będzie czasu. Poza jednym.

Teraz dopiero odczułem skutki hamowania. Musiałem dobrze napinać mięśnie, żeby wykonać jakikolwiek szybszy ruch.

Na ekranie pojawiły się iskierki. Patrzyłem w nie chwilę. Który to raz? Drugi? Nie, trzeci. Dla nas trzeci. Ale po raz pierwszy na progu obcej Ziemi.

* * *

Trudno to nawet nazwać wybuchem. Przed naszymi oczami przeleciał jeden ognisty podmuch. Miotacz antimaterii zamknął w pierścieniu anihilacji obszar opasujący stukilometrowym obwodem pole, którego centrum stanowiły jeszcze przed ułamkiem sekundy dwa obce statki. Teraz nie było tam już nic. Tak nic, jak to jest możliwe tylko po spotkaniu uczciwej materii z równoważnym ładunkiem antyprotonów.

W kabinie „Urana” panowało milczenie. Przerwał je wreszcie Riva:

— A więc mieliśmy kontakt.

— Czysta robota — odezwał się ponuro Snagg. — Przynajmniej nie ma się czego czepiać.

Przez moment stanęła mi przed oczami twarz Liny. Kiedy to było? Tydzień temu? Miesiąc?

Przeszło sześć lat. Może już ma dom. Na Ziemi. A jeśli czeka? Cóż, to tylko jej sprawa. Itia także czeka. Od dawna już wie, że to ja poleciałem po Ustera. Obie myślą o mnie, od czasu do czasu. Jak o listonoszu, który ma przynieść pożądaną przesyłkę.

Gdyby to ciągle była pozoracja i gdyby Lina ją obserwowała, czy i teraz przysłaby prosić, żebym się znowo nie śpieszył?

Przymierzaliśmy się do orbity globu. Był to satelita, niewiele mniejszy od Luny, o podobnej strukturze geologicznej. Jego droga wokół Alfę wykazywała charakterystyczne dla całego układu zniekształcenia. I był zamieszkały. Jak Luna.

Tylko nie przez ludzi. I nie przez istoty, którym spodobaliśmy się na pierwszy rzut oka.

Drugiego września o piątej osiemnaście rano, czasu Budorusa, dysze czołowe naszych rakiet buchnęły strugami gazu. Byliśmy już na kursie orbitalnym. Za kilka minut rozpoczniemy pierwsze okrążenie globu.

W tym momencie po raz trzeci rozjęczały się w kabinie „Urana” sygnały alarmowe.

— To już przesada — mruknął Riva, uderzając w klawisze pulpitu.

— Łączność — upomniałem machinalnie.

Ale Snagg nie odpowiedział. Zauważyłem, że sprawdza coś szybko, zestawiając w kalkulatorze wskazania głównych zespołów neuromatu. Oderwałem wzrok od ekranu i spojrzałem na wskaźniki. Tak. To wyglądało inaczej. Tym razem automaty potrafiły nam powiedzieć dostatecznie dużo. I nic dziwnego. Wszystkie zespoły komputera reagowały na coś, co było bardzo jasno określone w ich programach. Bliskie sąsiedztwo ziemskiego statku.

— Stop w szyku — rzuciłem.

Ogień przed nami wzmógł się do potężnego, ciągłego wybuchu.

Snagg pochylił się do mikrofonu i mówił spokojnie, tylko odrobinę podniesionym głosem:

— Uwaga, ludzie. Przed wami statki z Ziemi. Uwaga, ludzie. Przed wami statki z Ziemi. Zgłasza się ekipa inforpolu.

W pulpicie centrali komunikacyjnej płonął rój zielonych światełek. Wszystkie trzy statki wysyłały głos Snagga, wzmocniony bateriami generatorów, szerokim pasmem w stronę, gdzie automaty odkryły ziemski pojazd. Ale czujniki, które miały potwierdzić odbiór, pozostały milczące i ciemne.

Klucz zastopował.

— Sonda!

W kabinie rozległo się ciche plaśnięcie. Równocześnie w rogu głównego ekranu zapłonął niewielki czworobok. Wizja, którą podawała sonda komunikacyjna, wystrzelona z ładowni „Urana”. Trwało to pięć, może sześć sekund. Nagle czworobok zmatowiał, chwilę falowały w nim pasma, szare i granatowe, potem obraz rozmazał się, a kiedy ponownie ujrzeliśmy ostre światła gwiazd, ekran jaśniał w całym wymiarze. Równocześnie umilkł sygnał łączności, przekazywany bezpośrednio komputerowi.

— Sonda — powtórzyłem spokojnie.

Zabawa zaczęła się od początku. Druga sonda została pożarta przez przestrzeń, tak samo gładko jak pierwsza. Następnie identyczny los spotkał trzecią i czwartą.

Na ekranie widniał teraz powiększony wycinek powierzchni globu. Nad nią, jakby tuż nad najwyższym ze szczytów, otaczających kratery, unosiło się coś, co było niewidoczne dla naszych oczu, ale co wyraźnie wskazywała biała strzałka tachdaru. Tak, to był metal.

— Obejrzymy to z bliska — zdecydowałem.

„Kwark” i „Merkury” poszły przodem.

Pierwszą rakietę dzieliło już od obiektu niewiele ponad dziesięć kilometrów. Raptem, bez najmniejszego sygnału ostrzegawczego pulpity kontrolne „Merkurego” przed fotelem Snagga ściemniały, zgasły, na moment zapłonęły znowu dziesiątkami kolorowych źrenic wskaźników, po czym jakby je zamknęły. Tym razem na dobre.

Snagg odczekał chwilę. Półtorej, dwie sekundy. Widział to samo co ja. Hamownice „Merkurego” strzeliły gwałtowną serią. Drugą. Na odmianę błysnęło za rufą statku. Dysze głównego ciągu. Rakieta manewrowała, jakby chciała zawrócić w miejscu. Widziałem raz coś takiego na poligonie. Nie skończyło się najlepiej.

— Sprzężenie?

Snagg nie odpowiedział. Uniósł się gwałtownie w fotelu. Jednym szarpnięciem zerwał plombę z przekaźnika automatycznego sterowania.

Dał mu pełną blokadę. Pomogło. Dysze „Merkurego” ściemniały.

Snagg cofnął ręce od pulpitu. Chwilę nie robił nic. Przyjemnie na niego patrzeć, kiedy pracuje. To te stymulowane reakcje nerwowe, lata ćwiczeń, psychotron i miniaturowe diody laserowe. Zresztą mniejsza z tym.

„Merkury” trwał bez ruchu. Ręce Snagga poruszały się teraz wolniej. Zaprogramował układ sterowania i ostrożnie, jakby umieszczał zapalnik w odkrytym miotaczu, sięgnął do dźwigni.

Nic.

Cofnął rękę i powtórzył operację. Tym razem pociągnął dźwignię szybciej, dwukrotnie.

Ułamek sekundy „Merkury” trwał martwo w przestrzeni. Już się zdawało, że i tym razem nic nie wskóramy, kiedy raptem jego rufowe dysze ożyły. Statek wykręcił powoli łeb i miękko nabierając prędkości, zaczął zataczać szeroki łuk. Minęło dziesięć sekund. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wszystkie światelka pulpitu Snagga błysnęły nagle sygnałami. Dźwignia blokady wróciła na swoje miejsce. „Merkury”, potulny jak owca, zacieśnił łuk i do-szlusował do „Kwarka”. Pomyślałem chwilę.

— Riva.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Bierzesz „Urana” — powiedziałem. — Snagg przejmie od ciebie „Kwarka”. Idę tam.

Chwilę panowała cisza. Wreszcie Riva wstał, podszedł do mojego fotela i pochylił się, żeby lepiej widzieć tarczę tachdaru.

— Możemy podejść bliżej — zaproponował Snagg. — Ta strefa zaczyna się w bezpośrednim sąsiedztwie obiektu.

— Nie znasz jej zakresu — mruknąłem. — Może być kulista. Ale równie dobrze w kształcie nerki. Albo w ogóle nieregularna.

Wstałem i nie oglądając się na nich przeszedłem do śluzy. Wbiłem się w przygotowany skafander próżniowy, który automat natychmiast zapiął i uszczelnił, wziąłem pistolet laserowy, dwa miotacze, sprawdziłem reflektor i przycisnąłem czerwony klawisz włązu.

Rozległ się piskliwy syk, jakby tuż obok trafiła fotonowa seria. W ścianie rakiety otworzyła się podłużna szczelina.

Stałem na rogu, mając przed sobą pustkę. Ustaliłem kierunek, nastawiłem tarczę na ciągłą łączność, sprawdziłem nadajnik namiarowy skafandra i lekko, jakbym w upalny dzień wchodził do kamienistego potoku, dałem krok do przodu.

Rozdział 4

„HELIOS”

Wielki bezchmurny glob. Martwy. Ale pozornie martwy. Jego milczenie, które zdawało się być milczeniem przestrzeni, nie mogło mnie zwieść. Leciłem sześć lat, żeby dopaść tego, co kryło się pod maską doskonałego bezruchu. Co żyło. Jeśli nie trzeba będzie znaleźć nowego słowa, aby nazwać nim formą ruchu, zdolną do świadomego stawiania sobie celów, zdolną do ich realizowania i do przeciwstawiania się umysłowi człowieka. Formę tak odległą od wszystkiego, co przywykliśmy nazywać żywym, ale nie tylko nowe słowa staną się potrzebne, ale i broń. Monitor zamilkł na zawsze w czasie lądowania. Trudno sobie wyobrazić katastrofę, której nie poprzedziłby jeden, choćby najkrótszy alarmowy sygnał tachjonowych „oczu” neuromatu. Ale gdyby ktoś bardzo chciał, mógł w to od biedy uwierzyć. Jakiś meteoryt, w czasie, kiedy wszystkie zespoły informatyczne przestawiono akurat na retrospekcje, równoczesne zwarcie w głównych i pomocniczych obwodach sterujących modulowaniem pola wokół generatorów laserowych, eksplozja, lichy wie, co jeszcze. Spekulacje jałowe i nieaktualne. Bo los, jaki spotkał dwa następne statki w analogicznym momencie lotu, musiał otrzeźwić największych optymistów.

Wielki, bezchmurny glob. Czy wielki? Nie dla nas, Ziemian, gdybyśmy obliczali jego masę, powierzchnię i odczytywali wyniki z czyściutkich perforowanych taśm, tkwiąc przy radioteleskopach i mając za oknem rozległy park, widnokrag wpływający w błękit, a nad nami solidne, wełniste chmury.

Wielki dla mnie. Bardzo wielki. Nie mówię, że za bardzo. Nic nie może być dla nas za wielkie, skoro już tutaj jesteśmy. Nie istnieje nic takiego, czego nie ugryzłby ciągły ogień antyprotonów. Jeśli ten glob jest zbudowany z materii, jeśli zamieszkujące go istoty są materialne, jeśli w ich organizmach, żywych czy martwych z naszego punktu widzenia, jest chociażby drobina podstawowego tworzywa materii, możemy każdą z nich wraz z całą ich ziemią unicestwić w ułamku sekundy, rozproszyć w płomienistym podmuchu jednym jedynym uderzeniem.

Przyleciałem tu, aby to zrobić. Ostrzec ten świat, wbić do głowy, że ludzi nie tylko jest za co szanować, ale nie wolno ich nie szanować, jeśli ma się ochotę pomieszkać jeszcze na tym świecie, jakikolwiek by był.

Pięknie. Tylko że teraz przedzierzgnąłem się nagle z mściciela w tarczę strzelecką. Kiedy trwałem, zawieszony nad płaskim łodem o lekko wywiniętych brzegach, zdawało mi się, że jestem kaczką, którą można ściągnąć kilkoma drobinami śrutu.

Stanowiłem cel, bo przecież ten glob naprawdę tylko pozornie był martwy. Jego tarcza zdawała się śledzić miliardem oczu każde moje niezdarne poruszenie, rejestrować i obliczać każdy promyczek, strzelający z lekkiego, płaskiego pistoletu. Chwilami miałem wrażenie, że ci tam na dole specjalnie wywabili mnie z uzbrojonego statku, żeby pobawić się moim widokiem — przybysza, pływającego w próżni i przebierającego bezradnie nogami jak wielki żółw z Galapagos, wciągnięty do łodzi i przewrócony na grzbiet, którego pokazuje się dzieciom, zanim zrobi się z niego zupę i ozdobne szkatułki.

* * *

Ten glob żył. I żyła przestrzeń wokół niego. W każdej chwili przez moje ciało mógł przebiec strumień twardego promieniowania, mogło otoczyć mnie pole, śmiertelne dla substancji białkowej. Przecież to jednak fakt, że wywabili mnie z „Uranu”, zmusili, abym szybował nad tarczą ich satelity, śmieszna figurka tkwiąca w pancernym kokonie o ściankach cieńszych od wszystkiego, co mnie otaczało, o jedną nieskończoność. Przedemną był ziemski statek. Stworzyli wokół niego strefę czy pole niedostępne dla automatów. Bo czymże są automaty bez sprzężeń, bez łączności? A tam, gdzie zawodzą automaty, tam idzie człowiek. No, niezupełnie. Tam posyła się faceta z inforpolu.

* * *

Mikroskopijny ekranik pod okapem hełmu prowadził mnie świecąca seledynową nitką do celu. Tuż obok pulsował niebieski świetlik. Znaczyło to, że jak dotąd nic się nie dzieje. Żadnego promieniowania, którego powinienem się obawiać, żadnego sztucznego pola. Okap był tak skonstruowany, że obydwa czujniki nie schodziły mi z oczu. W gruncie rzeczy nie poświęcałem im zbyt wiele uwa-

gi. Sprawdziałem tylko kierunek, przyciskając spust pistoleciku. Poza tym wzrok miałem utkwiony w rudoszarej tarczy satelity, rozciągającej się pode mną niemal do granic widnokregu.

To było obce. Na pierwszy rzut oka widziało się tę obcość. Kratery. Takie jak na „Lunie”, a przecież inne. Ostre, niemal białe światło. Kontury cienia, widoczne nawet z tej wysokości. Pod słoneczną bielą barwa, niepodobna do żadnej, jaką można ujrzyć w sąsiedztwie Ziemi. Na całej półkuli leżał inny jeszcze cień, jakby gigantycznego drzewa, pozbawionego liści. Wybiegał z grubego pnia w pobliżu bieguna i pełzał, rozdrabniając się na coraz smuklejsze, poskręcane gałęzie, wzdłuż środkowego południka. Wyteżyłem oczy, żeby się upewnić czy tylko cień, czy też coś, czego nie mogła stworzyć natura, coś wypiętrzonego, na kształt gigantycznej sieci przewodów na powierzchni globu. W tej samej chwili zdałem sobie sprawę z całego bezsensu tych usiłowań. Jeśli to nawet był cień, coś przecież musiało go rzucić. Odruchowo potrząsnąłem głową. Nie poczułem najmniejszej zmiany w otoczeniu, braku tlenu, ucisku niczego, co mogłoby sprawić, że nagle zacząłem rozumować jak pięcioletnie dziecko. W popłochu przebiegłem wzrokiem czujniki. Były w porządku. Wszystkie. A przecież coś się działo. Musiało się dziać. Coś, o czym nie miałem dotychczas pojęcia, że może się przytrafić mnie, czy w ogóle komukolwiek z nas. Ujrzałem korpus rakiety, do której zmierzałem. Rostała mi w oczach, jak to bywa w próżni. Powinienem być ją zauważyć już dawno. Odcinała się dość wyraźnie od podszytej czerwienią szarości globu i granatu z utkwionymi w nim gwiazdami. Machinalnie przełożyłem pistolet do lewej ręki. Prawą wyciągnąłem przed siebie, żeby przytrzymać się burty statku, kiedy do niego dobieję.

I nagle zacząłem się bać. To było jak porażenie prądem. Brutalny wstrząs, szok zapierający dech w piersiach i odbierający możliwość przemyślenia czegokolwiek, co chciałoby się zrobić. Przez moje żyły przebiegł piekący dreszcz, jakby ktoś wtłoczył w nie wrzący ocet. Chwycił mnie kurcz. Szczęki zwarły mi się na wardze, coś ciepłego zaczęło ściekać cienką strużką za kołnierzem skafandra. Nie czułem bólu. Nie czułem w ogóle nic. Zacząłem dygotać, głowa tłuła o kryzę kasku jak pneumatyczny młot, przeszła mnie przelotna, niejasna myśl, że to już koniec, że jestem pod ostrzałem. Poraziło mnie światło. Mikroskopijny świetlik pod okapem płonął jaskrawą czerwienią. Seledynowa ścieżka znikła. Nagle czujnik zgasł. Kilka razy błysnął jeszcze zielenią. Znowu rozgorzał, na ułamek sekundy. Przed sobą nie widziałem nic. Nie widziałem własnej, wyciągniętej rozpaczliwie ręki. Poczulem uderzenie. Odruchowo zwinąłem dłoń w pięść. Z całej siły, ile jej jeszcze miałem, wyrznąłem w coś, co stało na mojej drodze. Zabołało. Oprzytomniałem na chwilę. Byłem przy statku. Wznosił się przede mną na wysokość kilku pięter, jak góra. Pływająca w próżni. Patrzyłem, nie rozumiejąc, na jego biały niegdyś, osmolony pancierz. Ogarnęła mnie rozpacz. Wydało mi się, że statek przyciągnął mnie do siebie jak okruch materii wędrujący przez prze-

strzeń, że przywarłem do jego powłoki, osiadłem na niej i nigdy już nie zdołałem się od niego oderwać. Ani przez chwilę nie pomyślałem, co tutaj robię, że jestem sam w próżni, że wyleciałem, by osiągnąć jakiś cel i osiągnąłem go w końcu. Wiedziałem tylko jedno: ta straszliwa ściana przede mną broniła mi powrotu do moich. Do domu. Rozpacz narastała. Odruchowo wyciągnąłem przed siebie rękę z pistoletem i zacisnąłem palec na spuście. Znowu poraził mnie potworny błysk. Kadłub statku miałem tuż przed sobą. Eksplozja na jego pancerzu odrzuciła mnie gwałtownie. Poleciałem do tyłu, w stronę, skąd przybyłem. Kilka sekund walczyłem o zaczerpnięcie powietrza.

Oszło mi cisza. Czujnik pod okapem kasku mignął nerwowo raz i drugi czerwienią, zgasł, po czym jakby nigdy nic zaczął pulsować łagodnym, zielonym światłem. Ujrzałem seledynową nitkę. Nie znikła przedtem, jak mi się wydawało. Wirowała z szybkością nieuchwytną dla oka. Teraz uspokoiła się, zafalowała łagodnie i zatrzymała się, nieco ukośnie w stosunku do wytyczonej trasy.

Odezwał się butler. Zauważyłem, że dostaję więcej tlenu. Z ramki, wprasowanej w kask, wysunęła się srebrna, matowa łyżka. Leżały na niej trzy zielone pastylki i jedna żółta. Połknąłem je. Ciągle jeszcze płynąłem w kierunku nadanym mojemu ciału przez odrzut spowodowany eksplozją na pancerzu statku. On tam był. Dotarłem do niego. Tego jednego mogłem być pewny. To jest statek ziemski, nasz statek. Ten, którego szukałem. I jeszcze jedno. Na jego pokładzie nie ma żywego człowieka.

Wyprostowałem nogi, ręce złożyłem na piersiach. Oddychałem. Mijały sekundy, minuty. Wreszcie sięgnąłem leniwie do tarczy w lewym rękawie i wywołałem Snagg. Zgłosił się natychmiast, jakby na to czekał. Oznajmiłem mu, że strefa działa nie tylko na automaty i opowiedziałem, co przeżyłem w sąsiedztwie opuszczonej rakiety. Dodałem, że chodzi prawdopodobnie o promieniowanie lub pola, pobudzające niektóre centra nerwowe.

— Komputer ma lukę w zapisie, odkąd zbliżyłeś się do obiektu — powiedział Snagg. — Sprawdziłeś swój analizator?

— Podręczne zespoły nie mają retrospekcji — mruknąłem. — Przekaż wszystko do bazy.

— Już to zrobiłem. Wracasz?

Nie odpowiedziałem. Uniosłem powoli rękę z pistolecikiem, żeby odczytać zapis zużycia energii. Mogłem wrócić. Ale nic ponad to. Wetknąłem pistolet za pas i uruchomiłem małą aparaturę obliczeniową, zasilaną z ogniwa skafandra. Przyglądałem się bez zainteresowania cyferkom, jakie przeskakiwały w miniaturowym, owalnym okienku. Współrzędne mojej pozycji, tor przebytej drogi, odległość od statku i od celu. . .

Mogłem to sobie darować. Gołym okiem dostrzegałem cały czas kontury ziemskiej rakiety, odcinające się od rozgwieźdzonego granatu. Jeżeli miałem się czegoś dowiedzieć, to nie za pośrednictwem liczb. Jeszcze raz sięgnąłem do le-

wego rękawa. Podłączyłem mój zespół diagnostyczny do analizatora i przesta-
wiłem go na fonię. Odezwał się od razu. Dowiedziałem się, że jestem bardzo
zmęczony. Naruszona równowaga psychiczna, pod wpływem silnych bodźców.
Jakich?

Butler poinformował mnie wyczerpująco o tym, co dzieje się w moich cen-
trach mózgowych, sercu, płucach, dał charakterystykę przemian chemicznych
w mięśniach i tak dalej. Dowiedziałem się również, że bardzo szybko wracam
do równowagi. Mogłem sobie pogratulować. Gdyby nie to, że dalej nic nie wie-
działem. Określono obecny stan mojego organizmu. Bez śladu danych na temat
tego, co doprowadziło go do takiego stanu.

Komputer macierzystego statku stracił sprzężenie z aparaturą zainstalowaną
w skafandrze próżniowym, kiedy znalazłem się w zasięgu pola, otaczającego po-
zruconą raketę poprzedniej ekspedycji. Ale jeśli oni, w kabinie, obserwowali jego
prace w kontrolnym ekranie, mogli odgadnąć, co się ze mną dzieje. Nonsens —
stwierdziłem chłodno. Z tej strefy nie wydostaje się nic. Widzieli to samo, co
odbierały nasze zespoły informatyczne. Chaos.

„Merkury” odmówił posłuszeństwa. W tym wypadku — pomyślałem — czło-
wiek okazał się równie zawodny jak maszyny. Chociaż, kto wie? Wróciłem jed-
nak. Sam. Wątpię, czy udałoby się to któremuś z automatów. Tak czy owak nie
widzieli mojego strachu. Rozpaczliwej, bezradnej szamotaniny. Szkoda.

Wiem, że ludzie wstydzą się lęku. Nie lęku: strachu. Ci, którzy się boją, któ-
rym to się zdarza częściej niż raz w życiu. Co do mnie, strach był zjawiskiem
równie bezosobowym, choć rzecz jasna, zasługującym na rzetelne zbadanie, jak
na przykład dla naszych przodków piorun kulisty. Tak samo jak moje włókna ner-
wowe nie mogły się nagle zmienić w kable kriogeniczne, tak samo nie mogłem
się bać. To kwestia wychowania, a nawet korektury kodu genetycznego. Szkole-
nia. Atmosfery, otaczającej naszą specyficzną społeczność. A przede wszystkim
— stymulacji neuropsychicznej.

A jednak przeżyłem kilka czy kilkanaście minut prawdziwego strachu. Mu-
siałem to zbadać. Tak jak się bada przyczyny katastrofy kosmicznej. Chłodno i do
końca. Gdyby mi ktoś powiedział, że mógłbym się wstydzić tego strachu, popa-
trzyłbym na niego jak na wariata. Nie ja jeden zresztą. Snagg, Riva, każdy z nas.

Trzeba się będzie zabrać na serio do tych pól, promieniowania, czy co to
w końcu było. Poślę pełny kod specjalistom z Budorusa. Niech też ruszą głowami.

Na razie trzeba dotrzeć do opuszczonego statku. Ba, łatwo powiedzieć. Może
gdyby zastąpić automatyczne stymulatory jakimiś mechanizmami. . . połączyć je
przewodowo. . . Nie, to na nic. Włókna nerwowe też są przewodami. Dostępnymi,
jak się okazało, dla sił, które działały w sąsiedztwie martwej rakiety.

Próbować z głupia frant po raz drugi? Wzruszyłem ramionami. Na ten mimo-
wolny gest odpowiedziało całe moje ciało, zmieniając leniwie pozycję na bardziej
wertykalną. Uśmiechnąłem się. Przyszedłem już do siebie. Wyjąłem pistolecik,

spojrzałem na wskaźnik, ustaliłem kurs na „Urana” i nacisnąłem spust. Tym razem nie oszczędzałem paliwa. Do wjazdu doczołgałem się już raczej, niż dopły-
nałem, szurając rękawicami po chropowatym panczerzu. Zasobnik energetyczny
pistoletu był opróżniony do ostatniego miligrama.

Nie poruszyli się nawet, kiedy wszedłem do kabiny.

— Kod? — spytałem, sadowiąc się w swoim fotelu.

— Poszedł — burknął Riva.

Nie byli ze mnie zadowoleni. Zastanawiali się pewnie, którego z nich teraz
wyśle, aby wykonał tę robotę za mnie. Pozbierałem strzępy zapisów z retrospek-
cji, dodałem pełną relację własną, uzupełnioną wrażeniami Rivy i Snagga, kiedy
obserwowali ekran, na którym nie było widać, że się boję — i przekazałem cały
materiał jeszcze raz do bazy. Następnie kazałem Rivie zaprogramować sondę.

— Laserową? — spytał niechętnie.

— Komunikacyjną. Przyczep do niej ze dwieście metrów kabla, z elektro-
magnesem. Niech stanie nad obiektem, w przyzwoitej odległości. I postara się
wyciągnąć go z tej strefy.

— Jeżeli strefa nie jest stabilizowana z samego statku — powiedział z powąt-
piewaniem Snagg. — Albo przez niego.

— Właśnie — uciałem.

To była szansa. Jeżeli źródło pola, nie dopuszczające naszych środków łącz-
ności, leżało poza opuszczoną rakieta, tę ostatnią trzeba po prostu stamtąd zabrać.
Jeżeli nie... zastanowimy się, co dalej. Nie mieliśmy sond wyposażonych w węd-
ki. Riva musiał przejść do komory transportowej i przewędrować kilka poziomów
statku. Trwało trochę, zanim wrócił. Opadł ciężko na fotel, przerzucił wizję na
boczny ekran kontrolny, wyostrzył obraz, po czym, nie odwracając się do nas,
mruknął:

— Możemy startować.

Neuromat skończył już opracowywać program dla sondy. Przekazywał go te-
raz jej automatycznemu pilotowi. Był to mały zespół o nikłej stosunkowo pojem-
ności i wiedziałem, że niektóre informacje powtarzały się po dwa, a nawet trzy
razy. Wreszcie w rogu ekranu zapłonął sygnał drogi.

— Sonda!

— Tak, sonda — powtórzył za mną Riva.

Pod nami coś miauknęło krótko. Przez ekran przeleciał rząd kolorowych,
świecących paciorków. Riva prowadził aparat wysokim, parabolicznym torem,
z najmniejszą szybkością, na jaką można było sobie pozwolić, żeby nie zniekształ-
cić trajektorii lotu.

— Pokaż to — powiedziałem.

Dał wizję. Na ekranie ujrzeliśmy skrawek nieboskłonu i wypełniającą prze-
strzeń tarczę globu. Na jej tle statek. Duża rakieta, jeden z tych krążowników,

w których zrobiono naprawę wiele, aby stworzyć wieloosobowej załodze warunki nie gorsze od panujących w bazach. Jasne. Nie budowano ich dla inforpolu. Iluzja nigdy nie była pełna, ale ludzie nie narzekali nawet po wielu miesiącach pracy w próżni.

Riva naprowadził obiektyw i zbliżył obraz.

Byłem tam przed chwilą. Dotykałem tego chropawego, pociemniałego jakby od ognia pancerza. Osiemset, może dziewięćset metrów. W porównaniu z odległościami, do jakich przywykliśmy, nie było o czym mówić. Ale wróciłem stamtąd z kwitkiem. I mogłem sobie jeszcze pogratulować szczęścia.

Obiektyw sondy pełził wzdłuż kadłuba statku. Wyłuskiwał znane kształty, powtarzające się we wszystkich ziemskich rakietach załogowych. Nasady dysz, rozszerzające się gruszkowato ku rufie, charakterystyczne uchwyty, pomocne w czasie prac wykonywanych w próżni na pancerzu, kłapa wjazdu, zamknięta głucho, siateczka anten, osłony obiektywów, wreszcie pierwsze litery, białe, ogromne, tworzące napis biegnący od dziobu do połowy korpusu. Zacząłem sylabizować. H...E...L... — powtarzałem, w miarę jak na ekran wpełzały kolejne litery. Ale dość było tych trzech, żeby odgadnąć, co mamy przed sobą.

„Helios”.

Statek Thornsa. Jeden z dwóch, jakie wysłano w ślad za „Monitorem”.

— Dwieście pięćdziesiąt — zameldował Riva.

Spojrzałem na wskaźnik kalkulatora. Lont sondy przebiegał zgodnie z programem. Minęła najwyższy punkt toru i łagodną parabolą zaczęła przechodzić nad statek.

— Dwieście.

Cały ekran wypełnił fragment pancerza rakiety. Rósł w oczach powoli, ale wyraźnie. Plamy, najmniejsze nawet uchwyty i spojenia stawały się z każdą chwilą bliższe, ostrzejsze.

— Sto pięćdziesiąt.

— Dość — powiedziałem. W tym samym ułamku sekundy ekran zapłonął mętным, bezbarwnym światłem. Obraz zniknął, jak zdmuchnięty eksplozją.

— Zero — rzekł dobitnie Riva.

Zero. Koniec. Na pokładzie sondy nie było człowieka, który w akcie rozpacz mógł bezwiednie skierować lufę pistoletu w pancerz statku i wyrzucić się w ten sposób poza granice strefy, paraliżującej łączność. I nie tylko łączność.

— Może mi się zdawało... — zaczął Snagg.

— Nie zdawało ci się — przerwał szorstko Riva.

Tak. To nie było złudzenie. W ostatnim sekundowym ujęciu, podanym na ekran, obiektyw sondy wyłuskał mały, kolisty przedmiot, w odległości kilku metrów od kadłuba „Heliosa”, poza nim, jeśli patrzeć od strony naszego klucza.

— Poleciałbym to obejrzyć — mruknął Snagg.

Z jego strony była to propozycja uczciwa i rozsądna. Nie przeżył tego, co ja.

— Nie — powiedziałem.

— Sonda? — zapytał Riva. — Dobra. Zostało ich jeszcze kilka. Potem zrobimy nowe. Najlepiej z pianolitu. Wytniemy je sobie nożyczkami.

— Nie. Nie sonda — odparłem spokojnie. — Przygotuj mi dwieście metrów kabla. I zanieś go do śluzy.

Siedział chwilę bez ruchu, przyglądając mi się spokojnym, badawczym wzrokiem, po czym bez słowa podniósł się z fotela i ruszył w stronę przejścia do kabiny hibernacyjnej. Stamtąd dopiero wchodziło się do następnych pomieszczeń statku oraz do szybów.

Usłyszałem głos Snagga:

— „Helios” — powiedział, jakby do siebie. — „Helios” — powtórzył. — Ciekaw jestem, jaki diabeł wypłoszył stamtąd Krosvitz. . .

Przypomniałem sobie radiogramy, zapisane w Budorusie.

— Tam został Areg — sprostowałem. — Krosvitz lądował ze wszystkimi.

— Wiem — mruknął Snagg. — Ale chyba wrócił, kiedy załoga opuściła statek.

Rozumował bez pudła. Z maleńką poprawką. Krosvitz nie wrócił.

W kabine zapanowało milczenie. W pewnej chwili pochyliłem się głęboko i przytknąłem czoło do iluminatora. Udało mi się dojrzeć tkwiący nieruchomo w odległości kilkuset metrów wrzecionowaty kształt. „Kwark”. Zadarł odrobinę dziób, jakby gotował się do odlotu. Zasoby energii, pozwalające na kilkakrotne przemierzenie drogi stąd do świata naszego Słońca i z powrotem. Wielka, szybująca w próżni przetwórnia chemiczna. Fabryka antymaterii, zdolna w ułamku sekundy rozpylić średniej wielkości ciało niebieskie. Miotacze.

Cofnąłem głowę. Po przeciwnej stronie, niewidoczny dla mnie, leżał bliźniaczy statek „Kwarka” — „Merkury”. Uzbrojony ani lepiej, ani gorzej od pierwszego. Pomiędzy nimi „Uran”. Z ludźmi. Wyposażony tak samo jak tamte dwa. Jeśli nie lepiej. Czego chcieć więcej? Ziemia mogła tu przysłać dziesięć takich eskadr jak nasza. Pięćdziesiąt. Sto. Ale to nie miało już znaczenia. Dla asteroidy jest całkowicie obojętne, czy na jej powierzchni wybucha jedna bomba kwarkowa, czy tysiąc. I na odwrót. Jeśli ktoś znajdzie skuteczny sposób na antyprotony, jeśli potrafi się obronić przed jednym miotaczem, obroni się przed całą baterią.

„Helios”. Pomyślałem o pierwszej wyprawie, kontaktowej. Skoro zaraz przy wejściu na orbitę satelity Trzeciej natknęliśmy się na ziemski statek, pozornie nie uszkodzony, może odnajdziemy także dwa pozostałe. Pierwszym poleciała Ann. Ann, na którą czekają. Ciekaw byłem, czy jest tak samo ładna jak Lina. Uśmiechnąłem się. Lina.

Riva nie wracał. Pewnie czeka przy śluzie. Wstałem, przeciągnąłem się, bacząc, by nie zaczepić głową o wystające ramki czujników, i powoli ruszyłem w stronę drzwi. W sterowni było piekielnie ciasno. Nasze fotele stykały się niemal opuchłymi, pianolitowymi poręczami. Cała ściana czołowa była podzielona

na ekrany, zgrupowane w trzech rzędach, jeden nad drugim. Pod nimi pulpity. Pośrodku główny ekran neuromatu. U góry setki migających czujników. Iluminatory też były ekranami, udającymi okienka, jakie umieszczano w kajutach starych żaglowców. Taka moda.

Resztę przestrzeni wypełniała aparatura foteli, zespoły osobiste załogi i koszmarne płataniny przewodów zasilających. Nic dziwnego. Ten statek był budowany specjalnie dla inforpolu. Jego projektanci brali, widać, jak najpoważniej ewentualność pokrojenia nas na kawałeczki i bardzo niechętnie odstępili od tego zamiaru. W końcu zostawili nam trochę miejsca. Akurat tyle, żebyśmy w razie czego mogli dosięgnąć przełączników. Ale w fotele włączyliśmy nogami naprzód, jak do śpiworów.

Snagg uniósł się odrobinę i zwrócił twarz w moją stronę.

— Idę z tobą.

— Nie.

Zesztywniał. Wparł dłonie w poręcz fotela i pochylił się do przodu.

— Dlaczego?

Dlaczego — powtórzyłem w myśli. — Pyta, dlaczego. Brzmi to przyjemnie i po prostu.

Ale Snagg nie spodziewa się usłyszeć odpowiedzi. W Korpusie nie ma zwyczaju pytać, kiedy chodzi o akcję. Dowodzący mówią, co trzeba. Ani słowa mniej. Jeśli coś przemilczają, to znaczy, że nie mają nic do powiedzenia. Posiadają akurat takie sprzężenia z psychotronem czy stymulatorami, jak każdy wykonawca ich rozkazów. Jedni i drudzy przetwarzają w tym samym czasie tę samą ilość informacji. Na odprawach wszyscy myślą równocześnie i to samo.

Nie. W inforpolu nie ma zwyczaju pytać. Ani odpowiadać.

Chwilę manewrowałem przy pulpicie. Włączyłem niektóre zespoły i dorzuciłem kilka wzmacniaczy do bloku sprzężonego z zespolikami mojego skafandra. Podciągnąłem do oporu regulator selektywności. Wzmocniłem korekturę. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Przed wyjściem zatrzymałem się na moment i obmacałem skafander. Nic mu nie brakowało.

— Lusterko — dobiegł mnie mrukliwy głos Snagga.

Postąpiłem w stronę umywalni i pochyliłem się nad wprasowanym w ścianę trójkątnym lustrem. Widok istotnie nie był miły. Wargi miałem spierzchnięte i opuchłe. Z kącika ust wybiegała strużka zaschłej krwi.

Zwilżyłem twarz płynem sterylizującym i wytarłem ją dokładnie, nie śpiesząc się.

— Może być — orzekłem, zwracając się na powrót w stronę drzwi. Musiałem wciągnąć brzuch, żeby precyzyjnie się między krawędzią gazowej umywalni a oparciem fotela Snagga. Ten odwrócił się nagle i spytał przyciszonym głosem:

— Powiesz?

Zatrzymałem się. Spojrzałem na niego z uśmiechem i położyłem mu rękę na ramieniu.

— Uhm — przytaknąłem. — Jak wróczę. Pogawędzimy. Będziemy mieli mnóstwo czasu.

Odpowiedział uśmiechem. Jego twarz odmłodziła nagle. Była to twarz chłopca, który nie wszystko jeszcze rozumie, ale wie, że może się spokojnie uśmiechać, bo nie musi nikogo przekonywać o swojej sile ani o swojej odwadze. Klepnąłem go lekko po ramieniu, odwróciłem się i ruszyłem prosto do śluzy.

Riva czekał, jak się tego spodziewałem. Stał, oparty o pancerną klapę wjazdu i wyglądał tak, jakby nie zmieniał tej pozycji od kilku dni. Kiedy podszedłem, schylił się, mruknął coś niezrozumiale, po czym podał mi końcówkę kabla, nawiniętego na wielki, ruchomy bęben. Minałem go bez słowa, odsunąłem rygle i wszedłem do śluzy. Riva wtoczył za mną bęben, powiedział: „to wszystko” czy coś takiego i zatrzasnął klapę. Umocowałem kask, wetknąłem za pas rezerwowego pistolet i kiedy ciśnienie spadło do zielonej kreski w dole smukłego, pionowego czujnika, uruchomiłem automat wjazdu. Po raz drugi tego dnia otworzyła się przede mną próżnia.

Stanąłem na progu, wychyliłem się i wypchnąłem za burtę bęben z nawiniętym kablem. Poleciał w przestrzeń niezwykle powoli, rozwijając się łagodnymi, falującymi serpentynami, jak na zwolnionym filmie. Kiedy zaczęł zniknąć mi z oczu, przywiązałem drugi koniec kabla do stalowej zapinki w pasie skafandra, sprawdziłem kierunek i przycisnąłem spust pistolecika.

Tym razem nie próbowałem żadnych numerów. W regularnych odstępach czasu zwalniałem spust, krótkimi uderzeniami przyspieszając lot mojego ciała w kierunku rakiety. Chciałem znaleźć się przy jej pancerzu po możliwie najkrótszym pobycie w niebezpiecznej strefie.

Po pierwszych stu metrach zacząłem sobie przypominać, o czym myślałem poprzednim razem, zbliżając się do martwego statku. Postanowiłem teraz skierować myśl ku jakimś sympatycznym wizjom. Oczywiście nastawienie psychiczne, z jakim wkraczało się w obszar działania nieznanymi, paraliżującymi siłami, mogło nie mieć żadnego znaczenia. Ale kto wie?

Pomyślałem o Itii. O jej różowym peniuarze. O Usterze. Miłość to ważna rzecz. Ale czy miła? Wiedziałem, że bywa miła. Ale nie mogłem tak o niej myśleć. Nawet jeśli myślałem bez gniewu i w gruncie rzeczy bez żalu.

Twarz Itii rozmazała się w mojej pamięci, rozjaśniła i nagle stała się twarzą Liny. Jak w krótkim, niespokojnym śnie. Uśmiechnąłem się.

Seledynowa nitka odchyliła się nieznacznie od wytkniętego toru. Wyrównałem jednym uderzeniem płomienia gazowego i raptem, w ułamku sekundy poczułem, że staję się lekki, że tracę materialną masę ciała. To nie była nieważkość. Uczucia, jakie mnie teraz ogarnęło, nie doznałem nigdy przedtem. Jakbym był samą ciszą, wypełniającą najcieńsze, istniejące tylko w wyobraźni ścianki ska-

fandra. Wiedziałem, byłem najzupełniej pewny, że nie ma takiej rzeczy, takiego zjawiska, które byłoby w stanie zakłócić tę ciszę, zamącić spokój, jaki zapanował w moich myślach. Jeżeli takie bezkształtne, leniwie tasujące się i przemieszczające obrazy można w ogóle nazwać myśleniem.

Twarz Liny ożywiła się. Spojrzała na mnie sennym wzrokiem, przymknęła powieki i poruszyła wargami, jakby w bezgłośnym westchnieniu. Włosy opadły jej na czoło. Krótkie, jasne włosy, odrobinę tylko ciemniejsze od moich. Musiała być noc, pełna gwiazd. Dobrych gwiazd, dalekich, na które patrzy się z przyjemnością, czując pod stopami twardą, ziemską skałę.

Nie przestając się uśmiechać, wyciągnąłem rękę, chcąc delikatnie dotknąć jej twarzy, odczuć jej ciepło, uspokoić muśnięciem palców jej skórę, mięśnie, włókna nerwowe, w których czaił się podświadomy niepokój, płoszący sen. Czemu ona się niepokoi? Aha — przypomniałem sobie — czeka.

Nie powinna się niepokoić. Powinna być taka jak ja. Wytężyłem pamięć, żeby odnaleźć w mojej przeszłości coś, co na zawsze usunęło z mojego życia niepokój. Okazało się jednak, że jestem odcięty od własnej przeszłości tak samo jak od otaczającej mnie, obcej współczesności. Nieważne. O czym myślałem? Już wiem, o niepokoju. Tak. To było coś, czego nie zaznałem. Naprawdę. A mimo to nigdy w życiu nie byłem tak spokojny jak w tej chwili. Tym spokojem, który graniczy ze szczęściem.

Szczęście. Zachciało mi się nagle śmiać. Roześmiałem się na głos. Czułem, że moje płuca gwałtownie domagają się tlenu, ale nie mogłem się uspokoić. Wiłem się ze śmiechu, w miękkiej powłoce skafandra, wymachując leniwie nogami jak wielka ważka obłana syropem. W życiu nie widziałem nic równie śmiesznego jak to pomarańczowe światełko pod okapem hełmu. Nie było wcale rażące. Raczej miłe. Miłe. Moje wyciągnięte ramię trafiło nagle w coś potężnego i twardego. Starłem się pochwycić to coś rękawicą. Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się to mniej zabawne.

Statek — pomyślałem. — Wracam do domu.

Poklepałem chropawy pancierz. Przywarłem do niego otwartą dłonią, starając się nie utracić tego dotyku, jakbym potrzebował oparcia, żeby utrzymać się w granatowej próżni, pełnej szczęśliwego spokoju. Zacząłem mówić. Tłumaczyłem Linie, że wracam.

— Wracam do domu — powtórzyłem na głos.

Dom. Dzieciństwo? Nie, szkoła. Kwatera w klubie bazy. W miłym, ziemskim klubie. Tym razem słowo „miły” zostało użyte prawidłowo. Wobec tego przedtem musiałem myśleć o czymś, co w gruncie rzeczy okazało się nie bardzo miłe. Co to mogło być?

Uster. Skinąłem na niego. Serdecznie, po dawnemu.

Wparłem palce w chropowaty korpus statku. Zacząłem bardzo powoli sunąć wzdłuż jego burty, wypatrując znajomego światełka, zapraszającego do wjazdu. Nagle zaczepiłem o coś. Z pewnością nie o właz.

— Poczekaj — powiedziałem do Itii. Skinęła głową. Była poważna. Za poważna. Bez cienia uśmiechu. Patrzyła na mnie chłodno, badawczo, bez aprobaty. Pojąłem, że coś jest nie w porządku. Nie powinna tak patrzeć. W końcu przyszedłem tutaj po Ustera. Znieruchomiałem. Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Po Ustera? W takim razie to musiała być Lina.

Nic ci nie pomoże — powiedziałem sobie — że będziesz tak myślał. To jest Itia. Ona mi przeszkadza.

Powoli, z wewnętrznym zadowoleniem, jakbym wymyślił coś niesłychanie sprytnego, odczepiłem kabel od pasa i przywiązałem go do grubego ucha, sterującego z korpusu statku. Zrobiłem pętlę, drugą, ściągnąłem ją i wypróbowałem, Wytrzyma, Wtedy uprzytomniłem sobie, że drugi koniec kabla ginie w przestrzeni. Tam jest Itia. Chyba że czeka w środku, zaraz za tą wielopiętrową ścianą, przesłaniającą mi widok Luny. Uderzyłem zwiniętą rękawicą, raz i drugi. Nic. Lita skała. Milcząca. A więc tak czy owak został mi tylko ten kabel.

Chwyciłem go delikatnie, w dwa palce i lekko szarpnąłem. Poddał się od razu. Zaczai sunąć wzdłuż mojego ciała, najpierw leniwie, jakby pokonując opór, potem coraz szybciej. Znowu zachciało mi się śmiać. Szarpnąłem silniej. Zakotyssałem się gwałtowniej. Kabel wyrwał mi się z zamkniętej rękawicy. Spociłem się od tego nieustannego przyspieszania wahadłowego ruchu ramienia. Spociłem się, a równocześnie ogarnęła mnie senność. Powiniennem się przespać. Ale muszę poczekać, aż będzie tu przy mnie. Kto? Itia? Lina? Nieważne. Linie byłoby trudniej. Na pewno. A mnie... Czy to możliwe, że mnie byłoby trudniej z Itia?

Ścisnąłem mocniej kabel. Wyciągnąłem ramię przed siebie i pociągnąłem, ile sił w mięśniach. Leciałem. Moje ciało przemieszczało się w przestrzeni. Nie kabel. Teraz to czułem. Leciałem. Wcale nie tak wolno, jak mi się przedtem zdawało.

Zrobiło się ciemno. Dopiero po chwili zrozumiałem, że lampka czujnika nad moimi oczami przygasła, tlił się w niej jeszcze mikroskopijny ognik, ledwie dostrzegalny po jaskrawej czerwieni, która oślepiła mnie w ciągu wielu minut. Usłyszałem cichy, przyspieszony głos butlera. Ale nie zwracałem na niego uwagi. Przed oczami miałem jeszcze te twarze. Itia — mruknąłem. To była przykra myśl. Chwyciłem kabel i wystrzeliłem z pistoletu w stronę „Heliosa”. Nie poruszyłem się. Tkwiłem mocno w miejscu, znalazłszy niespodziewanie pewne oparcie. Tak powinno być. Zrobiłem swoje.

Musiałem odczekać, aż nitka namiaru pokryje się z wytyczoną drogą. Kiedy tylko upewniłem się co do kierunku lotu, odwróciłem głowę i pociągnąłem za spust.

W komorze słuzy zabawiłem dłużej niż zwykle. Zdjąłem kask. Cisnąłem go w kąt, na kupę spadochronów, poszedłem do drzwi i oparłem się czołem o zimną,

ciężką klapę. Przyszło mi na myśl, że po raz pierwszy nie posłuchałem butlera. Nie było żadnych racjonalnych powodów, żeby ignorować polecenia mojego nieomylnego anioła stróża. Czy też jego rady. Stosowaliśmy się do nich odruchowo. Jak kierowcy do świateł na skrzyżowaniach. Widać stan, w jaki wprawiało system nerwowy człowieka pole przy martwej rakiecie, utrzymywał się także po jego opuszczeniu. Jako ślad zaledwie, pozornie nieodczuwalny. Ale skoro zlekceważyłem osobistą aparaturę, musiałem być wytrącony z równowagi. Poza skutkami działania tej strefy, nie znajdowałem innego powodu. Trzeba się przekonać, do jakiego stopnia ten ślad może być trwały. Albo czy strefa nie działa w pewien sposób również poza jej ogniskiem, gdzie następuje nakładanie bodźców czy właśnie hamulców psychicznych. To tłumaczyłoby odbiegające od normy zachowanie Snagga i Rivy. Zwłaszcza Snagga. Te pytania. Jakby niezadowolenie. Stany graniczące niemal z emocjonalnymi. Trzeba się tym zająć. Sprawdzić programy naszych zespołów diagnostycznych. Muszą mieć luki.

Wyprostowałem się, aż mi kości zatrzeszczały, rzuciłem okiem na automat wjazdu i otworzyłem klapę.

Rozdział 5

FACET Z KORPUSU

Tkwili w swoich fotelach, w pozach, w jakich ich zostawiłem i sprawiali wrażenie, że w czasie mojej nieobecności nie zaszło nic, co zasługiwałoby na uwagę. Żaden z nich nawet na moment nie oderwał wzroku od kolorowych układanek czujników, kiedy przeciskałem się przez gąszcz przewodów, zmierzając do mojego pianolitowego leża.

Wyciągnąłem się wreszcie wygodnie, z uczuciem ulgi i czekając, aż automat połączy aparaturę mojego skafandra z zespołami pokładowymi, zlustrowałem ekrany.

Na pierwszym planie widniała świecąca srebrzyście nić, wybiegająca z dolnego rogu tarczy i przecinająca ją szerokim łukiem na dwie, niemal równe, części. Zrobiłem to naprawdę. Połączyłem opuszczoną rakieta z „Uranem”. Kabel był solidny. W każdym razie wystarczająco solidny dla poruszenia z miejsca masy „Heliosa”, rakiety, która na Ziemi lub w jakimkolwiek innym uczciwym polu grawitacyjnym ważyłaby te kilkadziesiąt tysięcy ton.

Mogłem z zadowoleniem przyglądać się swojemu dziełu. Gdyby, rzecz jasna, od dziecka nie wpajano mi przekonania o całkowitej bezużyteczności czegoś takiego jak zadowolenie lub niezadowolenie. Człowiek staje czasem przed tego rodzaju zadaniami, że różne piękne skądinąd uczucia mogą tylko utrudnić ich wykonanie. Chociażby to, co tutaj robimy. Zbrojna misja w strefie obcej cywilizacji. Cywilizacji, o jakiej człowiek myślał tysiące lat. Z jaką wiązał nadzieje, wspólne i bardzo osobiste. A kiedy ją wreszcie znalazł, jego samotność we wszechświecie pogłębiła się tylko. Bo współczesny człowiek jest istotą nie dość przekorną, aby czuć się mniej samotnym na bezludnej wyspie niż w otoczeniu nieprzyjaciół.

Sprawy zaszły tak daleko, że nie można już chować głowy w piasek. Ktoś musi najpierw uratować spokój Ziemi. A potem dopiero dać jej mieszkańcom, wszystkim, jeśli nie liczyć jednego tysiąca, okazję do westchnień i refleksyjnych wzruszeń.

W kabinie zabrzmiał nagle podniesiony głos Rivy:

— Zostaje!

Spostrzeżliśmy to równocześnie. Rufa „Heliosa”, przemieszczającego się w naszą stronę, odłoniła niewidoczny gołym okiem drobiazg, ukryty dotąd przed naszymi kamerami za kadłubem rakiety.

— Tak jakby — mruknął Snagg. W jego głosie zabrzmiała ponura satysfakcja.

Riva nie odrywał wzroku od czujników.

— Zajmiemy się tym — powiedziałem.

— Chcesz tam iść? — spytał Snagg. Zwrócił twarz w moją stronę. Jego spojrzenie mówiło wyraźnie, co myśli o perspektywie nowego spacerku.

— Nie — odrzekłem spokojnie. — Usuniemy to z drogi.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, jakby sprawdzając, czy nie kpię sobie z niego, po czym skinął głową i zajął się swoim pulpitem.

* * *

Przebyliśmy już dobre dwieście metrów, cofając się w przestrzeni wraz z przyczepionym do elastycznego, szklanego kabla statkiem, którym sześć lat przed nami przybyli tutaj ludzie. Hamownice pracowały bez przerwy, wyrzucając przed siebie pierścień rozżarzonego gazu, tworzący wokół dziobu barwną, efektowną kryzę. Pierwszy raz zdarzyło mi się oglądać coś takiego, ale też niezmiernie rzadko zdarza się, by dysze czołowe zużywały tak znikome ilości energii. Po prostu szybkość wystrzeliwanych gazów była śmiesznie mała jak na warunki, w których zwykle uruchamia się hamownice.

Minęło dalsze dziesięć minut. Odległość świecącego na ekranie przedmiotu od rufy „Heliosa” wzrosła do sześciuset metrów. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie możliwe poprawki, powinno wystarczyć. Granica paraliżującej strefy, kiedy sam podchodziłem do statku, nie przekraczała z pewnością stu metrów.

Pochyliłem się nad pulpitem Snagga. Chciałem to zrobić sam. Na sekundę, może półtorej, dałem pełny ciąg. Hamownice strzeliły ogniem. Poczułem mocne szarpnięcie do przodu. Natychmiast raz i drugi uderzyłem głównym ciągiem z rufy. „Uran” zastopował aż nazbyt szybko. Zauważyłem, że Riva posłał mi krótkie, jakby zdziwione spojrzenie. Ale wkrótce i on zrozumiał, do czego zmierzałem, bo „Helios” zaczął rosnać w oczach. Widzieliśmy w wizjerach jego opasły korpus, przesuwający się w granacie i odsłaniający wciąż nowe gwiazdy. Nie trwało nawet pięciu minut, kiedy zrównał się z nami, podpływając leniwie lewą burtą. Przez chwilę mieliśmy na ekranach jego dysze rufowe, rozwarte gruszkowato, czarne, niby paszcze średniowiecznych armat.

Posłałem Rivę do śluzy, żeby wybrał kabel. Sam zająłem się celownikami. Lewą rękę trzymałem bez przerwy na wyłączniku głównego ciągu, licząc się z koniecznością natychmiastowego odrzutu, na wypadek gdyby niebezpieczna strefa przywędrowała razem z „Heliosem” i objęła nas swoim paralizującym ogniskiem. Ale nic się nie działo.

* * *

Były tylko dwie możliwości. Albo siły stabilizujące strefę zostały przez mieszkańców układu Alfy umieszczone wewnątrz zagarniętego przez nich ziemskiego statku, albo też winowajcą jest ów mały obiekt widoczny na tachdarze jako czarny dysk czy raczej niewielka kula. Jeżeli chodzi o „Heliosa” i tak będziemy mu musieli poświęcić niemało czasu. Więcej nawet niż wymagały tego względy ostrożności. Należało bowiem wątpić, czy pozostawią nas na orbicie w spokoju. Jeśli „przywitani” nas już na granicy swojego układu. Na razie wokół nas panuje spokój. Ale z pewnością im prędzej się z tym uporamy, tym lepiej.

Dlatego powiedziałem Snaggowi, że chcę usunąć z drogi ów drobiazg. Wystarczy nam teraz to, co znajdziemy na pokładzie opuszczonego statku. Wołałem nie mieć pod nosem drugiego obiektu czekającego na zbadanie. A gdyby miało się okazać, że twórcą pola jest urządzenie zainstalowane wewnątrz statku... no cóż. Nie uprzedzajmy faktów.

Odczekałem, aż Riva wróci na swoje miejsce przy pulpicie i kazałem mu przygotować miotacz antimaterii. Postanowiłem, że nie będzie żadnej zabawy. W razie czego pozbędziemy się za jednym zamachem czarnego dysku, kabla wiążącego nas z ziemskim statkiem i, choć niechętnie, samego „Heliosa”.

Riva ustawił automat w ciągu kilku sekund i zamarł w bezruchu, z ręką wspartą od niechcenia na pulpicie, tak że taster celownika znalazł się w zasięgu jego palców.

Wtedy zwolniłem spust. Ekran zafalował gwałtownie, a w następnej chwili przeszył go krzaczasty rozbłysk. W naszym sąsiedztwie pozostał już tylko jeden obiekt. Jeśli nie liczyć „Kwarka” i „Merkurego”.

Byłoby bez wątpienia ciekawe obejrzeć z bliska to coś, czego już nie było. Ale wnosząc z przyjęcia, jakie zgotowano tu Ziemiakom, mogliśmy być pewni, że niejedną raz będziemy mieli jeszcze okazję. Należało sobie tylko życzyć, aby nie nastąpiło to za szybko.

Przyszła kolej na „Heliosa”. Mimo wszystko nie mogliśmy ryzykować łączenia statków bez upewnienia się, że strefa, w której tkwił, rozpadła się razem z niezidentyfikowanym obiektem, spalonym przez miotacz „Urań”. A więc jednak

jeszcze jeden spacer. Próby zdalnego uruchomienia silników opuszczonej rakiety spęły na niczym. Nie lepiej poszło z automatem włazu. Nie odpowiadał żaden z zespołów „Heliosa”. Nasze impulsy przesywały statek lub odbijały się od niego jak od pierwszego lepszego meteorytu.

Tym razem nie używałem pistoleciku. Podciągnąłem się po prostu po kablu jak po linie poręczowej, założonej dla zabawy na równinie. Nie minęło nawet pięć minut, a już dotknąłem rękawicą burty rakiety. Bez żadnych zwidów, natręctw myślowych czy czegoś w tym rodzaju.

Opłynąłem statek dookoła, lustrując uważnie jego pancierz. Był w zupełnym porządku. Nie udało mi się wypatrzeć śladów jakiegokolwiek awarii, najdrobniejszej choćby rysy przy przestrzeline. Klapy baterii laserowych i miotaczy były czarne, okopcone. Wyglądały jak dysze po długim locie w atmosferze.

Właz osobowy zatrzaśnięty na głucho. Nie próbowałem nawet wzywać automatu śluzy. Nie zdałoby się to na nic. Wiedziałem już, czemu „Helios” milczy. Jego zasoby energetyczne były wyczerpane do cna. Przemienniki przestały zasilać pokładową aparaturę, łącznie z automatycznym nadajnikiem namiarowym, zużywającym śmiesznie małe ilości paliwa. Nietrudno było dojść do tego wniosku. Po prostu nie sposób wyobrazić sobie jakiegokolwiek innej przyczyny martwoty statku. Nawiasem mówiąc, chciałbym zobaczyć tego, kto wystąpiłby z jakąś w miarę rozsądną hipotezą, tłumaczącą okoliczności opróżnienia zasobników energetycznych rakiety.

Powędrowałem do włazu transportowego. Ta sama historia. W przeciwieństwie do pierwszego, ten można było jednak otworzyć z zewnątrz, zdejmując wprasowaną w pancierz pokrywę magnetyczną, zainstalowaną z myślą o sytuacjach, kiedy cała załoga musi opuścić statek, a w czasie jej nieobecności automaty odmówią posłuszeństwa. Nie słyszałem, aby przytrafiło się to komukolwiek dotychczas, ale konstruktorzy mają zwyczaj raczej powiększać w nieskończoność ilość teoretycznie możliwych sytuacji, aniżeli grzeszyć sceptycznym realizmem. Skądinąd zresztą zupełnie słusznie.

Oparłem się o pancierz między nasadą dyszy a bezpiecznikiem klapy transportowej i wezwałem Snagga. Powiedziałem, żeby wziął „Skorpiona”, trochę paliwa chemicznego i parę wymiennych zespołów do automatów sterowniczych.

Kilkanaście minut później granatowe tło, na którym czernił się masyw „Ura-na” rozbłysło jasnioletowym wybuchem. Snagg startował. „Skorpion” był pojazdem zbyt dużym, bym mógł widzieć jego kontury, przesuujące się pod gwiazdami. Wyteżając wzrok, dostrzegłem tylko jakby obłok czerni, zachodzący na kolejne słońce.

Snagg naprowadzał „Skorpiona” szeroką parabolą. Doszedłszy do stycznej z rufą „Heliosa”, zastopował kilkoma uderzeniami hamownic. Odwrócił raketkę dziobem w moją stronę i, wyłączwszy silnik, szybował jak martwy owad, naprawdę przypominający skorpiona, dzięki sterzącemu nad kadłubem ostremu

wylotowi miotacza. Był to jeden z najmniejszych pojazdów latających, jakie mieliśmy na pokładach.

Kiedy znalazł się tak blisko, że mógłbym go dopaść jednym odrzutem pistoletka, spod dziobu „Skorpiona” wysunęły się dwa długie, elastyczne wąsy zaczepów magnetycznych. Minęło jeszcze kilkadziesiąt sekund i w otwartym włazie rakiety, tkwiącej już nieruchomo tuż przy nasadzie dyszy wielkiego statku, ujrzałem głowę Snagga w srebrzystoszklanym, baniastym hełmie.

— Sielanka — mruknął, rozkładając antenę podręcznego zespoliku łączności, używanego w próżni dla koordynacji pracy automatów.

Nie odpowiedziałem. Wobec idealnej ciszy i spokoju, panującego wokół „Heliosa”, wszystkie moje poprzednie manewry musiały się wydawać co najmniej dziwne. Nie ulegało wątpliwości, że obaj czekają na wyjaśnienia.

Automaty poradziły sobie z klapą w ciągu trzydziestu sekund. Chwilę później pierwsza komora transportowa stanęła przed nami otworem.

Powiedziałem Snaggowi, żeby nie wprowadzał „Skorpiona” do wnętrza statku. Miał odczekać kilka minut i wejść za mną. Skinął głową na znak, że zrozumiał. Widziałem, jak manipuluje aparatem łączności, żeby przekazać dane Rivie.

Odepchnąłem się lekko od krawędzi włazu i z głową naprzód, jak nurek wpływający do grotu, pogrążyłem się w mrocznym wnętrzu śluzy. Zaraz za progiem, z którego odchodziły płaskie zastrzały klapy, zapaliłem reflektor. Zatrzymałem się i uważnie zlustrowałem ściany komory. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Jakby jakiegoś onieśmielenia i lekkiego podniecenia zarazem. Myślę, że podobnego uczucia mogli doznawać pierwsi badacze, pogrążający się w nowo odkrytych korytarzach staroegipskiej piramidy.

Ale ten statek był martwy zaledwie od sześciu lat. Jeśli nie krócej. Cokolwiek krył w swoich kabinach i pomieszczeniach, nie będą to złote sarkofagi. Nawet jeśli kształt komór hibernacyjnych naprawdę może się komuś skojarzyć z wyglądem starożytnych trumien.

* * *

Komora transportowa była pusta. Podobnie dwie następne. Między drugą a trzecią ściana działowa była rozsunięta. Tutaj stały zwykle najcięższe pojazdy statku. Widocznie załoga wysłała je w drogę w gorączkowym pośpiechu. Ale poza tym we wnętrzu części transportowej panował idealny ład. Długie warkocze przewodów ciągnęły się równymi pasmami, oplatały ściany i strop, wpadały w płaskie pudła wzmacniaczy i korektorów, znowu wyłaniały się na powierzchnię, by nagłym łukiem wnikać w bulwiaste zgrubienia grodzi, dzielącej komory

transportowe od pokładów energetycznych. Sprawdziłem je wszystkie metr po metrze, na próżno szukając śladu uszkodzenia mechanicznego czy awarii. Wreszcie podpłynąłem do końca pomieszczenia i zatrzymałem się u wylotu lejkowatej niszy, która stanowiła przedsionek śluzy.

Otwarcie klapy zajęło mi więcej czasu, niż myślałem. Odzwyczałem się od ręcznej obsługi mechanizmów. Zresztą i mechanizmy same miały prawo „odzwyczać” się od pracy. Tak czy owak udało mi się w końcu odsunąć klapę, z niewiele mniejszym wysiłkiem, niż gdybym to robił w polu grawitacyjnym, i znalazłem się w śluzie.

Zatrzymałem się pośrodku kolistego pomieszczenia, niewiele większego niż analogiczne komory statków typu „Uran”, i skierowałem światło reflektora na ściany. W pierwszej chwili wzdrygnąłem się i odruchowo sięgnąłem po miotacz. Ale to były tylko skafandry. Snop światła wyłuskiwał je kolejno, jeden po drugim, wiszące obok siebie jak zbroje w muzeum. Hełmy, srebrzyste kadłuby wzdęte jak kukły, cienkie, elastyczne przewody.

Sąsiednia ściana była ogołocoła. Po skafandrach pozostały tylko palcowate zaczepy i końcówki przewodów. Nigdzie śladu nieporządku, pośpiechu, paniki. Kłapa drzwi prowadzących do kabin szczelnie zamknięta.

Przejechałem jeszcze reflektorem pozostałe ściany, strop i podłogę, zajrzałem we wszystkie kąty, z narastającym przeświadczeniem, że nie trafię tu na żaden ślad, który pomógłby mi wyjaśnić zagadkę opuszczenia „Heliosa” i że tak samo będzie wszędzie, w całym statku. Wreszcie podszedłem do drzwi i, przewyciężając opór bezpiecznika, szarpnąłem zamek. Równocześnie skoczyłem do tyłu, chroniąc się za grodzia, żeby uniknąć wiru, jaki mógł powstać przy nagłej zmianie ciśnienia. Ale poza sekundowym naporem na przód skafandra i dźwiękiem, przypominającym głęboki oddech zmęczonego człowieka, nic nie poczułem ani nie usłyszałem.

Odczekałem chwilę, po czym, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi, wkroczyłem do korytarza. Światło mojego reflektora grzęzło w mrocznej perspektywie tunelu, nie docierając do zamykającej go ścianki, za którą znajdowała się kabina nawigacyjna i sterownia. Po obu stronach załśniły równym, malejącym szeregiem szklane kłamki. Tak. To nie było zrobione dla inforpolu. Każdy członek załogi miał swoją oddzielną kabinę, niewiele większą od położonej na płasko szafy, ale szafy wyposażonej we wszystkie urządzenia, do jakich człowiek przywykł we własnym domu.

Cofnąłem się do końca korytarza, pod sam próg szybu, prowadzącego do pokładów energetycznych i rzuciwszy pobieżnie okiem na rysunki oraz napisy ostrzegające ludzi przed promieniowaniem, zacząłem systematycznie, segment za segmentem, badać ściany, strop i przewody, podążając wolno w kierunku dziobu.

W połowie drogi dołączył do mnie Snagg. Wyłonił się z bocznej niszy jak obraz holowizyjny bez fonii, liznął mnie białym, wąskim promieniem swojego

reflektora, mruknął coś niezrozumiale i nie zatrzymując się ruszył od razu w głąb korytarza. W pewnej chwili przystanął przed drzwiami do jednej z kabin. Podszedłem bliżej.

Na zmatowiałym obiciu, pokrytym srebrzystoszarym nalotem, widniała wizytówka Thorns'a. Snagg pochylił się, przełożył pistolet do lewej ręki i z całym rozkładem, jaki można uzyskać w nieważkości, natarł na magnetyczną listwę, przylegającą do framugi. Drzwi otworzyły się natychmiast, z cichym poświstem, jakby ktoś ciął nożem arkusz metalicznej folii.

Odczekałem chwilę, aż odzyska równowagę, to znaczy wróci do pozycji pionowej, po czym stanąłem w progu i skierowałem światło reflektora w głąb kabiny. Wbudowany w przeciwną ścianę ekran, naśladujący iluminator, zamigotał natychmiast, jakby przystępując do przekładu na język optyki informacji, które zapisał podręczny komputer. Ale w zespołach tego komputera nie było śladu energii. Snagg podszedł bliżej, przechylił się do przodu i zatoczył reflektorem łagodny łuk. Promień światła wyłuskał z ciemności małą tablicę rozdzielczą z martwymi okienkami czujników, następnie zszedł niżej, na pulpit kalkulatora, liźnął powierzchnię wąskiego stołu czy raczej półki i ponownie powędrował w górę, trafiając w przeglądarkę i zawieszoną na kształt odwróconej piramidy kasety, zawierające mikrofilmy. Zapewne przede wszystkim mapy i zapisy geofizyczne. Na stole leżało kilka rozrzuconych niedbale przedmiotów, ołówek magnetyczny, stary, zabytkowy zegarek, jakiś kamień, okulary słoneczne, kilka arkuszy folii. Jakby ktoś, kto tu mieszkał, przerwał pracę nie sześć lat temu, ale przed chwilą, aby wrócić do swoich zajęć po kilkuminutowej wizycie u sąsiada.

— Idziemy dalej — powiedziałem, cofając się do korytarza.

— Umm...

— O co chodzi? — zatrzymałem się.

— Poczekaj. — Nie śpiesząc się wszedłem do kabiny. Już otwierałem usta, żeby coś powiedzieć, kiedy dobiegł mnie stłumiony stuk. Reflektor zachybotał się gwałtownie, następnie miękką parabolą powędrował pod niski sufit. Oświetlał teraz miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Snagg.

— Dobra, dobra — dobiegł z góry spokojny głos. Widać, podobnie jak ja, miał zwyczaj odpowiadać głośno swojemu butlerowi, kiedy ten szczególnie natarczywie przywoływał go do porządku.

Snop światła, padający spod sufitu, trafił mnie nagle w twarz. Zmrużyłem oczy czekając, aż wbudowana w okap kasku fotokomórka zabarwi szybę wodnistą zielenią. Ale oślepiający krąg uciekł natychmiast z mojej twarzy, przebiegł szybkoabinę od ściany do ściany i znieruchomiał na podłodze, dwa kroki przed miejscem, w którym stałem. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do mnie, że to, co tam leży, to tylko buty próżniowego skafandra. Wybiegały z nich nogawki, rozrzucone, spłaszczone jak kończyny starego, szmacianego manekina. Krąg światła powędrował metr do przodu.

— Ktoś się śpieszył — powiedziałem, robiąc krok w stronę tych butów.

Snagg mógł naprawdę potrzebować pomocy osobistej aparatury. W stożku ostrego światła porzucony niedbale skafander wyglądał jak zwłoki. Jego lekka, wielowarstwowa powłoka wydymała się, tworząc wyraźny zarys klatki piersiowej, brzucha i ud. Dopiero czarny obrys puste kryzy rozwiewał ponure domniemanie.

Pochyliłem się i trąciłem skafander lufą pistoletu. Zwinął się powoli, uniósł, po czym łagodnym ruchem popłynął w stronę stołu, przewalając się równocześnie na plecy. Tym razem w moim głośniczku obudził się niespokojny świerszcz. Ale nic nie powiedziałem.

Snaggowi udało się w końcu odepchnąć od sufitu i wylądować koło mnie, pośrodku kabiny. Bez słowa pochyliliśmy się nad pustym ubiorem. Mniej więcej od pasa do prawego ramienia, pod samą niemal kryzę, biegła wąska szczelina. Końce włókien sterczące z jej poszarpanych krawędzi były poczerńiałe, jakby okopcone. Takie ślady zostawia tylko trafienie wiązką małego lasera. Wiedzieliśmy, co to znaczy.

Snagg wyprostował się pierwszy. Jeszcze raz omiół kabinę światłem reflektora, badając uważnie wszystkie zakamarki, zaglądając nawet pod stół i niską, modelowaną leżankę. Ale poza porzuconym na środku podłogi skafandrem w kabine Thorns'a panował wzorowy ład.

Zsunąłem przez ramię podręczny analizator i skierowałem jego wylot w podeszwy butów nawigatora i szefa załogi „Heliosa”, jeśli skafander istotnie należał kiedyś do niego, co wcale nie było pewne. Przystroiłem aparaturę na analizę spektralną i zwołniłem spust, a raczej uderzyłem w niego palcem. Kabinę przeszył sekundowy, biały błysk. Odczekałem chwilę, aż kontury przedmiotów wypełniających wnętrze pokoju odzyskają ostrość, i spojrzałem na zapis. Niestety, szary osad, widoczny na powierzchni butów skafandra, pokrywał je zbyt cienką warstwą. Może zespoły neuromatu mogłyby nam dostarczyć jakichś ciekawych informacji. Mały, ruchomy aparacik nie był dość czuły.

Snagg przyglądał mi się chwilę, wreszcie pojawiwszy, że nie mam nic do powiedzenia, mruknął coś nieprzyjaźnie i ruszył w stronę umieszczonego pod ekranem pulpitu. Chwilę manewrował przełącznikami, po czym odwrócił się i skierował do wyjścia.

— Włączony — rzucił, przepływając koło mnie.

Poświeciłem reflektorem. Istotnie, rączka głównego kontaktu znajdowała się na czerwonym polu. Komputer w kabine pracował tak długo, jak długo generatory „Heliosa” dawały energię. Albo zapomniano go wyłączyć, co było mało prawdopodobne, albo też wtedy, kiedy umilkł ostatni agregat, na statku nie pozostał już nikt, kto mógłby to zrobić.

— Tak to wygląda — Snagg odwrócił się i opuścił kabinę.

Podciągnąłem pas analizatora, lokując go z powrotem na plecach i wyszedłem także, trącąc krawędź drzwi. Magnetyczna listwa miękko przywarła do framugi. Nie troszcząc się więcej o wizytówki, poszliśmy prosto do końca korytarza, gdzie znajdowały się drzwi do salki nawigacyjnej. Krótki przedśionek prowadził do przestronnego pomieszczenia, służącego jako filmoteka, jadalnia i miejsce narad czy wreszcie spotkań towarzyskich. Kubek w kubek jak nasz klub, na dole. Tyle że bez psychotronu. Półkoliste sklepienie było utkane kolorowymi ekranami.

* * *

Lejkowate przejście, odpowiednio szerokie i bez żadnej ścianki czy przegrody, prowadziło do właściwej sterowni. To było coś dla nas. Sufit i ściany ginęły za gąszczem czujników i przewodów. Pośrodku stały dwa stykające się poręczami fotele. Przed nimi, na kształt horyzontu, ciągnął się łukowato szeroki pas zbiorczego ekranu. Jego dolna krawędź przechodziła płynnie w gruszkowate, jakby wyjęte z dwudziestowiecznych filmów futurystycznych pulpity, z miniaturowymi klawiszami. Coś dla nas? Nie tak bardzo. Prawda, że całą przestrzeń kabiny opłatały węzły przewodów i kabli. Ale między nimi a fotelami można było bez trudu przeprowadzić tresowanego słonia.

Zajrzeliśmy do pojemnika, który odbierał zapisane taśmy, wychodzące z zespołu głównego komputera. Był wypełniony niemal do połowy wysokości. W bocznej komorze także znaleźliśmy gruby plik zużytych arkuszy. Robota na dwa dni. Jeśli, oczywiście, kilkuletni brak energii lub coś, co spowodowało ten stan, nie udaremni prób wskrzeszenia informacji, jakie bębny pamięciowe przejęły przed postojem. Tak czy owak nie mogło być mowy o podjęciu jakichkolwiek czynności przed uruchomieniem kilku przynajmniej bloków energetycznych „Heliosa”.

— Wracamy — powiedziałem.

Snagg rzucił mi krótkie spojrzenie. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że zachowujemy się inaczej niż zwykle. Nie tylko on. Ja także. Myśląc o czymś, mimo woli szukałem pomocy w ewentualnych analogiach, zastanawiałem się, czy nie należałoby spojrzeć na zagadnienie z jakiegoś innego punktu widzenia, rozpatrzeć możliwości, które nie nasunęły się od razu. Nie, żebym się wahał. Owe rozkojarzenia, jeśli w ogóle można tak to nazwać, nie trwały dłużej niż ułamki sekund. Ale myśl jest szybka.

Mój głośniczek przebudził się nagle i zaszemrał. Wzruszyłem ramionami i skierowałem się w stronę śluzy. Oto skutki przebywania w obcym polu siło-

wym, zakłócającym równowagę bioprądów. Zresztą w sąsiedztwie statku może się przecież znajdować więcej takich piguł. Nie tak blisko, żeby mogły działać jak tamta, niemal przylepiona do „Heliosa”, ale i nie dość daleko, żeby nie objąć nas zewnętrzną strefą aktywności.

* * *

Pracowaliśmy bez przerwy sześć godzin. Automaty przetrząsały porzucony statek, ustawiając wszystkie przełączniki, kontakty i czujniki na pozycjach zerowych. Ta prosta czynność wymagała nowego zaprogramowania maszyn. Zleciliśmy to neuromatowi. Statek kosmiczny ma — lekko licząc — sto tysięcy przekazników od lampek nocnych do aparatury celowniczej i pulpitu sterowania. Energia wyczerpała się podczas pracy wielu z tych urządzeń. Mogły być wśród nich takie, których uruchomienie spowodowałoby na przykład natychmiastowe wystrzelenie w „Urana” porcji antimaterii. Nie sposób określić, jaki program zainstalowano w aparaturze statku, jeśli w jej zespołach nie pozostało śladu energii.

Automaty sprawdziły jeszcze ciągłość i ekranizację przewodów, stwierdziły prawidłowość obwodów i łączy, usuwając przy okazji dwie czy trzy drobne usterki, jakie znajduje się zawsze po każdym dłuższym locie. Dopiero teraz można było pomyśleć o przetransportowaniu części zapasów paliwa z energetycznych grodzi „Urana” do zasobników opuszczonej rakiety. Przedtem jeszcze połączyliśmy włązy obu statków korytarzem próżniowym, takim samym jak te, które sterczą z pól startowych każdej stacji kosmicznej. Sprężarki pracowały na maksymalnych obrotach, atmosfera w obu pojazdach wyrównywała się powoli. Oczekaliśmy, aż wskaźnik poboru tlenu ustawi się na zielonym wycinku koła, sprawdziliśmy program automatów celowniczych i pole ostrzału wszystkich naszych jednostek, po czym poszliśmy spać.

* * *

Obudziłem się przed oznaczoną godziną. Snagg i Riva spali w najlepsze, poGRAżeni w pianolitowych czólnach swoich foteli. Usłyszałem cichy świergot butlera. Ale wbrew temu, co mi sugerował, sen odbiegł mnie na dobre. Zamknąłem oczy i leżałem bez ruchu, wsłuchując się w ciszę próżni, w samotną nieskończoność czasu i dróg, za skorupą statku. Nie czułem zmęczenia. Miałem tylko nieja-

sne wrażenie, że moje życie czy może ta część świadomości, która bezpośrednio nie uczestniczy w żadnym działaniu, wzbogaciły się o coś ważnego, co nie było przewidziane w programach szkolenia inforpolu i z pewnością nie spodobałoby się ich autorom. Co się właściwie stało? Jak dotąd, nic takiego. Mieszkańcy systemu, w którego obszar wtargnęły ziemskie statki, dysponowali aparaturą paraliżującą koordynację psychiczną człowieka. W polu, stymulowanym przez tę aparaturę, ja, facet z Korpusu, mogłem doświadczać emocji, jakich nie doznaje najmniej odporny z ludzików. Strach, zniechęcenie, tęsknota... Słowa z dziewiętnastowiecznych angielskich melodramatów.

Przemknęło mi przez myśl, że Snagg i Riva nie mogli uwierzyć w to, co im powiedziałem.

Leżąc z przymkniętymi oczami, w kabynie, której mrok rozpraszały jedynie pastelowe świetliki czujników, odkryłem nagle, że doznane wczoraj emocje nie były wcale przykre. A raczej nie one same, a fakt, że w ogóle ich doświadczyłem. Nie to, żeby strach czy ten jakiś leniwy błogostan miał mi sprawiać przyjemność. Ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że w czasie pobytu w polach, rozprzegających koordynację centrów nerwowych, sięgnąłem do głębszych, nie odkrytych dotąd pokładów własnej osobowości. Po raz pierwszy w życiu zadałem sobie pytanie, czy pod tą doskonałą maszyną, precyzyjnie zaprogramowaną przez centralę Korpusu i tysiącrotnie sprawdzoną w najwyszukańszych sytuacjach, nie kryje się coś więcej jeszcze, do czego nie dotarłem dotychczas, a czego tylko za ledwie dotknąłem, zmieniając na własną rękę pamięć osobistej aparatury.

* * *

Mogłem sobie pozwolić na postawienie takiego pytania. Odpowiedź na nie — jeśli, rzecz jasna, potrafiłbym jej sobie udzielić — i tak nie mogła mieć wpływu na spełnienie misji, jaką nam powierzono. Jeśli nawet grunt, na jakim zbudowano maszynę faceta z Korpusu, był istotnie gruntem nie znanym, to ona sama tak czy owak pracowała bez niespodzianek. Choćby wszystko, co dotychczas przeżyłem, usiłując dotrzeć wczoraj do martwego „Heliosa”, miało być tylko próbką tego, co czeka nas po wylądowaniu. Zrobimy, co do nas należy.

Uniosłem się bezwiednie i szeroko otworzyłem oczy. Co będziemy mogli zrobić, pozbawieni sprzężeń i łączności, nawet w obrębie własnych organizmów? Niewiele... czy nic? A może nie będzie tak źle. Może to właśnie stanie się najsurowszą, najbardziej bezwzględną próbą, jakiej nie udało się dotąd wymyślić naszym specom od szkolenia?

Odezwał się głosik. W bezcieniowych lampach obudziło się nagle na razie światło. Snagg poruszył się leniwie i wymamrotał jakieś niezrozumiałe zdanie. Z każdą chwilą robiło się jaśniej. Kilka godzin, nazwanych umownie nocą, mieliśmy za sobą.

* * *

Zbliżało się południe. W kabine nawigacyjnej „Heliosa” płonęły wszystkie ekrany. Aparatura pokładowa pracowała bez zakłóceń, jakby statek przed chwilą opuścił halę montażu. Co kilka minut palce Snagga uderzały w klawisze pulpitu. On sam tkwił nieruchomo w jednym z bliźniaczych foteli, głęboko wychylony do przodu. Riva i ja staliśmy z tyłu. Nie wtrącałiśmy się. Od kiedy na ekranie i w głośnikach zaczęły odzywać zapisy zespołów pamięciowych neuromatu i arkuszy pokładowych, nie odezwaliliśmy się słowem.

Przejrzeliśmy jeszcze raz meldunki, jakie dotarły do bazy. Do końca, to znaczy do momentu, kiedy Thorns stracił łączność z załogą „Proximy” i usiłował ją odzyskać, wystrzelivując serię sond. Zapis urywał się na zdaniu, w którym Thorns komunikował, że zmienia orbitę, w nadziei odszukania lepszego pasma odbioru.

Po ostatnim słowie obraz na ekranach rozjarzył się, o tym, że neuromat i kalkulatory pozostawały jeszcze pod prądem, świadczyły tylko skaczące linie, sekundowe rozbłyski, bezładne i nic nie znaczące liczby, wyskakujące w najrozmaitszych punktach tarczy bez najmniejszego sensu. Jedyne, co można było wynioskować z tych obrazów, to upływ czasu.

Mijały minuty, z minut robiły się godziny. Przyspieszyliśmy, ile się dało, bieg taśmy. Z błysków, cyfr i strzępów linii powstał na ekranie piekielny, filmowy tańiec. Coraz częściej odruchowo przecierałem palcami powieki, pod którymi zbudził się ostry, kłujący ból.

Nagle, bez żadnego przejścia obraz złagodniał. Snagg błyskawicznym ruchem zmienił prędkość przesuwu taśmy. Głośnik zaskrzeczał niemiłosiernie, następnie milczał chwilę, po czym odezwał się obcy, męski głos.

— Odbiór! Odbiór! Tu Areg. Tu Areg. Woła „Helios”. Odbiór!

Riva mruknął coś i posłał Snaggowi znaczące spojrzenie. Mnie również uderzyła archaiczna forma tego wywołania, sprzeczna z obowiązującym kodem.

Raptem z głośnika buchnął krzyk, a raczej zmieszane krzyki wielu ludzi. Coś, co ich tak wzburzyło, nie rozgrywało się na pokładzie. Nie na pokładzie. Ciągły, przerywany trzask, znany nam aż za dobrze. Taki efekt daje fotonowa seria. Głos kobiety. Wysoki, spazmatyczny, przechodzący niemal w wycie. Śmiech.

W tym momencie poczułem ból. Pojąłem, że zaciskam szczęki. Przez moje plecy przewędrował rój małych, zimnych mrówek.

— Daj go tutaj, Bons! — zabrzmiał czyjś głos na pierwszym planie, głusząc krzyki innych. Znowu ten przeciągły trzask. — Krosvitz! Krosvitz! Z tyłu! — wyszczał głośnik. Mrówki na moich plecach przyspieszyły. Poznałem głos Thornsa.

— Odbiór! — To wołał Areg. — Odbiór! Jestem sam na pokładzie. Jestem sam...

W tym momencie powtórzyła się seria, ale znacznie bliżej, jakby strzelano tuż przy mikrofonie. Z głośnika dobiegł potworny zgrzyt, od którego załomotało mi pod czaszką, jakbym wsadził głowę między bieguny nuklearnego wibratora. Raptem wszystko ucichło.

Przez ekran przewijały się spokojnie zapisy czynności Arega, jakie wykonywał po tej krótkiej — nazwijmy to tak — transmisji z globu. Przez kilka godzin wszystkimi możliwymi sposobami wywoływał bazę na powierzchni, jeśli w ogóle zdążyli tam coś zbudować. Potem wyłączył aparaturę. Dłuższą chwilę nie robił nic. Wreszcie wziął małą raketkę, uzbrojoną w jeden miotacz laserowy, ostatnią, jaka znajdowała się na pokładzie, i poleciał. Przedtem zaprogramował orbitę „Heliosa” i nadajnik namiarowy statku.

* * *

Minęło kilkanaście godzin, od kiedy uruchomiliśmy aparaturę zainstalowaną w głównej kabinie wskrzeszonego statku. Bez przerwy odtwarzaliśmy dane, których już nie było, przepuszczając zapisy z maksymalnym przyspieszeniem. Licznik wskazywał, że do odlotu Arega minęły nie miesiące już, ale lata.

Jeszcze raz mignął normalny obraz na ekranie kontrolnym. Cofnęliśmy zapis.

Miejsce Arega zajął Thorns. Zachowywał się co najmniej dziwnie. Robił coś przy zespole diagnostycznym. Następnie kilkanaście godzin leżał bez ruchu w fotelu. Potem wstał i poszedł do łazienki, waląc się po drodze na projektor, który nie działał zresztą do tej pory. Pół godziny później otworzył ogień. Wszystkie baterie laserowe, wyrzutnie, miotacz antyprotonów. Ekran rejestrujący ciągnął kanonadę gasł powoli z upływem czasu, on jednak nie zrobił nic, żeby powstrzymać to piekło, które rozpętał w promieniu wieluset kilometrów od „Heliosa”. Trwało to tak długo, aż światełka czujników zmatowiały i zgasły, bęben podający taśmę do zespołu pamięciowego zamarł w bezruchu i nastąpiła martwa, niema noc.

Rozdział 6

LĄD

— Chciałbym zobaczyć, jak to wygląda... — mruknął Riva.

Uporał się w końcu z kostką koncentratu, wstał i ruszył w stronę umywalni. Zaszumiało. Mdły zapaszek ciepłego, oczyszczającego gazu dotarł aż do naszych foteli.

Opowiedziałem im jeszcze raz, możliwie najwierniej, wszystko, czego doświadczyłem pozostając w strefie działania sił, stymulowanych przez obcy obiekt.

— Myślę, że będziesz miał okazję — rzucił beztroskim tonem Snagg, nie odwracając głowy. — Oby nie za prędko.

Riva wrócił na swoje miejsce, odetchnął głęboko i wpatrzył się w środek bocznego ekranu.

— Jutro lądujemy — zauważył po chwili, pozornie bez związku.

Jakiś czas panowało milczenie.

— Tak... — odezwał się wreszcie Snagg — to tłumaczy utratę łączności z bazą. Nasze statki jeden po drugim włączyły w to grzęzawisko i...

— Na razie nic niczego nie tłumaczy — przerwał Riva. — Jeśli teraz zaczniemy wyciągać wnioski, nie zajdziemy daleko.

Przyznałem mu w duchu rację.

— Nazwijmy to pole strefą zerową — powiedziałem. — Co do wniosków, zgadzam się z Rivą, że trzeba poczekać, aż zbierzemy więcej danych. Na podstawie tego, co wiemy dotychczas, można założyć, że było tak, jak mówi Snagg.

— Interpretacja? — skrzywił się Riva.

Nie odpowiedziałem. Skinąłem głową w stronę Snagga. Ten odczekał chwilę i zaczął mówić:

— Mieszkańcy Trzeciej przyjmują przybyszów z Ziemi pigułkami, paraliżującymi łączność. Instalują w nich jakieś generatory, wytwarzające pola, które nazywałeś strefami zerowymi — musnął mnie przelotnym spojrzeniem. — I „Monitor”, i dwa następne statki utrzymywały kontakt z bazą, dopóki nie znalazły się w obrębie tych stref. Nie wiemy, co się stało z załogą wyprawy kontaktowej. Na-

tomiast „Proxima„ prawdopodobnie wylądowała. Słyszeliśmy głosy... byli już na powierzchni satelity. Mniejsza z tym... na razie.

— Na razie... — zgodził się Riva.

— Strefa zerowa jest stosunkowo niewielka. Manewrując na orbicie, nawet w sposób nieskoordynowany, statek może ją przecinać wielokrotnie, może ją...

— Raczej: je — wtrąciłem. — Prawdopodobnie tworzą pierścień obronny. Nie licząc tych, które wystrzelują na spotkanie rakiet, przybywających z zewnątrz systemu Alfya.

— Jak to było z nami — wtrącił znowu Riva.

— Uhm. Mamy za to nieco więcej danych dotyczących losów „Heliosa”. Weszli na orbitę. Przygotowali załogę do lądowania. Kontrolowali zapewne, jak to się zwykle robi, manewry bliźniaczego statku. I nagle stracili z nim łączność. Ich aparatura działała jeszcze normalnie.

— Ludzie — powiedział Riva.

— Ludzie — przytaknął Snagg. — Ludzie działali normalnie. A więc to nie „Helios”, tylko „Proxima” jako pierwsza dostała się w tę strefę. Wtedy, kiedy podchodziła już do lądowania. Thorns robił, co mógł. Wysłał sondy, które jednak lecąc w kierunku „Proximy”, musiały przeciąć pole wygaszające łączność. Więc zdecydował się na zmianę orbity. I wpakował statek w tę samą strefę, w której tkwił już pierwszy.

— Koniec zabawy — powiedziałem. — Dalej będzie tylko czysta zgadywan-ka. Wiemy, że opuścili statek. Na pokładzie został Areg. Może zresztą poleciał ze wszystkimi i wrócił potem, kiedy zdał sobie sprawę, co się dzieje. W każdym razie opuścił jeszcze na jakiś czas strefę zerową. Świadczy o tym fakt, że udało mu się nawiązać przynajmniej jednostronną łączność z powierzchnią globu. Głosy, które słyszeliśmy, zelektryzowały go do tego stopnia, że zabrał ostatnią raketkę i poleciał. Potem komputery „Heliosa” znowu wpadły w płasawicę. Kiedy statek jeszcze raz opuścił skażone pole, na pokładzie był już nie Areg, lecz Thorns. Prawdopodobnie ranny, jeśli to jego skafander znaleźliśmy w kabinie. Mógł to być przypadek. Albo i nie. Poza tym licho wie, czy odniósł tę kontuzję na powierzchni satelity, czy też w drodze na orbitę. Albo wewnątrz statku. Zresztą mniejsza z tym. Wiemy, że przeżył kilka lat. I chyba nie on jeden. A więc musimy postępować ostrożnie...

— Uhm... — Riva uniósł głowę i spojrzał w sufit. — Jak długo się da...

— Damy im szansę — powiedział Snagg, tak cicho, że ledwo usłyszałem.

Dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Co się tam działo, na dole?... — mruknął wreszcie Riva.

— Bili się — Snagg wzruszył ramionami.

— Nie słyszałem głosów obcych...

— Jutro zobaczymy — przerwałem Rivie, prostując się. — Szkoda, że nie mamy specjalisty — cybernetyka. Może potrafiłby coś powiedzieć o generatorach, stymulujących te strefy. To w tej chwili najważniejsze.

— W każdym razie radzą sobie i z łącznością, i ze sterowaniem — stwierdził po chwili namysłu Snagg.

— Centra nerwowe — powiedział Riva. — Wystarczy zaatakować jedno ogniwo w układzie prospektywnym mózgu... chociażby falami elektromagnetycznymi...

Zastanowiłem się.

— Nie. Moc pól elektromagnetycznych, wytwarzanych przez bioprądy, nie osiąga wielkości progowych. Fale nie mogą oddziaływać na takie pola.

— Niemniej już dwieście lat temu ludzie umieli pobudzać na odległość wypręparowane nerwy i mięśnie. I to właśnie działając polami elektromagnetycznymi niskiej częstotliwości. Do stu herców.

— Umieci aż tyle? — rzucił od niechcenia Snagg.

— Także zwiększać pobudliwość ośrodków układu nerwowego.

— Czy te strefy mogą oddziaływać na korę mózgową? — spytał nagle Riva.

— Uhm...

— Przypuśćmy, że powodują defekty samoregulacji...

— Defekty osobowości — przerwał Snagg,

— Niech będzie — przystałem. — Działając właśnie na starszą filogenicznie część kory. Tam powstają uczucia...

— Samoregulacja musi mieć sprzężenie zwrotne — Snagg pokręcił głową.

Riva spojrzał na niego z nagłym zainteresowaniem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Snagg zaczerpnął głęboko powietrza.

— Próbuję sobie wyobrazić wzór, ogólny wzór na sprzężenie zwrotne...

— Zna go każde dziecko — parsknął Riva.

— Z cybernetyki — stwierdziłem. — Nie z fizyki.

Zaczynałem się domyślać, o co chodzi Snaggowi.

— A gdybyś go sobie umiał wyobrazić? — Riva utkwiał wzrok w czubkach swoich butów.

— Wiedziałbym wówczas, że to samo mógł kiedyś pomyśleć ktoś inny... i nadać tej myśli konkretny kształt.

— Kształt piguł stymulujących strefy zerowe?

— Właśnie.

Tym razem milczeliśmy nieco dłużej.

— Dobra — powiedziałem wreszcie. — Sprzężenia to coś, co mamy w małym palcu. Jeśli je nam odbiorą...

— Zostaną tylko palce — wysyczał Riva.

— Tak. Wiem z praktyki, że nie jest bez znaczenia, o czym myślimy, wchodząc w te przeklęte strefy. Od teraz skupiamy uwagę na zadaniu, jakie mamy wykonać. Koniec. Żadnych rozmów. Snagg?

— Tak?

— Ustal współrzędne „Heliosa”. Nadajnik namiarowy z podwójnym zapasem energii. Generatory, które uruchomiliśmy, niech pracują dalej. Za dziesięć minut rozłączymy statki. Przepal linę. Łądujemy w promieniu pięciu kilometrów od źródła ostatniej emisji, odebranej przez „Heliosa”. Pogotowie za dwadzieścia minut.

Snagg skinął głową i pochylił się nad pulpitem. Riva siedział jeszcze kilka sekund bez ruchu, następnie wstał i podszedł do ekranów „Kwarka” i „Merkurego”.

* * *

— Rozruch.

— Tak, rozruch — głos Snagga brzmiał jak zawsze. Jego wzrok ślizgał się obojętnie po okienkach czujników. Ręce leżały nieruchomo na kontaktach pulpitu.

— Współrzędne.

— Tak, współrzędne — powtórzył Riva.

— „Kwark”, „Merkury”, do korytarza.

Nie upłynęło pięć sekund, a z głównych dyszy statków satelitarnych strzeliły krótkie płomienie. Ich łby zbliżyły się do siebie i z niedostrzegalnym dla gołego oka przyspieszeniem wycelowały w środek tarczy globu. Nie poczułem nic. Szliśmy jedną tysięczną mocy, jaką rozwijają silniki w czasie startu w atmosferze.

Mijały minuty. Tarcza globu rosła powoli, wypełniła horyzont, krawędzie cieni na jej powierzchni uwypukliły się w poszarpaną sinusoidę wzgórz. Na wysokości siedmiu kilometrów przecięliśmy linię terminatora i wpadliśmy w noc. Zaterkotał geiger. To „Kwark” sygnalizował niesłychanie rozrzedzoną chmurę radioaktywnego pyłu. Dwa czy trzy razy ujrzeliśmy pod sobą miniaturowe rozbłyski. Ale w kabinie nie padło ani jedno słowo. Żaden z nas nie oderwał wzroku od czujników i ekranów.

Tak jak powiedziałem, myślałem o tym, co mamy zrobić i tylko o tym.

Tak powiedziałem...

Nagle uprzytomniłem sobie, że przed przystąpieniem do lądowania rozmawialiśmy chwilę. Wszyscy trzej. Wymieniliśmy luźne przypuszczenia, refleksje, wdaliśmy się w spekulacje myślowe, pozbawione w gruncie rzeczy realnych podstaw i nie prowadzące do wniosków, bezpośrednio poprzedzających działanie. Jak do tego doszło? Czy przestaliśmy być ekipą inforpolu, idealnie zgodnie przyjmująca i interpretująca każdy fakt, każdą informację, jakbyśmy byli jednym mózgiem,

od dziecka prowadzonym ku bezbłędnej precyzji oceny zjawisk, ugruntowanej w kręgu psychotronu i zautomatyzowanej w ciągu lat ćwiczeń? Nie. A więc co?

Tym razem natychmiast odrzuciłem to pytanie. Musiałem skupić całą uwagę na zadaniu. Pomyślałem tylko, że była to zapewne pierwsza tego rodzaju rozmowa w historii Korpusu.

Znajdowaliśmy się znowu nad półkulą dzienną. Przewaliliśmy się kilometr nad powierzchnią w szyku stożkowym, amortyzatory foteli miauknęły boleśnie, spóźniając się jak zwykle o ułamki sekund, rakiety przekoziółkowały. Stojąc na ogniu schodziliśmy w dół, w ekranach rósł z każdą chwilą obraz łagodnych pagórków, spływających ku zachodowi w rozległą równinę. Najbliższe wzgórze, palone odrzutem, zaczynało już kopcić, z rufy wysunęły się rozczapierzone zastrzały kratownic, sąsiednie zbocze rozbłysło jeszcze raz pomarańczową łuną. Potężne, sprężyste uderzenie teleskopów.

Staliśmy.

— Do startu!

— Tak, do startu — powtórzył spokojnie Riva.

Trwaliśmy bez ruchu, z rękami zawieszonymi nad pulpitem sterowniczym. Miały sekundy. Mniej więcej sto metrów dalej, u stóp wzgórza, siadał „Merkury”. „Kwark” zniknął nam na moment z oczu. Po chwili ukazał się znowu, już znacznie bliżej. Snagg naprowadzał go na najwyższy punkt wzniesienia. Chodziło o pole ostrzału. Poza tym będzie służył jako radiolatarnia. My lądowaliśmy w połowie zbocza, w równej odległości od obu statków towarzyszących.

Odczekaliśmy dziesięć minut. Komputer powtórzył dane, uzyskane z widmowej analizy gruntu. Uczciwa skorupa, przynajmniej z jej strony nie groziły nam żadne niespodzianki. Chmura pyłu, wzniesiona przez odrzut przy lądowaniu kłucza, opadała powoli. Butler milczał. Soczewka kontrolnej lampki geigera wyglądała jak niewinny, czarny guziczek. Głośniki nasłuchu zewnętrznego nie przynosiły żadnego niepokojącego szmeru. Poza poskrzypywaniem części pancierza i hamownic, rozpalonych w czasie lądowania. Ale to były znane, swojskie głosy, które nie docierały do naszej świadomości.

— „Kwark” — powiedziałem. Snagg pochylił się nad pulpitem.

— Podwójny pierścień.

Wokół dziobu rakiety, sterczącej ze szczytu wzgórza, otworzyła się wąska, czarna kryza. Cały klucz znalazł się wewnątrz pola ostrzału miotacza antyprotonów. Zaprogramowaliśmy jeszcze automaty celownicze „Merkurego” i statku macierzystego. Dziób „Kwarka” rozchylił się następnie jak pękający owoc, po czym wychyłała z niego wysoka na trzydzieści metrów antena, która rozbudowała się u góry w pajęczny reflektor. Ten statek przejął teraz funkcję naszej centrali komunikacyjnej.

— Kod — rzuciłem.

— Tak, kod.

Odczekaliśmy, aż pokładowy kalkulator skończy przekazywać dane o lądowaniu i wstępne badania gruntu do nadajnika. Baza otrzyma pełny meldunek. Zrobiliśmy już więcej niż dwie poprzednie ekspedycje. Tylko że one przyleciały tutaj bez zaprogramowanych miotaczy. To znaczy tak zaprogramowanych, żeby zmiatały z drogi wszystko, nie czekając na ewentualne spóźnione przyjacielskie gesty ze strony obcych. I nie były ekspedycjami Korpusu.

W piętnastej minucie po lądowaniu opadły podłużne płyty klap transportowych. Zjechały po nich, pędzone bezgłośnymi silnikami, nasze pojazdy. Wokół kratownicy „Ura” ustawiły się trzy „Skorpiony”, podobne do płaskich, pancernych owadów z zadartymi odwłokami. Od strony „Merkurego” zbliżył się „Phobos”, najcięższa z maszyn, przeznaczonych do eksploracji nie znanych lądów.

W całej flocie Korpusu było wszystkiego kilkanaście tego typu pojazdów. „Phobos” miał zainstalowany uniwersalny miotacz antymaterii i autonomiczną aparaturę neuromatu. Zapasy energii w jego ładowniach były praktycznie niewyczerpane.

— Spróbuj się tu wygodnie urządzić — powiedziałem do Snagga. — Riva idzie ze mną.

Skinął lekko głową. Nie spojrzał nawet w moją stronę.

Ubieraliśmy się bez pośpiechu. Skafandry ważyły tutaj trochę więcej niż na Lunie. Wzięliśmy pełny zestaw kontaktowy i wszystko, co trzeba, na wypadek gdyby obcy bardzo nie życzyli sobie kontaktu.

* * *

Stojąc w otwartym włazie, powiodłem spojrzeniem wzdłuż linii horyzontu. Łagodne, niemal regularne garby pagórków wznosiły się ku wschodowi aż do zamykającej widnokrąg poszarpanej ściany, otaczającej zapewne wygasły przed tysiącami lat krater. Bardziej na północ, tylko bez porównania dalej, podobna grań znaczyła swoją obecność nikłą, fioletową niteczką. Spojrzałem w prawo. Tutaj obłe wierzchołki wzgórz, przypominających nadmorskie wydmy, biegingy nieskończonymi szeregami po kres horyzontu.

Obca ziemia. Nawet nie ziemia. Satelita. Ani śladu obecności gospodarzy. Miły, bezludny ład. Co z tego, że obcy. Tylko że ten ład nie był bezludny. Gdzieś, wśród tych wzgórz, w sąsiedztwie skalnych grzebieni lub kraterów lądowali przybysze z Ziemi. Tej prawdziwej. I oni również nie stanęli na bezludnym lądzie. I nie wśród istot, które by marzyły o gościach z naszego układu.

Podciągnąłem pas, odwróciłem się plecami do otwartej przestrzeni i zszedłem na płaską łapę windy, której prowadnice biegły wzdłuż zastrzału, wpartego dolnym końcem w grunt globu.

Stanąwszy na dole, odwróciłem się znowu i dałem krok do przodu. Twarde, lite podłoże. Tupnąłem. Zadźwięczało, jakbym uderzył pięścią w pancierz wielkiego dzwonu. Postąpiłem kilka kroków w kierunku „Phobosa”. Za sobą usłyszałem stąpanie. Riva także stanął już na powierzchni drugiego satelity. Trzeciej, planety obcego słońca, bardziej obcego niż ktokolwiek z nas mógł to sobie wyobrazić przed pierwszą wyprawą.

— Wszystko w porządku — usłyszałem spokojny głos Snagga. — „Helios” daje namiar.

— Dobra — mruknąłem. Odwróciłem się i skinałem na Rivę. Po chwili gromoliliśmy się z trudem na pancierz „Phobosa”, uważając, by nie zaczepić aparaturą skafandrów o klapy strzelnic i wysięgników.

* * *

Minęło dwadzieścia minut. Oddalaliśmy się spiralnym torem od lądowiska, przeczesując teren falami radaru i sondami. Echo sygnałów wracało niezmiennie do czujnych uszu neuromatu i wodzików automatów celowniczych, nie przynosząc żadnych niepokojących wieści.

„Phobos” szedł miękko na poduszce powietrznej, zgrabnie przeskakując wierzchołki wydmowatych wzgórz. Jego silniki pracowały bezszelestnie, tylko na bardziej stromych wzniesieniach budziło się w nich delikatne granie.

W kabinie było niewiele mniej miejsca niż w sterowniach rakiet typu „Uran”. Co do ładowni, można by w niej pomieścić bez trudu załogę niewielkiej stacji kosmicznej.

W miarę posuwania się w głąb ładu, grunt niepostrzeżenie zmieniał barwę. Żółć mieszała się z fioletem, tu i ówdzie wypęły łąchy błękitu, wszystko to ciemniało stopniowo i stawało się coraz bardziej niepodobne do powierzchni któregoś globu czy asteroidy, wędrujących po obszarach naszego układu słonecznego. Chwilami w skalistym podłożu, w miejscach pozbawionych warstwy żwiru czy pyłu, otwierały się kręte kanaliki matowej czerwieni. Tak jakby powierzchnia globu nie zatrzymywała promieni słonecznych, jakby światło docierało do płytkich warstw geologicznych i załamywało się równocześnie w kryształach najrozmaitszych minerałów. Widok był piękny, ponieważ polatywanie „Phobosa” powodowało pozorny ruch i przemieszczanie się wszystkich tych barw. Ale nie dla widoków przylecieliśmy tutaj.

* * *

Coraz wyżej wznosiły się na wschodzie strzępiaste stożki skał, mur, jaki tworzyły, przestał być zwarty i jednolity, można już było rozróżnić poszczególne granie i turnie. Przed najwyższym pasmem czerniał długi, ginący za horyzontem rów o niemal idealnie równych brzegach. Przypominał gigantyczną fosę, strzegącą dostępu do skalistej twierdzy. Pagórki, zbiegające ku brzegowi owego rowu, stawały się szersze i niższe, spływając w lekko nachyloną równinę. Siedzieliśmy bez ruchu i milcząc chłoniliśmy przestrzeń przed tępo ściętym dziobem „Phobosa”, przenosząc wzrok z ekranów w podłużne, łukowate wizjery. Podobnie jak w kabinach raket, sterownię pojazdu opasywał rząd ekranów. Pod nimi ciągnęły się jednak zwykłe pancerne okna. Sama kabina była okrągła, o kształcie spłaszczonej półkuli nasadzonej zaraz za dziobem na potężny korpus. W raketach, ze względu na przeciążenia występujące przy lądowaniu i w czasie startu, fotele załogi są umocowane na stałe. Tutaj pozwolono sobie na większy luksus. Chcąc zmienić położenie, można było odwrócić całą wieżyczkę. Same fotele również były obrotowe. Miało to pewne znaczenie w sytuacjach wymagających szczególnie bacznej obserwacji i operatywnego działania.

Na początku drugiej godziny marszu pochwyciłem kątem oka nikły, krótkotrwały rozbłysk nad którymś z najbliższych szczytów. Automat zareagował natychmiast, w ułamku sekundy skierowując w tę stronę lufy czujników.

— Lustro? — zapytał Riva. Było to pierwsze słowo wypowiedziane w kabinie „Phobosa”, od kiedy zasiedliśmy w jej niskich, oplecionych przewodami fotelach o wysokich oparciach.

— Sygnał świetlny ze wschodu — rozległ się z głośniczka głos Snagga. — Podaję współrzędne. . .

— Zostaw — rzuciłem. — Widzieliśmy.

Mimo to podał współrzędne. Neuromat statku sprawdził informacje.

Nie bez pewnej satysfakcji przyglądałem się cyferkom, wyskakującym w ekranie kontrolnym. W okienku automatów celowniczych obudziło się już przed chwilą ostrzegawcze żółte światełko.

— Wołam Thaala — domagał się Snagg. — Mówcie, co u was.

— Nie masz nas na ekranie? — spytał spokojnie Riva.

Trwało chwilę, zanim odpowiedział.

— Mam.

Zabrzmiało to jak zatrzaśnięcie drzwi pokoju, który się opuściło bez zbytniego żalu. Riva uśmiechnął się. Pierwszy raz widziałem jego uśmiech.

Nowy błysk, bliższy i ostrzejszy. Usłyszałem narastające buczenie automatów, pomyślałem, że mamy awarię jakiegoś podzespołu i gwałtownym wyrzutem ra-

mienia zablokowałem spust miotacza. Dobiegł mnie okrzyk Rivy, którego głos zagłuszył jednak jazgot głośnika. Okienka czujników rozjarzyły się kłującymi wzrok światłami, kątem oka spostrzegłem jeszcze metaliczne odbicie na gasnącej tarczy radaru, ręce mi opadły, w ustach poczułem słony smak potu i zamarłem w bezruchu. Trudno mi powiedzieć, jak długo to trwało. Nie myślałem o niczym. Wsłuchiwałem się w piekielny hałas, wypełniającyabinę, ale nic nie usiłowałem zrozumieć. Tak jakby nic do mnie nie docierało. Kiedy się ocknałem, kabina wykonała pełny obrót, przed sobą mieliśmy znowu wspinające się garby wydm czy wzgórz. Głośniczek zachłysnął się nagle i umilkł. Wyraźniej zabrzmiał teraz czyjś głos. Natarczywy, jęczący, przewiercający czaszkę na wylot.

— Czego wrzeszczysz?! — ryknąłem, zaciskając pięści na poręczach i podkurczając nogi. Poderwałem się, chciałem go dosięgnąć, ale fotel był pusty. Ogarnęła mnie nieprzytomna, zwierzęca wściekłość. Miał pilnować porządku. To był jego psi obowiązek.

— Poczekaj — wycharczałem — dostanę cię. . .

Skoczyłem. W tym samym momencie poczułem tępy ból w głowie. Uderzył mnie. Chce się mnie pozbyć.

— Nie pozbędziesz się. . . — syczałem, wywijając na oślep rękami.

Wreszcie go zobaczyłem. Tkwił, wciśnięty plecami w wąską przerwę między pulpitem a pokrywą przystawki pamięciowej, przechylony głęboko do tyłu i spoglądał na mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Był bez hełmu. Jego twarz zalewał pot, zlepione kosmyki włosów przykleiły mu się do czoła. Z półotwartych ust ciekła strużka śliny.

— Boisz się!!! — krzyknąłem tryumfalnie.

Zaraz przestanie się bać. Niech tylko wyplączę nogi z tych przeklętych przewodów. . . boi się. . .

Znieruchomiałem. Strach. Riva się boi. . .

Nie bardzo zdając sobie jeszcze sprawę z tego, co robię, uniosłem dłoń, pozbawioną rękawicy, i ile siły wyrznąłem nią w pancerne okucie ekranu. Poprawiłem, raz i drugi. Wypróbowany sposób — przemknęło mi przez myśl. Uśmiechnąłem się. Ale zaraz potem oprzytomniałem. Przynajmniej na tyle, żeby rzucić się w stronę rozrządu celowników. Uderzyłem kolanem w łożysko fotela i wałęsałem się już głową na dół, między podstawy ekranów, zdążyłem jeszcze szarpnąć bezpiecznik, blokujący spust miotacza. W tym samym ułamku sekundy ekrany pojaśniały. Zgiełk ucichł, jak nożem uciął. Dobiegł mnie jeszcze cienki, niemal nieuchwytny syk. Zrozumiałem, że „Phobos” otworzył ogień. Trafiłem głową w twardą, kanclastą obudowę i na moment wszystko się skończyło.

Kiedy ponownie otwarłem oczy, ujrzałem tuż nad sobą twarz Rivy. W jego wzroku było coś, co powinno mnie zastanowić. Ale nie przyglądałem mu się dłużej niż kilka sekund. Mój umysł pracował już normalnie.

Butler milczał. Na jakiś czas miałem go z głowy. Przynajmniej dopóki sytuacja się nie wyjaśni i będę mógł poszperać w głośniku.

Wyplątałem ramię z przewodów zasilających i wtedy dopiero udało mi się dosięgnąć podstawy ekranu. Usiadłem.

Riva wyprostował się powoli i oparł o poręcz fotela. Wciąż przyglądał mi się badawczo, ale wyraz jego twarzy powoli łagodniał. W dalszym ciągu nic nie mówił.

Cała scena rozegrała się w czasie nie dłuższym niż dziesięć sekund. Kiedy się podniosłem i dotarłem na fotel, ekrany gorzały jeszcze ogniem. Otaczające nas niskie wzgórza, fioletoworudy grunt, chmury pyłu, zalegającego zagłębienia, wszystko to zniknęło w płomieniu anihilacji. Dokoła nas zaczął się formować ponury, mroczny mur, na kształt monstrualnej baszty, który, jeśliby patrzeć z zewnątrz, musiał powoli przybierać kształt gigantycznych rozmiarów grzyba.

Sięgnąłem do pulpitu i nacisnąłem klawisz. Poczułem nikłe, rosnące przyspieszenie, „Phobos” zakołysał miękko raz i drugi, w kabinie zrobiło się nagle tak ciemno, że aż rozbłysły wewnętrzne reflektory, choć nie na długo.

Przez ekrany zaczęły przelatywać rzadniejące pasma mgły i raptem ujrzeliśmy w iluminatorach spokojny, zalany słońcem krajobraz. Odwróciłem wieżyczkę w stronę zamykających horyzont gór i zastopowałem.

Zaczerpnąłem głęboko powietrza i ostrożnie, jakbym zdejmował zniszczone opakowanie z drogocennej wazy, uniosłem hełm. Załomotało mi w głowie, każde uderzenie przyspieszonego pulsu odczuwałem jak dotkliwy cios. Zsunąłem rękawicę z lewej dłoni i obmacałem czaszkę. Guz nad lewą skronią. Poczułem pod palcami lepką wilgoć. Tak, jakby mnie ktoś poczęstował grubym, kanciastym drągkiem. Ale to nie był drąg. Poszukałem spojrzeniem krótkiego występu, stanowiącego przedłużenie podstawy ekranu. Nikt mnie nie uderzył. Bzdura.

No więc to byłoby załatwione. Przemogłem ból i odwróciłem głowę, żeby popatrzeć na Rivę. Stał cały czas bez ruchu, oparty o fotel. Spostrzegłszy, że mu się przyglądam, uniośł odrobinę rękę, machnął dłonią i odwrócił się. Obszedł oparcia foteli, zerknął w czujniki i usiadł ciężko, przeciągając się i prostując nogi na całą ich długość. Nie patrzył już w moją stronę.

Skupiłem uwagę na obrazie, jaki przekazywał ekran czołowy. Próbowałem odszukać wzgórze, gdzie zauważyliśmy przedtem ten błysk.

— Pamiętasz, gdzie to było? — mruknąłem wreszcie.

Zwolniłem automaty celownicze. Wieżyczka drgnęła i przesunęła się dwa stopnie w prawo.

— Zostaw... — odpowiedział mruknięciem, jakby z niechęcią.

Nie zostawiłem. Zawróciłem „Phobosa” i omijając szerokim łukiem pole bezpośredniego zetknięcia gruntu z antymateria, nad którym wciąż jeszcze wisiał słup gęstej, czarnej chmury, odnalazłem linię naszego marszu, zanim został przerwany.

ny przez ów prezencik, przesłany nam drogą powietrzną. Jeszcze raz zwróciłem pojazd dziobem w stronę gór i zastopowałem.

Tak, to był ten szczyt. Pamiętałem otaczające go turnie, a zwłaszcza jedną, przypominającą jurajską maczugę skalną.

Przerwałem na chwilę sprzężenie automatów celowniczych z ich uniwersalnym programem, zapisanym w pamięci komputera, podciągnąłem prowadnicę baterii laserowej i naprowadziłem ją nie śpiesząc się, jak na ćwiczeniach. Dotknąłem spustu. Wziąłem minimalną poprawkę i krótkie, prostokątne lufy „Phobosa” połączyły się na kilka sekund najcieńszymi, promienistymi drogami z wierzchołkiem odległej o kilka kilometrów skały.

Odjąłem rękę od pulpitu i czekałem. Nic.

— Mam nadzieję... — zaczął Riva, ale nie skończył.

Z trafionego szczytu uniosła się smużka dymu. Tak jak na Ziemi w mroźny, bezwietrzny dzień, kiedy zapali się w jakimś muzealnym kominku. Siadu ognia, wybuchu, nic. Tylko ten spokojny dym, unoszący się prościutką smugą w pozbawioną atmosfery przestrzeń, otaczającą glob.

— Mam nadzieję — podchwyciłem — że nie spaliliśmy im żadnego pomnika.

Nie odpowiedział. Siedział chwilę bez ruchu, naburmuszony, po czym uśmiechnął się nagle, zwracając twarz w moją stronę. Ale nie był to radosny uśmiech.

Przed chwilą chciałem go uderzyć... jeśli nie zrobić coś jeszcze gorszego. Wściekłem się na niego. A on konał ze strachu. Bał się mnie. Nonsens. Coś, co nie może się zdarzyć. A jednak tak było. Na wszystko byliśmy przygotowani. Niemal na wszystko. Na to nie. Tego jednego nikt nie przewidział. Że stracimy kontrolę nad własnymi odruchami i własnymi myślami. Istoty, które stać na wymyślanie i posługiwanie się takimi diabelstwami, nie zasługują doprawdy na żadne względy.

Uniosłem do oczu prawą dłoń. Była opuchnięta i miękka, przypominała zgniły owoc o postrzępionej łupinie. Coś trzeba było z tym zrobić.

Wypatrzyłem głębsze od innych siodło między pagórkami i skierowałem tam „Phobosa”. Kiedy skryliśmy się za niskim, gładkim zboczem, wyłączyłem silniki. Pojazd opadł łagodnie i przywarł do powierzchni gruntu. Wstałem, zrzuciłem skafander i zabrałem się do głośnika mojego wiernego butlera.

* * *

Minęło półtorej godziny. Od dobrej chwili tkwiłem już z powrotem w skafandrze i wsłuchiwałem się w zrzędlive pobekiwanie aparatury, nie szczędzącej

mi dobrych rad. Moją głowę spowijała elastyczna torba, pełna niedostrzegalnych gołym okiem obwodów. Przechodziłem błyskawiczną kurację, przepisaną przez zespół diagnostyczny. Dłoń miałem unieruchomioną. Jakiś czas będę musiał na nią uważać. Krzepy mi nie brakowało. Niewiele, a rozwaliłbym ten pulpit, z jego pancerną obudową. Tego mnie nie uczono. A jednak gdybym tłukł tą ręką odrobinę słabiej. . .

Rozmowę ze Snaggiem mieliśmy już za sobą. Szczegółowy meldunek poszedł do bazy. „Uran” przyjął kod z potwierdzeniem odbioru wiadomości o „Heliosie”. Nasi szefowie z Budorusa uważali, że statek trzeba wyposażyć i zostawić na orbicie w charakterze rezerwowej bazy. Natomiast nie zająknęli się nawet na temat tego, co powiedzieliśmy im o strefach zerowych. Prawdopodobnie nic nie zrozumieli. Lub też uznali, że i tak nie mogą nam pomóc i wobec tego nie ma się co roztkliwiać. Jakbym słyszał Jeusa: „Mają zadanie, albo im się uda, albo nie, bez względu na nasze spekulacje. . .”

Ciekaw byłem, co zrobią, jeżeli nam się nie uda. Wyślą następną ekipę? Chyba tak. Z tym, że to zagadnienie, przynajmniej dla nas, musi pozostać niesprawdzalne.

W bocznym czujniku centralki komunikacyjnej pulsowało światełko, potwierdzające stałą łączność z kabiną „Urana”. Snagg prosił jednak, żebyśmy osobiście potwierdzili przekazy automatów. Jakby się bał, że nasze nerwy odmówią posłuszeństwa i że neuromat tego nie zauważy. Zgłaszał się co minutę. Powiedziałem mu w końcu, żeby się wyłączył. Mruknął coś i umilkł.

* * *

Po dwóch godzinach od momentu otwarcia ognia radioaktywna chmura za nami osiągnęła wysokość kilku kilometrów. Nad samą powierzchnią gruntu pozostał zaledwie nikły jej ślad, w postaci popielatej, półprzezroczystej mgiełki. Tylko okienka geigerów jarzyły się pomarańczowym światłem. Ale tak będzie tutaj jeszcze przez wiele dni.

Uruchomiłem silniki. Kiedy nabrały mocy, sprawdziłem automaty celownicze, zdjąłem z głowy opatrunek i włożyłem kask.

— Nie dojedziemy — mruknął Riva, wysuwając brodę do przodu i wskazując wrzynające się w horyzont turnie.

— Nie — przyznałem.

Dla unoszącego się na powietrznej poduszce „Phobosa” nie było drogi niedostępnej. Ale prowadzenie pojazdu wzdłuż pionowych ścian, nad przepaściami i piargami skalnymi, w warunkach stałego zagrożenia ze strony obcych, oznacza-

ło ryzyko, graniczące z szaleństwem. Nie mówiąc o owym rowie czy rozpadlinie, odgradzającej płaskowyż od szczytów, której pokonanie musiałyby nam zająć ze dwa dni piekielnej wspinaczki.

— Rozejrzyjmy się — powiedziałem bardziej do siebie niż do Rivy, zaciskając lewą dłoń na rękojeści steru.

Silniki zamiauczały, wynosząc pancerny ciężar „Phobosa” na wierzchołek wzgórza, pod którym przyczailiśmy się po pierwszej potyczce. Zastopowałem.

W otaczającym nas krajobrazie nie zmieniło się pozornie nic od chwili, gdy lustrowaliśmy go stojąc w otwartym włazie statku, tuż po wylądowaniu. Taki sam milczący pochód regularnych wydm, ten sam martwy spokój, ta sama mozaika barw, nieruchomych teraz, ale gotowych podjąć piękny, niezrozumiały taniec przy najmniejszym poruszeniu pojazdu. Te same połamane grzebienie skał na horyzoncie. Jeżeli jednak przedtem mogliśmy chwilami ulegać złudzeniu, że trafiliśmy na ląd obcy, ale pusty, czekający od tysiącleci na odkrywców, to teraz nie mieliśmy już wątpliwości, że był to ląd wrogi.

* * *

Ostatecznie postanowiliśmy ruszyć na północny wschód, w stronę gór i, nie dojeżdżając do skalnego rowu, trzymać się nadal drogi równoległej do linii jego brzegu, w przyzwoitej odległości od przepaści.

— To może trwać dwa lata — rozległ się nagle w kabinie głos Snagga,

— Masz zamiar naszej drogi? — spytałem.

— Uhm.

— Włącz go do programu i czekaj.

Mogły istotnie minąć lata, zanim szukając w ten sposób, po omacku, trafilibyśmy przypadkiem na ślad ludzi. Cóż stąd, skoro nie mieliśmy wyboru. Nasze odbiorniki oczywiście stale wyłapywały sygnały z Trzeciej i zapewne nie tylko z Trzeciej, lecz również z baz satelitarnych, ale podobnie jak na Ziemi czy w Budorusie komputery nie były w stanie wyłuskać z tego kociokwiku śladu jakiegokolwiek pasma znaczeniowego. A nadajniki naszych załóg, jeżeli te załogi jeszcze istniały, zachowywały martwe milczenie. Zresztą nie sądziłem, aby nam pozwolono bezkarnie buszować po tym lądzie dłużej niż przez kilka godzin. I w tym upatrywałem naszą szansę. Może to niemiłe, ale trudno.

Znowu chwyciłem ster. Nabierając szybkości „Phobos” zsunął się ze zbocza, zakołysał miękko wtaczając się na równinę i wziął kurs na północny wschód. Sterowanie przejęły automaty.

* * *

Od miejsca, gdzie zostawiliśmy „Urana”, przebyliśmy sto osiemdziesiąt kilometrów. Tępy, spłaszczony dziób pojazdu celował od pewnego czasu prosto ku północy. W odległości kilkudziesięciu metrów od lewej burty otwierała się czeluść skalnego kanionu. Nad jego przeciwległym krajem wisały potworne, strzelające na kilometry w górę, przewieszane skalne ściany. Tu i ówdzie otwierały się w nich głęboko wcięte żleby, zasłane głazami, od których odchodziły potrzaskane, ostre żebra. Za nimi widniały masywy dalej położonych szczytów, dobiegających łukowato wyciętymi graniami do głównego pasma. Mimo to wydawało mi się, że cały ten groźny i potężny widok nie dorównuje ani majestatem, ani urodą skalnym masywom otaczającym kratery na Lunie.

Teren, nad którym wznosił się „Phobos”, był równy jak stół, miejscami przypominał starą, ziemską drogę. Barwy gleby, a właściwie powierzchniowych warstw skorupy globu jakby wypływały lub też my oswoiliśmy się już z ich kalejdoskopowym kontredansem.

Od pewnej chwili obserwowałem z uwagą widoczne przed nami, w odległości kilkuset metrów, łagodne wybrzuszenie z płasko ściętym, tarasowatym wierzchołkiem. Nawet po wielogodzinnej podróży przez bliźniaczo podobne do siebie wzgórza, przypominające gigantyczne piaskowe babki pochodzące z tej samej foremki, to jedno wybrzuszenie zwracało naszą uwagę niezwykłą regularnością rysunku. Ale na próżno wypatrywałem jakiegokolwiek szczegółu, załamania czy wypiętrzenia, które świadczyłyby o tym, że nie jest dziełem natury. Dopiero kiedy znaleźliśmy się tak blisko, że wzrok mógł już sięgnąć poza jego krawędź, odsłonił się przed nami idealnie gładki, jak zalany szkłem, niemal biały pas, szerokości około dziesięciu metrów, zbiegający prostymi brzegami w perspektywę, aż ku zamykającemu horyzont załamaniu łańcucha górskiego.

Zwolniłem, wprawiłem w ruch wieżyczkę, na wszelki wypadek zlustrowałem bardzo dokładnie okolice, równocześnie przebiegając wzrokiem tarcze ekranów i czujników, po czym ostrożnie prowadziłem „Phobosa” na białą płaszczyznę, przejechałem kilka metrów i zatrzymałem pojazd.

— Lotnisko — bąknął Riva.

Tak to wyglądało. Jak pas startowy starego, sportowego lotniska.

Ale nie widziałem w życiu pasa, który by się ciągnął, lekko licząc, pięćdziesiąt kilometrów.

Wywołałem Snagga i kazałem mu wysłać sondę.

— Tak, sonda — usłyszałem natychmiast.

Po upływie niespełna czterdziestu sekund na czołowym ekranie ukazała się srebrzysta struna, wędrująca ku środkowi tarczy. Sonda minęła nas na wysokości ośmiuset metrów i poszybowała nad gładzizną pasa.

— Przerzuć łączność — powiedziałem do Rivy.

Skinął głową i pochylił się nad pulpitem centralki komunikacyjnej. Ekran zmienił barwę, pojaśniał. Przecinała go prosta biała wstęga, nie skalana najmniejszą plamką czy nierównością. Z lewej strony, zlewające się na skutek ruchu sondy, placki wzgórz. Po prawej brzeg kanionu, odległy od skraju białego pasa o jakieś sto metrów. Dalej otwarta czeluść, której dno, nawet z tej wysokości, pozostawało niewidoczne. Podnóża skalnych ścian obraz już nie obejmował.

— Pojedź wyżej.

Snagg usłuchał od razu. Obraz zaczął się rozszerzać. W tym momencie w miejscu, gdzie biały pas ginął u stóp górskiego grzebienia, coś zalśniło. Wydawało mi się, że rozpoznaję kopulasty kształt, jakby dno wielkiej, odwróconej miski. Nagle ekran zasnuł się mgłą. Sekundę, może dwie, jej kłęby rozstępowały się jeszcze na mgnienie w różnych miejscach tarczy, ukazując rozmazaną biel. Potem ekran zaczął ciemnieć, zmatowiał, wreszcie zgasł zupełnie.

— Widoczność zero — zameldował Snagg. Jakbyśmy czekali tylko na ten meldunek.

Riva pochylił się znowu nad pulpitem i pośpiesznie przerzucał klawisze. Raptem kabina wypełniła się gwarem zmieszanych ludzkich głosów.

— Potrzebuję wody — mówiła kobieta głosem, w którym brzmiała troska, a nawet rozpacz.

— Jest spirytus — odpowiedział mężczyzna. Czyjś śmiech. Kilka głosów naraz, z których na próżno usiłowałem wyłowić pojedyncze słowa. Krzyk, a raczej wrzask, ochrypty, nieludzki, pełen nieposkromionej wściekłości. Sekunda ciszy. Znowu bełkot wielu zmieszanych głosów.

— Namiar!

Riva manewrował gorączkowo aparaturą sterującą centralki, gdy wtem łączność urwała się, jak nożem uciął, i w kabinie zabrzmiał głos Snagga:

— Mam załogę! To samo, co w zapisach „Heliosa”!

— Wyłącz się! — warknąłem.

Umilkł. Czekałem kilka minut, z nadzieją, że Rivie jeszcze raz uda się odnaleźć pasmo, przenoszące głosy ludzi. Pasma w końcu znalazł, ale nie usłyszeliśmy już nic poza niezrozumiałymi dla naszych komputerów sygnałami mieszkańców systemu.

— Namierzyłeś? — spytałem. Poruszył głową.

— Na przedłużeniu toru — mruknął. — Nie zdążyłem sprawdzić... — dodał niepewnie.

Pchnąłem ster. „Phobos” ruszył ostro i z miejsca nabierając prędkości pomknął środkiem pasa, powleczonego białą emalią ku widniejącemu w perspektywie wąskiemu pasmu gór.

* * *

Od momentu, w którym po raz pierwszy stanęliśmy na tej urywającej się w pustyni szosie, minęło trzydzieści minut. Przez cały ten czas nie odezwaliśmy się słowem. Również Snagg milczał, jakby dotknięty, że nie chcieliśmy go słuchać.

A więc żyli. Przynajmniej niektórzy. Odnajdziemy ich. Teraz to już tylko kwestia czasu. Zatem na razie musimy unikać spotkania z obcymi. Nie wolno ich drażnić. Oczywiście do czasu. Tak długo, aż ludzie, wszyscy, ilu będziemy w stanie uratować, znajdą się w hibernatorach „Heliosa”. Potem zobaczymy. Z pewnością nie odlecimy stąd ot tak sobie, udając, że nic się nie stało.

Góry rosły w oczach. Widzieliśmy już miejsce, gdzie kanion, wzdłuż którego położono biały pas, wypełniał się, przechodząc w płaski upłaz, prowadzący rosnącą stromizną ku przełęczy. Tam grzebień zamykający horyzont łączył się z pasmem szczytów, towarzyszących nam cały czas od wschodu.

Przebyliśmy jeszcze półtora kilometra, zanim prosty dotychczas tor osobliwej szosy zaczął, początkowo niedostrzegalnie, a następnie szerokim, ale zacieśniającym się łukiem zakręcać ku zachodowi. Perspektywę przesłoniły regularne garby wydm, jakby wyższe w tym miejscu od tych, które przeskakiwaliśmy po opuszczeniu lądowiska.

Wreszcie, za którymś z kolejnych zboczy, odsłoniła się pusta przestrzeń. Wzgórza rozbiegały się, tworząc opasujący sztuczną równinę kolisty krąg. Pośrodku, niczym obraz z lichego filmu przygodowego, widniała lśniąca, przypłaszczona kopuła ogromnej budowli.

Zastopowałem.

— Jeżeli oni są tam. . . — Riva nie skończył. Wywołałem Snagga.

— Widzę — powiedział, jakby z niechęcią. — Nie mam stamtąd żadnych sygnałów. . .

Kazałem mu wystrzelić sondę. Zrobił to jednak z nie lepszym skutkiem niż poprzednio. Aparat przestał przekazywać obraz, zanim znalazł się nad miejscem, gdzie stał „Phobos”.

— To nie jest złe — odezwał się po chwili Riva.

Kształt budowli, nieregularna sinusoida kopuły, proporcje jej przypłaszczonej czapy i trapezoidalnej podstawy, mogły rzeczywiście wzbudzać podziw ziemskiego architekta. Biały pas, który nas tutaj przyprowadził, rozdzielał się nie dobie-

gając do podnóża czaszy i odbiegał ją eliptycznie, pozostawiając sporo wolnej przestrzeni. Zapełniały ją rozrzucone na pozór bezładnie bloki kolorowych skał, jakieś spiralne, ułożone szeregowo konstrukcje, jajowate pojemniki i rozszerzające się ku górze wiązki złocistych prętów.

Odczekałem jeszcze kilka minut, po czym zablokowałem automaty celownicze i przycisnąłem spust baterii laserowej. Nad kopułą pojaśniało. Trzy krótkie serie. Przerwa i znowu trzy.

Nic. Jakby nie mieli żadnych zewnętrznych czujników, obiektów, nasłuchu. Jakby ich nie obchodziło, że pod bazę przybył pojazd, którego załogę stanowiły istoty spoza ich systemu słonecznego.

— Jedziemy — rzuciłem. — Melduj Snaggowi.

Nie czekając, aż Riva skończy przekazywać dane „Uranowi”, odblokowałem celowniki i pchnąłem ster. „Phobos” podtoczył się miękko do rozwidlenia pasa, na ekrany padł głęboki cień, rzucony przez kopułę, spod wieżyczki trysnęły smugi światła. Fotokomórka uruchomiła reflektory.

Okrażaliśmy budowlę lewym pasem, pilnie bacząc na wskazania czujnikowi obserwując mijane konstrukcje. Ale najmniejsze poruszenie, najmniejszy dźwięk czy błysk światła nie przerwały martwej ciszy, panującej wokół kopuły, zajmującej centralny punkt zalanego słońcem koliska, otoczonego gładkimi czubami wzgórz.

Minęliśmy w ten sposób zachodnią część pierścienia opasującego bazę i znaleźliśmy się z tyłu budowli. W jej lśniącej, jakby oblanej szklivem ścianie nie udało nam się dotychczas wypatrzeć niczego, co wskazywałoby na obecność drzwi, wejścia czy jakiegokolwiek otworu. Powoli, rosło we mnie przekonanie, że nie pozostanie nam nic innego, jak wywalić przejście miotaczem. Nagle zastopowałem, tak gwałtownie, że aż mnie podniosło z fotela.

— Geiger — rzekł stłumionym głosem Riva.

To też już zauważyłem. Ale przede wszystkim ogromną, nieregularną wyrwę w bocznej ścianie, sięgającą od poziomu gruntu po okrągłą kryzę czaszy. Jej poszarpane brzegi były okopcone.

* * *

Nie śpiesząc się podprowadziłem „Phobosa” kilka metrów do przodu. Geiger zabrzączał ostrzegawczo. Lampka kontrolna irygatora promieniowania zaczęła pulsować pomarańczowym światłem.

Znajdowaliśmy się teraz dokładnie na wprost wyrwy. Podciągnąłem jeszcze dwa metry. Geiger zareagował natychmiast przyspieszonym rytmem sygnałów. Światło alarmowej lampki stało się rażąco jaskrawe.

— A więc to tak — mruknął Riva.

Rozdział 7

DWIE PROJEKCJE

Głosy pozostałych przy życiu członków załogi trzech ziemskich statków, jakie udało nam się niedawno wyłuskać na parę sekund z gąszczy sygnałów obiegających przestrzeń wokół globu, nie mogły pochodzić z wnętrza kopulastej budowli. W miarę jak pogrążaliśmy się w mroczny przestwór bazy, dochodziliśmy do przekonania, że eksplozje jądrowe musiały ucichnąć we wnętrzu czaszy co najmniej kilka miesięcy temu. Nasze analizatory stwierdziły to ponad wszelką wątpliwość.

Nieregularny obrys wyrwy, przez którą wtargnęliśmy do wnętrza, widniał już daleko za nami, w postaci nikłego, świecącego punkciku. Teraz dopiero mogliśmy ocenić ogrom budowli. Pomieściłaby bez trudu trzy takie kompleksy jak nasz macierzysty ośrodek w Budorusie.

Hala nie była pusta, jak to się mogło zdawać, zanim przekroczyliśmy wrota, wypalone we wschodniej ścianie. Jechaliśmy ślimacznicą, wytyczoną przez płytką rynną, wzdłuż której biegły wysokie na dziesięć metrów bariery. Droga obniżała się, po przebyciu sześciuset metrów pozostawiliśmy nad sobą wysokość dobrych kilkunastu pięt. Łączność z „Uranem” urwała się, kiedy tylko zgasło za nami światło dnia. Pokrywa kopuły stanowiła zarazem nieprzenikliwy ekran.

W pewnej chwili światła reflektorów załamały się przed nami na jakiejś szklistej powierzchni. Rynna skręcała tutaj ostro, obiegając ciasnym łukiem gruby, pionowy filar, którego górna część tonęła w czerni, zalegającej pod sklepieniem. Boczne ściany zbiegały się. Pomyślałem, że trzeba zawrócić i to zaraz, jeśli nie chcemy dopuścić do zaklinowania „Phobosa” w ciasnym labiryncie. Już sięgałem do głównego pulpitu, kiedy z lewej strony grodzie rozstały się, opadając gwałtownie w niewidoczną głębię, reflektory ześliznęły się z filara i ugrzęzły w bezkresnej przestrzeni. Droga załamała się w dwóch kolejnych uskokach i urwała jak obcięta nożem, bez żadnego ostrzeżenia.

Zastopowałem.

— Światło — powiedział Riva.

Już od pewnej chwili miałem wrażenie, że ekrany poza odbiciem dwóch białych, matowych smug, padających spod wieżyczki „Phobosa”, nasączają się jakby głębszą, pastelową poświatą. Zgasilem lampy i na kilka sekund zamknąłem oczy.

* * *

Kiedy je otwarłem i kiedy mój wzrok oswoił się ze zmienionym otoczeniem, pomyślałem w pierwszej chwili, że wylądowała koło nas kolejna piguła i że znowu tracę kontakt z rzeczywistością. Posłałem szybkie spojrzenie w stronę Rivy. Ale w wyrazie jego oczu nie było nic, co mogłoby mnie zaniepokoić.

Wstałem z fotela, przecisnąłem się między pulpitem a obudową ekranu i przywarłem hełmem do okiennej płyty. Po przeciwnej stronie kabiny Riva zrobił to samo. Z naszych ust nie padło ani jedno słowo.

Wytłumiłem czujniki. W doskonałej ciszy i mroku panującym wewnątrz naszej ziemskiej łupinki, śmiesznie małej w porównaniu z otaczającym nas ogromem, chłonęliśmy z mimowolnym podziwem widok, przerastający rozmachem i pełną ekspresji harmonią wszystko, co zdarzyło nam się dotychczas oglądać.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, przestrzeń wypełniała się słonecznym światłem. Ale nie była to przestrzeń zamknięta planem, na jakim zbudowano kopulastą halę. Rozpościerała się do granic zamglonego horyzontu, tam, gdzie pochód z rzadka rozsianych po szafirowym firmamencie jasnobieżowych obłoków wpływał już w rozcieńczony mlekiem błękit. Blask padający na powierzchnię ziemi, bo patrzyliśmy na ziemię, planetę życia, był blaskiem dnia. Ale ziemia sama, a raczej to, co znajdowało się na niej, jaśniało również, jak jaśnieje wielkie miasto, kiedy cienie sięgają już połowy wysokości domów, na ulicach i w mieszkaniach zapalają się lampy, a w atmosferze pozostało jeszcze dość światła, aby rysunek był całkowity, aby jego kontury wypełniała plastyczna treść, której nie zamazują, lecz uwypuklają właśnie orientacyjne punkciki lamp.

Cały ten obraz rozwijał się powoli, wynurzał jak żywa, przestrzenna makietka z głębi gigantycznego szybu spadającego pionową ścianą metr przed dziobem pojazdu. Jeszcze byliśmy w hali, jeszcze w perspektywie z lewej i z prawej strony widniały zarysy grodzi i wklęsłych rynien, ale wszystko to topniało w oczach, ustępując otwartej przestrzeni krajobrazu. Wreszcie niewidoczna tarcza unosząca rzekomą powierzchnię ziemi zrównała się poziomem z krawędzią szybu i rozpierchła z szybkością światła, wypełniając bez reszty krąg horyzontu. Z elementów budowli, w której wnętrzu wtargnęliśmy, nie jako pierwsi zresztą, nie pozostało śladu.

* * *

Tarcza słoneczna, biała, z błękitnawym nalotem stała nisko na firmamencie, nie tak nisko jednak, żeby padające ze wzniesień cienie mogły zubożyć rzeźbę terenu. Przed nami zbocze obniżało się, spływając łagodnie w obszerną, zieloną dolinę. Miliardy, setki miliardów pojedynczych kryształków szmaragdów i topazów, zmieszanych z soczystym granatem, z wtopionymi nitkami matowego srebra i rudego brązu posłużyło tutaj jako tworzywo, z którego natura zbudowała swoje swobodne, pełne rozmachu, a równocześnie nacechowane prostotą kompozycje. Tak to wyglądało. Śmieszne, lecz dla nas była to mimo wszystko zieleń. Bo zbocze, sprowadzające w głąb niecki, cały jej obszar wraz z granicznymi wypiętrzeniami fantazyjnych wzgórz, aż po zamykające część widnokregu szczyty, było jednym wielkim parkiem czy raczej pysznym trawnikiem, przypominającym kwitnące połoniny w górskich rezerwach na Ziemi.

W centralnej części doliny wznosiło się miasto. Jego bryły, odwrócone stożki, nakryte spłaszczonymi kopułami, wysmukłe, graniaste wieże i wyższe od nich nieregularne walce, oplecione pajęczą sinusoidą, z zawieszonymi jakby w powietrzu estakadami, wyrastały bez żadnego przejścia wprost z kwitnącej wszystkimi barwami, niewiarygodnie bujnej łąki.

To miasto żyło. Na jego napowietrznych trasach poruszały się poświęcające pastelowe punkciki. Gdzieśgdzie łączyły się i zlewały w ciągłe, zamazane pasma, potem rozbiegały znowu, wpełzając na łukowate bocznice, strzelające ku szczytom budowli lub opadające falistymi spiralami na niższe kondygnacje. Żadna z nich nie docierała jednak do powierzchni gruntu. Tam nie było dróg, nie było nic, tylko ten kolorowy trawnik i gładkie, pozbawione otworów podnóża konstrukcji. Życie miasta toczyło się wyłącznie na wyższych piętrach, na tarasach i wielopoziomowych estakadach, tu i ówdzie zakończonych krzyżującymi się pętlami.

Nie umiem powiedzieć, jak długo trwaliśmy tak, milcząc, z hełmami przytkniętymi do okien. Z miejsca, gdzie stał Riva, dobiegło w pewnej chwili jakby ciche westchnienie. Oderwał się od szklanej płyty, obszedł kabinę i stanął tuż za moimi plecami.

— Chciałbym wiedzieć, czy wszystkie ich miasta wyglądają tak samo. . .

Odróciłem się.

— Nie sędzę — powiedziałem — aby wybrali najgorsze.

Odsunąłem go i zająłem miejsce w fotelu, przed pulpitem. Szukając po omacku, odnalazłem klawisze obiektywów. Uruchomiłem aparaturę rejestrującą. W zespołach pamięciowych neuromatu zaczęła się utrwałać panorama cywilizowanych obszarów Trzeciej.

Odczekałem minutę. Aż nadto, biorąc pod uwagę przyspieszenie, z jakim odbywała się rejestracja. Następnie, nie zatrzymując aparatury, przerzuciłem wizję przekazywaną przez obiektyw na ekran i powiększyłem obraz, jak tylko się dało, w granicach kontrastu.

Wzgórza obrzeżające dolinę, zaścieloną wielobarwną zielenią, zbocze przed nami, wszystko to zniknęło z pola widzenia. Pozostały konstrukcje miasta, jego środkowej części. Pastelowe punkciki, poświęcające na sinusoidach napowietrznych dróg, urosły do rozmiarów małych żuczków. Odnosiłem wrażenie, że ich osłony przepuszczają promienie światła. Chwilami wydawało mi się nawet, że dostrzegam wewnątrz pochylone figurki, ale odległość była zbyt duża, abym mógł się pokusić o precyzyjne określenie kształtów tak drobnych szczegółów.

Za to ślimacznice, spinające poszczególne budowle i kompleksy brył, zyskały nowy wymiar. Przedstawiały się teraz jako lekko wklęsłe w środkowej części tasiemki, wpadające w łuki i wirażę niemal pionowymi przechyłami.

Ściany poszczególnych brył widniały przed nami w całej okazałości. Ich linie wydały się z bliska jeszcze śmielsze i bardziej harmonijne. Niektóre, przypominające odwrócone ostrosłupy, ledwie muskały ziemię iglastymi szpicami, przy czym wydawało się, że w równowadze utrzymuje je jedynie sąsiedztwo pajęczych spłotów najbliższej estakady. Inne, rozwidlające się lejkowato ku górze, wypuszczały spod płasko ściętych szczytów luźno na pozór zwisające przęsła ku okolicznym wieżom, przęsła te donikąd jednak nie docierały, załamując się nagle i cofając zwiniętymi spiralnie tasiemkami ku najbliższemu wybrzuszeniu drogi. Nigdzie natomiast, w żadnej ze ścian, nie było śladu okien, drzwi czy w ogóle jakichkolwiek otworów. Życie tego środowiska nie przedostawało się poza zamknięte wnętrza strzelistych brył. Żuczki, które w pierwszej chwili uznaliśmy za pojazdy, mogły być równie dobrze automatami.

Miasto, zagęszczające się w górze, dołem pozostawiało obszerne prześwity, nie naruszając piękna i spokoju kwiecistej łąki. Jakby nie wyrastało z niej, lecz unosiło się w powietrzu.

Przywykliśmy do spokoju, Riva i ja. Ale w tym widoku było coś więcej niż zwykły spokój. Była w nim niewzruszona wiara projektantów i budowniczych całego kompleksu w trwałość idei, z jaką przystąpili do pracy. Głęboka świadomość ceny, jaką trzeba zapłacić za pogodę życia swojej rasy.

— A jednak to Trzecia — odezwał się nagle Riva.

Myślałem o tym samym. Trzecia. Ojczyzna istot, które zawładnęły systemem planetarnym swojego słońca. Które pobudowały na martwych, otaczających ich globach i satelitach bazy czy może lepiej strażnice, podobne do tej, w której wnętrzu byliśmy teraz świadkami jedyne go w swoim rodzaju spektaklu. Budowali je zapewne nie tylko po to, aby niszczyć statki i załogi przybywające z przestrzeni. Ale po to także. I teraz ten fakt musieliśmy uwzględnić przede wszystkim.

Ekran y pociemniały. Kontury budowli zacierały się w oczach. Wstałem i wróciłem do iluminatora.

Tarcza słoneczna pokazywała już tylko wąziutki skrawek nad ciemnobłękitną linią horyzontu. Dzień dobiegł kresu. Ale światła lamp w mieście zamiast zapłonąć żywiej, przygasły również. Z boku, nad zmatowiałym zboczem ujrzałem nagle tężejące w powietrzu grodzie.

— Koniec filmu — mruknął Riva.

Odruchowo zwróciłem głowę w jego stronę. Wydało mi się, że w jego głosie zabrzmiała nutka żalu.

Tak, to był koniec. Jeszcze kilkadziesiąt sekund i obraz przed nami zbiegł się do rozmiarów odpowiadających otworowi szybu, zafalował niepewnie i spłynął bezszelestnie w dół, pozostawiając otwartą, czarną czeluść.

Zapaliłem reflektory. Kontrast między tym, co zobaczyłem, a tym, co jeszcze minutę temu rozpościerało się słonecznym krajobrazem przed oknami „Phobosa”, był tak przejmujący, że na moment musiałem przymknąć oczy.

— Ciekaw jestem — wyrwało mi się — czy przygotowali to specjalnie dla nas. . .

Riva milczał dłuższą chwilę, zanim spytał:

— Tę projekcję? Żeby nas zniechęcić? Czy rozbroić?

Wzruszyłem ramionami.

— Żebyśmy zrozumieli.

Przekreślił się z fotelem, oparł ramieniem o pulpit i pochylił w moją stronę.

— Dlaczego nas nie chcą?

Skinąłem głową.

Minęło kilka minut, zanim nasz wzrok przywykł do nowego, a raczej pierwotnego otoczenia. Ustawiłem „Phobosa” bokiem do krawędzi szybu i odwróciłem wieżyczkę. Pod nami była tylko przepaść. Studnia o średnicy około trzystu metrów spadała pionowymi ścianami, białe smugi naszych reflektorów nie sięgały dna. Wypatrzyłem w bocznej grodzi wylot rynny, która od biedy mogła udawać drogę, i pchnąłem rączkę steru. Silniki zamruczały żywiej, ich głos podawały sobie boczne prowadnice toru, potęgując go jak potężne membrany.

Zaraz za zakrętem rynna zaczęła się obniżać. W pewnej chwili boczne ściany rozpierzchły się, wywinęły, tworząc pobłyskujące krawędziami korkociągi, i zapadły w głąb. Nagle zorientowałem się, że pod nami nie ma już nic, że droga, jeśli to, czym jechaliśmy, istotnie zasługiwało na tę nazwę, jest cienką listwą, wijącą się w próżni.

Spadek był coraz gwałtowniejszy, stromizna przechodziła miejscami w niemal pionowe urwisko. Pojaśniało. Ujrzałem dno. Płaska, pusta, jak się zdawało, kolista przestrzeń, wyłożona płytami twardego, gładkiego materiału. Jeszcze kilkanaście sekund zjazdu, od którego już zaczynało się nam kręcić w głowie, i spły-

nęliśmy łagodnym upłazem obiegającym pierścieniowato ściany studni. Przejechaliśmy kilka metrów, odbijając ku osi szybu i zastopowaliśmy.

* * *

Nad nami wznosiła się gładka, przepaścista cembrowina bez śladu jakichkolwiek konstrukcji, korytarzy czy chociażby najmniejszych nierówności. Jedynym elementem, zakłócającym harmonię tego ogromnego, pustego walca, był spiralny zjazd, wynurzający się ze ściany mniej więcej w połowie wysokości studni. Wszystko to sprawiało wrażenie jakiegoś sztucznego pola grawitacyjnego, tunelu prób, w ogóle poligonu doświadczalnego dla urządzeń, których nie można sprawdzić na powierzchni globu.

Skierowałem światła reflektorów na płyty wykładziny, jakich użyto do wykończenia powierzchni płaskiego dna. Zwarta skała, nie dająca żadnych refleksów, pochłaniająca światło jak czarny aksamit. Łatwo sobie wyobrazić rozmiar fundamentów, spoczywających pod całym tym kolosem. Ale nie było drogi prowadzącej w głębsze kondygnacje.

Podniosłem reflektory i zacząłem badać powierzchnię ścian. Powoli, metr po metrze prześlizgiwałem się przez kolejne odcinki szerokiego łuku, plamy światła wznosiły się i opadały, za każdym razem trafiając w szklistą, litą caliznę. Przejechałem tak już jedno półkole i powoli zacząłem godzić się z myślą, że będziemy musieli wrócić jak niepyszni tą samą drogą, która nas tutaj sprowadziła. Wtem dostrzegłem jakiś ruch tuż nad podłogą. Naprowadziłem światło na ten punkt i zatrzymałem wieżyczkę.

W ścianie zaczął się rysować prostokątny otwór o podstawie mniej więcej pięciu metrów i wysokości jednego piętra. Na płytach posadzki załśniła szeroka, jasna smuga. Otwór był coraz większy, a zamykająca go kłapa unosiła się pionowo w górę, pozostawiając nad płaszczyzną dna rosnący stale prześwit. Był już dość duży, aby ukazać nam perspektywę przestronnego, jasnego korytarza.

Odwróciłem wieżyczkę. Kłapa zatrzymała się natychmiast, zafalowała niepewnie, po czym bardzo powoli, jakby niechętnie, zaczęła bezszelestnie opadać.

— Fotokomórka — stwierdził Riva.

— Uhm — zgodziłem się. — Najzwyczajniejsza pod słońcem.

Nie było to przykre, odnaleźć tutaj, w czeluściach tego na wskroś obcego obiektu, mechanizm znany każdemu ziemskiemu dziecku.

Światło wróciło na obrys przejścia, z którego pozostała już tylko wąska szpara. Kłapa posłusznie powędrowała z powrotem do góry.

Odczekaliśmy, aż mechanizm zamykający wlot tunelu odsłoni przejście do końca, po czym ruszyliśmy powoli do przodu. Tuż przed otworem zatrzymałem się ponownie.

W głąb biegła prosta jak struna perspektywa wygodnego korytarza. Jego ściany wydzielały jasne, pastelowe światło. Pod samym stropem wisiały pęki cienkich przewodów, które miejscami wpadały w duże płaskie puszki, wbudowane w mury, a kiedy indziej rozwidlały się, oplatając pierścieniami niewidoczne walce. Powtarzało się to w regularnych odstępach aż do miejsca, odległego o kilkaset metrów, gdzie tunel opadał i rozdwajał się, obiegając zamykający go spiczastym kolanem klinowaty narożnik.

Sprawdziłem reakcję celowników na program, którego nie zmienialiśmy od ostatniego starcia i przeprowadziłem pojazd przez nie istniejący próg. Kłapa, zamykająca przejście do szybu zapadła za nami, tworząc na powrót pozornie jedną całość z przylegającymi do niej ścianami.

W kabinie zapanowała nagle cisza.

— Tu naszych nie było — mruknął Riva.

Przez ostatnie godziny przywykliśmy do ostrzegawczego sygnału geigera. Kiedy umilkł, odczuliśmy to jako nowy sygnał, tym razem przywołujący pamięć tego wszystkiego, co zobaczyliśmy i co przeżyliśmy od momentu przekroczenia granicy układu Alfya.

Ruszyliśmy środkiem korytarza, uważając, by nie zaczepić wystającymi konstrukcjami wieżyczki o owe puszki ze wzmacniaczami czy przekaźnikami, do których . wbiegały cienkie jak struny, błyszczące kable.

— Nie byłoby źle przyjrzeć się temu bliżej — powiedział nagle Riva.

Rozejrzałem się.

— Tam, w szybie — wyjaśnił, robiąc ruch głową.

Zrozumiałem, że myśli o nadajnikach czy też aparaturze odtwarzającej, która umożliwia przekazywanie przestrzennych obrazów, takich jak krajobraz kwiecistej doliny, z milczącym miastem pośrodku.

— Miejscowa holowizja. Rzeczywiście jakby trochę lepsza od naszej.

— Coś w tym rodzaju — zgodził się. — W każdym razie warto by to podpatrzeć.

Z pewnością warto by podpatrzeć, nie tylko zresztą ich projektory. Ale nie byliśmy wyprawą kontaktową. Powiedziałem mu to.

— Wiem — rzucił krótko i zamilkł.

* * *

Przed nami rosła ostra, klinowata przegroda. Korytarz rozdawał się tutaj i biegł dalej w głąb dwiema niemal równoległymi odnogami. Wybrałem lewą. Okazało się to zresztą obojętne, ponieważ po kilkunastometrowym zjeździe odsłoniła się przed nami obszerna, prostokątna komora, ustępująca rozmiarami obwodowi szybu, ale dość duża, aby pomieścić na przykład pole startowe średniej bazy satelitarnej. Nieco dalej wpadała do niej także druga odnoga korytarza.

Ta hala nie była pusta. W każdym razie nie tak pusta jak dno gigantycznej studni, gdzie odkryliśmy przypadkiem wjazd do tunelu. Konstrukcje i urządzenia sprawiały wprawdzie wrażenie mebelków dla lalek w porównaniu z przestrzenią wnętrza, ale przecież były to konstrukcje, była także aparatura sterująca w postaci ciągnących się wzdłuż bocznych ścian gładkich, trapezoidalnych pulpitów. Pobłyskiwały w nich wielobarwne światełka, przywodzące na myśl lampki czujników.

Kiedy jednak podjechaliśmy bliżej, okazało się, że nie ma tam ani śladu lampek. Powierzchnia pulpitów była gładka jak szkło. Żadnych ramek, szkiełek, soczewek, żadnych przycisków czy innych manipulatorów. Wielobarwne strużki światła pochodziły jakby z kryształków wtopionych w powierzchnię płyty i załamujących promienie pod różnymi kątami. Mniej więcej metr powyżej górnej płaszczyzny pulpitów biegł przez całą długość ściany świecący, błękitnawy pas. Sam nie wiem, dlaczego przyszedł mi na myśl ekran.

— Co to jest? — usłyszałem nagle głos Rivy. Zabrzmiało w nim jakby niedowierzanie, a także, jak mi się wydawało, niepokój. Odwróciłem głowę w jego stronę. Siedział, nisko pochylony, wpatrując się w przeciwległy róg hali. Poszedłem za jego spojrzeniem i odruchowo zacisnąłem dłoń na sterze. Chwilę później stopowaliśmy już nad dobrze znanym nam kształtem.

— To już drugi — mruknąłem. Trzeci — poprawiłem się w myśli. Przypomniałem sobie kukły wiszące w śluzie „Heliosa”.

Także tylko skafander. Nie człowiek. Ale i ten skafander należał do człowieka. Przynajmniej do niedawna.

Przyglądaliśmy się w milczeniu przewodom podręcznego analizatora, wyszarpanym z bufiastego rękawa jakby w gorączkowym pośpiechu. Pas był równo przecięty wiązką promieni, oddarta wierzchnia warstwa ukazywała potargane obwody. Hełmu nie było, ale pozostała po nim kryza nosiła ślady mechanicznych urazów, jakby ktoś walił w nią dłuższy czas starym kowalskim młotem.

— Pomyliłeś się — powiedziałem.

Riva spojrział na mnie badawczo.

Wzruszyłem ramionami.

— Pomyliłeś się — powtórzyłem. — Nasi byli nie tylko tam, na górze...

Przyglądał mi się chwilę, jakby czekając, co jeszcze powiem, wreszcie odwrócił się powoli i utkwiał wzrok w czujnikach swojej centrali.

Od kilku sekund odnosiłem wrażenie, że w hali robi się jaśniej. Rozejrzałem się po ścianach i nabrałem pewności. Mój wzrok padł na lśniące pasy, które przed chwilą porównałem w myślach z ekranami. Tak, to nie mogło być złudzenie. Nie lśniły już, lecz świeciły ostrym, oślepiającym blaskiem. Odwróciłem głowę i zamarłem w bezruchu.

Ściany hali rozstępowały się, znowu mieliśmy przed sobą otwartą przestrzeń, nakrytą niebem, po którym wędrowały chmury. Pośrodku równiny znowu wyrażało się miasto.

— Powtórka — rzucił Riva.

Ale to nie była powtórka. A jeśli nawet, to powtórka jakiejś dawno zapomnianej lekcji historii. Historii Ziemi.

Odwróciłem wieżyczkę i powiększyłem obraz. W ekranach ukazał się wycinek centralnej części miasta.

Koszmar. Tylko to słowo mogło oddać przerażającą treść widowiska, jakim nas tym razem uraczono.

Powiększenie było bez porównania większe aniżeli wtedy, kiedy obserwowaliśmy strzeliste konstrukcje, zawieszane nad wielobarwną połoniną. W wizerunku domów, ulic, pojazdów i postaci ostro rysowały się kontury najmniejszych szczegółów.

Było to jedno wielkie, wielowarstwowe mrowisko mechaniczne i ludzkie. Zbite, skotłowane strumienie osób i pojazdów przewalały się przez węższe i szersze ulice i z nieopisanym jazgotem i nie maskowaną wzajemną wrogością. Szerokie, szklane drzwi domów, sklepów i urzędów nie zamykały się w ogóle, kotłowały się w nich przeciwbieżne tłumy ludzi pochłoniętych, jak można było sądzić, jedynym pragnieniem: wyprzedzenia innych. Tuż nad chodnikami mrugały ostrymi, oślepiającymi światłami wielopiętrowe reklamy. Nad tym wszystkim unosiła się odrażająca, brudnosina mgiełka zmieszana z wszechobecnym kurzem.

Ulicami przeciskały się archaiczne poduszki, ryczały spaliny silnikami piętrowe autobusy, niemal zawadzając o przesła ciasno słończone żelbetowych zawijasów, którymi pomykały wagoniki jednotorowych kolejek. Małe i ciche samochody elektryczne, wypełniające szczelnie każdy skrawek wolnej przestrzeni na jezdniach i chodnikach, przesuwały się w ślimaczym tempie, chwilami zastygając na kilka, a nawet kilkanaście minut w niekończących się wielowarstwowych szeregach.

To miasto — tak bardzo różne od barwnej kompozycji harmonijnych brył, jaką zademonstrowano nam tam, na górze — było naszym ziemskim miastem. Każde dziecko potrafiłoby bez trudu określić epokę, z jakiej pochodziło. I nie była to wcale tak bardzo odległa epoka. Jeśli chodzi o czas. Bo pod wszystkimi innymi względami dzieliła nas od niej przepaść większa niż swego czasu neandertalczyka

od budowniczych egipskich piramid. Dwudziesty pierwszy wiek. Pierwsza połowa. Szczytowa faza kryzysu cywilizacyjnego.

Od stu lat mamy to za sobą. Za sobą?

Coś we mnie nagle drgnęło. Przypomniałem sobie ostatnią rozmowę z Itią. Kiedy to było? Przedwczoraj? Trzy dni temu?

Sześć lat. Mniejsza z tym. Czas nie ma w tym wypadku znaczenia. Jak to ona powiedziała? „I ty myślisz, że jesteś maszyną?”

Wzruszyłem ramionami. Nonsens. Nigdy nie uważałem się za maszynę. Tak tylko mówiłem, żeby przestała myśleć o mnie i o Usterze. Ale o to, czy człowiek najgorsze kłopoty z sobą samym ma już na zawsze z głowy, pytałem naprawdę. Była w końcu historykiem. I jedyne, co potrafiła mi odpowiedzieć, to że nie jestem cyborgiem. Czyżby krótka refleksja, nie refleksja nawet, przelotna myśl, jaką wtedy wypowiedziałem, trafiła w coś, co tkwiło w niej głęboko, może nawet głębiej, niż sama zdawała sobie z tego sprawę?

Zostawmy to. Tak czy owak miałem teraz przed oczyma obraz ubiegłowiecznego kryzysu w całej jego okazałości. I mogłem być pewny, że nie zakomponowano go tutaj, w podziemnej bazie na obcym globie, żeby nam zrobić przyjemność. Ale też nie przypadkiem.

— Skąd oni to wzięli? — spytałem półgłosem, nie patrząc w stronę, gdzie siedział Riva.

Milczał dłuższą chwilę. Wreszcie odchrząknął i wykrztusił:

— Myślisz, że to nasi?

Nie myślałem, że to nasi. Kompletna bzdura. Ostatnią rzeczą, jaką mogłaby zrobić wyprawa kontaktowa w środowisku obcej cywilizacji, byłoby demonstrowanie holowizyjnych filmów, obrazujących najczarniejsze karty naszej historii.

— Nonsens — burknąłem.

Skinął powoli głową.

— Nonsens — powtórzył. Po chwili dodał, jakby z przekąsem: — Może im opowiedzieli?...

W tym momencie zaświtała mi niedobra myśl.

— Zapis?

Riva wstał. Chwilę tkwił bez ruchu, zbliżając hełm do iluminatora, wreszcie odwrócił się powoli, podszedł bliżej i położył rękę na oparciu mojego fotela.

— Projekcja pól mózgowych? — odpowiedział pytaniem. — Ale kto z naszych, u licha, mógł myśleć o czymś takim? Albo tak się zachować... .

Wyprostował się na całą wysokość i utkwiał we mnie badawcze spojrzenie.

— Zaraz, zaraz — powiedział z namysłem. — Ty sądzisz... .

— Strefy zerowe — rzuciłem sucho.

Milczeliśmy chwilę. Wreszcie Riva cofnął się i wrócił na swoje miejsce. Nie usiadł jednak, tylko ponownie przywarł szybą swojego hełmu do iluminatora.

— W takim razie... . — zaczął po chwili półgłosem.

— W takim razie — przerwałem — musimy się śpieszyć.

* * *

Tym razem nie czekałem, aż aparatura projekcyjna zainstalowana przez obcych zakończy transmisję czy raczej retransmisję wprowadzonego do niej programu. Ustawiłem wieżyczkę i uruchomiłem wysięgnik. Po chwili porzucony skafander spoczywał już w komorze transportowej naszego pojazdu. Następnie ruszyłem powoli, trzymając się bocznej ściany i starając się nie patrzeć w stronę, gdzie padające z błękitnawych pasów promienie wiązały się w odrażające i wrogie w swojej wymowie widowisko.

W ten sposób dotarliśmy w końcu do załamania ściany. „Phobos” zakręcił i przyhamował. Przejechaliśmy jeszcze kilka metrów, aż nagle przy lewej burcie coś stuknęło głucho, rozległ się przeraźliwy zgrzyt jakby dartej blachy stalowej, w szybę iluminatora uderzył błękitny płomień, w okienkach celowników zabłyśły światełka, płomień zawirował, strzelił ku szczytowi wieżyczki i zgasł równie szybko, jak się pojawił. Zastopowałem.

Z lewej strony, tuż za szybą, zwisał nad korpusem pojazdu jakiś metalowy strzęp. Po chwili rozpoznałem kształt puszeki, podobnej do tych, które widzieliśmy w korytarzu. Pozostała z niej tylko górna pokrywa, spiralnie skręcona. Z tylnej ścianki sterczały rozczapierzone i poczerńiałe szczątki przewodów. Posuwając się na dobrą sprawę po omacku, wyróżniliśmy w końcu w jedno z tutejszych urządzeń, powodując spięcie. Mogło się to gorzej skończyć.

Teraz trzeba było jednak przerwać jazdę i poczekać, aż kable i resztki energetycznego gniazda ostygną po chwilowym pożarze. A więc kilka minut zwłoki. Zwłoki, którą mogliśmy wykorzystać tylko w jeden sposób. Mianowicie wypijając do końca gorzki napój, jaki zgotowano na nasze przyjęcie. Odwróciłem wieżyczkę ku środkowi hali i rozparłem się wygodnie w fotelu.

Obraz miasta nie uległ zmianie. Jedyne ruch jakby wzmógł się jeszcze, o ile to w ogóle możliwe.

W dolnej krawędzi ekranu widniał fragment ciasnej, bocznej uliczki bez chodników. Fasadę najniższego piętra narożnej budowli stanowiła szeroka na kilkanaście metrów falista płyta szkła. Nad nią wisiał krzykliwy neon. Dalej były nie kończące się, wybiegające u góry poza pole widzenia, rzędy kwadratowych okien.

Przed panoramiczną szybą na parterze płynął nieustannie potok ludzi. Nad ich głowami, w głębi widocznej za oknem sali stały stoliki, nakryte białymi narzutami. Na niskich, przezroczystych fotelach siedziały dziewczęta w spódniczkach kończących się powyżej ud i kolorowych kamizelkach, młodzi chłopcy w obci-

słych, błyszczących bluzach, mężczyźni z wypiekami na twarzy, gestykulujący gwałtownie lub przeciwnie, otępiali, zapatrzeni w pustkę, jaka otwierała się przed ich niewidzącymi oczami. Kobiet liczących sobie ponad trzydziestkę nie zauważyłem.

Najbliżej nas, w rogu sali, niskie, niewygodne krzesło zajmował starszy facet. Głęboko pochylony, położył łokcie na stole i oparł o nie czoło. Zdawało się, że spał. Siedząca naprzeciw dziewczyna mimo to coś do niego mówiła. Mężczyzna nie reagował, od czasu do czasu unosił tylko odrobinę głowę, potrząsał nią, jakby odganiał muchę i ponownie zasypiał. Przed nim widniała butelka z przezroczystym płynem i jakieś brudne naczynia. W pewnej chwili dziewczyna przechyliła się nad stołem i położyła mu ręce na łokciach. Potrząsnęła nim, mocno, a nawet brutalnie. Mężczyzna uniósł głowę. Jego oczy pozostały jednak przymknięte. Kosmyki rzadkich włosów przylepiły mu się do czoła. Poruszył kilkakrotnie ustami i usiłował wstać, ale kolana mu się rozjechały, popływał na nich chwilę, jakby jechał na rowerze i z powrotem padł na krzesło. Dziewczyna zaśmiała się, odwróciła i skinęła ręką. Natychmiast przy ich stoliku pojawił się inny mężczyzna, w lśniącej, niebieskiej bluzie.

W tej samej chwili na chodniku, przed szklaną ścianą powstał zamęt. Z drzwi, w których obracało się coś przypominającego łopatki wirników w starych turbo-generatorach, wypadł inny starszy mężczyzna w podwiniętej koszuli, przeleciał, potykając się, kilka metrów i runął jak długi, uderzając twarzą o kamienne płyty. Tłum zafalował. Mężczyzna podniósł się na łokciach, podkurczył nogi, chciał wstać, ale ramiona ugięły się pod nim i upadł znowu. Raz jeszcze jego palce drgnęły konwulsyjnie, po czym znieruchomiał.

Wokół sylwetki leżącego zrobiło się pusto. Ale tylko na chwilę.

Nie minęła minuta, a szeregi ludzi, omijających dotąd to miejsce, zbliżyły się i zacieśniły. Jedynym świadectwem przeszkody, rozciągniętej na chodniku, pozostał odrobinę większy prześwit w falującym morzu głów. Nie zauważyłem, aby ktokolwiek zatrzymał się, chociażby na ułamek sekundy. Twarze przechodzących odwracały się od leżącego, nie było w nich nic poza zniecierpliwieniem, spowodowanym koniecznością omijania czegoś, co zawałało drogę.

Miałem tego dość. Nie zważając na reakcję, jaką mogę wywołać, przesunąłem wieżyczkę, zablokowałem automaty i puściłem po ścianach serię laserową, starając się trafić w błękitnawe pasy. Miasto trwało jeszcze ułamek sekundy, nagle rozległ się trzask jakby wyładowania atmosferycznego, obraz rozbłysł momentalnie, po czym wszystko znikło.

Zapaliłem reflektory. Kiedy nasze oczy oswoiły się z ciemnością, powoli ruszyłem do przodu.

Wylot korytarza znajdował się nie dalej niż pięć metrów od miejsca, gdzie musieliśmy stanąć po zderzeniu. Tak samo jak na dnie szybu odsłoniła go fotoko-

mórka, kiedy trafiły w nią promienie naszych świateł czołowych. Nie oglądając się już za siebie, wjechałem w mroczną perspektywę tunelu.

W pewnej chwili odezwał się geiger. Indykator zapłonął znowu jaskrawą czerwienią. Sprawdzało się to, co powiedziałem Rivie. Nasi byli tutaj przed nami.

Pięćdziesiąt metrów dalej dno korytarza załamało się nagle. Przed nami widniała rozświetlona nikłą poświatą pochylnia, uciekająca stromo ku górze. Silniki zamruczały odrobinę głośniejsze, kabina zakołysała się miękko i zaczęła się wspinać.

Licznik przebytej drogi, biorąc od momentu przejechania wyrwy w powierzchniowej ścianie bazy, wskazywał liczbę dziewięćdziesiąt cztery. Osiem godzin jazdy. Dość, jak na pierwszą dobę po lądowaniu. Miałem teraz tylko jedno życzenie: jak najprędzej znaleźć się na powierzchni. Ale czekała nas jeszcze jedna niespodzianka. Ściśle mówiąc, dwie.

* * *

Chodnik wznosił się dalej, prostą stromizną, pozbawioną jakichkolwiek zakamarków. Robiło się coraz jaśniej, ale w perspektywie nie było jeszcze nic, co wskazywałoby na bliskość wylotu czy wjazdu do obszerniejszego pomieszczenia. Nie wiedziałem nawet, czy pochylnia wyprowadza na powierzchnię, czy też będziemy musieli zawrócić.

Niemniej z każdym przebyтым metrem znajdowaliśmy się wyżej. To było już coś.

Odwrociłem się na moment, aby rzucić okiem na czujniki, umieszczone z tyłu kabiny, i właśnie wtedy „Phobos” gwałtownie zastopował. Poleciałem do przodu, z rozpędu uderzając barkiem o poręcz fotela. Chciałem coś powiedzieć, ale Riva mnie uprzedził:

— Tego też weźmiesz do pojemnika? — spytał zachrypłym, nienaturalnie spokojnym głosem.

Z trudem wróciłem na swoje miejsce i wciąż jeszcze buntując się w duchu przeciw takiemu stylowi jazdy, spojrzałem niechętnie na ekran. Natychmiast zapomniałem o stłuczonym barku, o czekającej nas drodze, o tym, co widzieliśmy przed chwilą i tym, co jeszcze możemy zobaczyć. Zerwałem się z fotela i przecisnąłem do iluminatora. Riva stanął tuż za mną, przyciskając brodę do mojego ramienia.

Rozciągnięty w poprzek korytarza, leżał człowiek. Z głową przekrzywioną do tyłu, z rozrzuconymi, podkurczonymi nogami i jakby spłaszczonymi ramionami, przypominał stare, porzucone ubranie. Tak może wyglądać tylko trup.

Poszukałem wzrokiem jego twarzy. Nie znałem go. Chyba nie. Niebawem będę wiedział na pewno. Ale jeszcze przez chwilę przyjrzę mu się stąd, z kabiny.

Mężczyzna miał na sobie cieniutki, pianowy kombinezon, jaki wkłada się pod skafander. Nie było na nim śladów krwi, brudu, żadnych przestrzelin czy choćby zwykłego zadrapania. Nic. Tak właśnie zabija promieniowanie.

— Komplet — powiedziałem cicho. — Najpierw skafander, a teraz jego właściciel. Znasz go?

Odwrócił się bez słowa i podszedł do automatów, zainstalowanych w przejściu do grodzi ładunkowych. Sprawdził swój skafander i zniknął w otwartym szybie studzienki. Wróciłem do pulpitu, by skontrolować dane, dotyczące promieniowania. Skażenie utrzymywało się w nie zmienionym natężeniu. Ale Riva może wyjść bezkarnie. Nasze skafandry były trochę inaczej zbudowane i wyposażone niż ubiory poprzednich ekip.

Usłyszałem głuchy stuk wjazdu. Po chwili w polu widzenia ukazała się lekko przygarbiona sylwetka mojego współtowarzysza. Szedł równym, odmierzonym krokiem w stronę zabitego. Zatrzymał się nad nim, pochylił, po czym uniósł jego lewe ramię i przerzucił sobie ciało przez plecy. Już wracał, tym samym spokojnym krokiem, jakby nie czując ciężaru.

Znowu dobiegł mnie stuk zamykanego wjazdu. Zaraz potem usłyszałem syk oczyszczacza. Niebawem jednak w kabynie ponownie zapanowała cisza.

Po upływie dalszych kilku minut w otworze studzienki ukazała się kopułka kasku! Riva wygramolił się z trudem i nie zatrudniając już automatów wrócił na fotel.

Chwilę milczeliśmy, obaj.

— Collins — rzucił wreszcie, jakby wydając rozkaz.

Zamajaczył mi w pamięci obraz cichego, zawsze zatroskanego egzobiologa. Od czasu do czasu pojawiał się w laboratoriach naszej centrali. Kiedyś chyba zamieniłem z nim dwa czy trzy zdania. To wszystko.

— Znałem go trochę — dodał Riva. — Byłem kiedyś świadkiem jego kłótni z Hissem. Ale nie pamiętam, o co im wtedy poszło. Zresztą mniejsza z tym — zakończył ponuro.

Tak, to nie miało znaczenia.

— Był na „Proximie” — powiedziałem. — Wiemy przynajmniej, że wylądowali cało.

— Dużo im z tego przyszło... — odpowiedział mruknięciem.

Ruszyłem. Mimo woli uważnie śledziłem teraz perspektywę stromego korytarza, przeczesując reflektorami także boczne ściany i wklęsły strop. Nie dalej niż piętnaście metrów za miejscem, gdzie znaleźliśmy ciało Collinsa, na gładkiej powierzchni zarysowały się postrzępione, czarne plamy. Biegły od nich długie, smukłe rozbryzgi, przechodzące na posadzkę. Geiger zabrzęczał odrobinę żywiej.

— Bili się — stwierdziłem.

Takie płaty sadzy dość często zdarzało nam się oglądać na poligonach. Tam, gdzie przedtem pracowały miotacze. Tylko że nie umiałem sobie wyobrazić struktury budulca, który byłby w stanie wytrzymać napór laserowego ognia. Nie mówiąc już o antimaterii. Tymczasem ściany tunelu nawet w najbardziej okopconych miejscach pozostały równe i całe.

Przyspieszyłem. Nie żeby pancerze naszego pojazdu dawały jakąkolwiek szansę cząsteczkom- twardego promieniowania, choćby jego natężenie miało wzrosnąć jeszcze kilkakrotnie. Ale miałem już dosyć tych podziemi, gdzie spotykały nas same niezrozumiałe i mało sympatyczne niespodzianki. Dość miałem tej jazdy w ciemnościach, seansów holowizyjnych, śladów walki, trupów i wszystkiego. Poza tym byłem całkiem zwyczajnie głodny.

Tuż przy uchu zabrzmiał mi nagle ostrzegawczy świergot głośnika.

— Dobra, dobra — warknąłem z niechęcią.

Mimo to minęło jeszcze kilkanaście minut, zanim w przestrzeń korytarza wdarł się nikły promień światła całkowicie odmiennej barwy niż utrzymująca się w podziemiach pastelowa poświata. Przebyliśmy jeszcze sto metrów i raptem rozwarła się przed nami otwarta przestrzeń. I tym razem była to wyrwa, wypalona w kopulastej hali, tylko wielokrotnie mniejsza od pierwszej. Przeskoczyliśmy ją jednym zrywem silników i wytoczyliśmy się na powierzchnię.

* * *

Nad nami rozpościerał się czarnogranatowy nieboskłon, niemal złoty od gwiazd. Dzień dobiegł końca. Mieliśmy przed sobą trzy doby mroku. Tyle trwa noc na tym globie, mniejszym od pierwszego satelity Trzeciej, macierzystej planety obcych, ale za to znacznie szybciej wirującym wokół własnej osi. Na pierwszym czekaliśmy na wschód słońca okrągłe trzy tygodnie.

Zastopowałem, uruchomiłem wieżyczkę i omiotłem okolicę światłem reflektorów.

Otoczający nas teren był bliźniaczo podobny do tego, który przemierzaliśmy po opuszczeniu „Urań”, a przed napotkaniem drogi, przypominającej pas startowy. Plamy światła ześlizgiwały się, w miarę jak manewrowałem wieżyczką, z łagodnych zboczy w gładkie, piaszczyste siodła, wracały na wypukłe wierzchołki i znowu wpadały w przełęcz, trafiając wszędzie na ten sam obraz, jak daleko wzrok sięgał. Hala, z której wyjechaliśmy przed chwilą, była małą półkulą, wciśniętą między wydmy i trochę nawet przypominającą je kształtem i rozmiarami. Wokół niej nie było żadnych konstrukcji ani drogi. Podziemny korytarz liczył

jednak kilkanaście kilometrów. Sztuczna kotlina z wielką budowlą i jej zagospodarowanym otoczeniem została daleko na wschodzie.

Tylko w wypukłej ścianie tej peryferyjnej bazy czerniała się, widoczna nawet w ciemności, znajoma, wypalona wyrwa.

Spojrzałem na tarczę radaru, porównałem ją ze wskazaniami czujników i ruszyłem przed siebie. Milcząc, przejechaliśmy jeszcze kilkaset metrów, po czym wypatrzywszy nieco głębsze siodełko między dwoma wzniesieniami osadziłem w nim „Phobosa” i wyłączyłem silniki.

W kabinie zapanowała idealna cisza.

— Daj Snagga — powiedziałem.

Zgłosił się natychmiast. Mówił krótko, normalnym głosem, ale wyczułem w nim ulgę. Przekazaliśmy mu komplet danych, zapisanych przez nasze pokładowe automaty, zdaliśmy relację z faktów i przeszliśmy na namiar.

— To by było to — mruknąłem. — Na dziś wszystko. Kolacja i spać.

Riva odwrócił się z fotelem i zmierzył mnie spojrzeniem.

— Nie zapomniałeś o czymś?

Nie zapomniałem. I chyba naprawdę lepiej będzie zrobić to teraz.

Riva wstał i nie śpiesząc się ruszył w stronę studzienki, prowadzącej do wjazdu. Poszedłem za nim. Zaczął już schodzić, kiedy nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał, i zadzierając głowę wycelował we mnie szybką swojego kasku.

— Miałeś rację.

Nie zrozumiałem. Stałem tuż nad krawędzią klapy, czekając, aż powie, o co mu chodzi.

— Z tym seansem. To było naprawdę przeznaczone dla nas. . .

Oczywiście, że miałem rację. Ale teraz nie odezwałem się słowem. Nie spytałem nawet, którą projekcję ma na myśli, pierwszą czy drugą. Najprawdopodobniej szło mu o obie.

* * *

Pół godziny później było po wszystkim. Automat wykopał krótki, podłużny rów. Złożyliśmy w nim ciało Collinsa i usypaliśmy na nim niski kopiec, taki sam, jakie spotyka się na starych cmentarzach. Postaliśmy chwilę, po czym obróciliśmy się na pięcie i wróciliśmy do kabiny.

Zająłem się kolacją. Riva marudził, manipulując przy kontaktach programowych aparatury.

— Gotowe — powiedział wreszcie. Wcisnął klawisz i na ekranie ukazała się lista załogi wszystkich trzech wypraw, jakie przybyły tu przed nami. Była podzie-

lona na dwa pasy. W lewym, jedno pod drugim, widniały nazwiska. Czwarte czy piąte brzmiało: Collins. Było przekreślone czerwoną nitką. W prawym pasie, zupełnie dotąd czystym, pojawiło się to samo nazwisko, na pierwszym miejscu. Nad nim widniał tylko nagłówek: „Odnalezieni”.

Rozdział 8

STREFA ZEROWA

Leżałem, wyciągnięty wygodnie w miękkim, pianowym czółnie fotela, bez kasku, w rozpiętym skafandrze. Mimo woli wracałem myślą do wydarzeń minionej doby. Nie, żebym coś specjalnie rozpamiętywał, kojarzył w bardziej logiczne ciągi czy próbował analizować. Liznęliśmy zaledwie naskórek ich cywilizacji i to głównie dzięki temu, że sami pokazali nam skrawek swojej ziemi.

Pokazali nam jednak nie tylko swoją ziemię...

Zdałem sobie sprawę, że od początku, od pierwszej chwili, kiedy otworzyła się przed naszymi oczami panorama ubiegłowiecznego miasta, miasta, w jakim wychowali się zapewne moi pradziadkowie, pozostawałem przede wszystkim pod wrażeniem bijącej z tego obrazu niesprawiedliwości. Z przeraźliwą ostrością został nam unaoczniony kontrast między ich światem a naszym. Ale jakim światem? Czy obraz miasta, zachwycającego harmonią kompozycji, pełnego ciszy i pogody, miasta wyrastającego nad bujną łąką i mimo to nie naruszającego jej murawy, wyjęli ze swoich ubiegłowiecznych albumów?

Z pewnością nie. Co więcej, mogli mieć i teraz nieco mniej udane miasta. To jedno o niczym w gruncie rzeczy nie świadczyło.

* * *

Mimo wszystko jednak trudno było nie myśleć o tym drugim obrazie, drugim mieście. Społeczeństwo, zdolne uwikłać się w tego rodzaju wzajemne stosunki między jednostkami i nie umiejące sobie z tym poradzić, chociażby chodziło o najbardziej sprzeczny z regułą wyjątek, wystawiało sobie świadectwo nie do pozazdroszczenia. A chodziło nie tylko o jednostki. Ale przecież nie było już tego społeczeństwa. W tym właśnie rzecz.

Tylko jeśli miałem rację, wiążąc ten drugi obraz z projekcją pól mózgowych ludzi pozostających pod wpływem stref zerowych, to oni i mogli o tym nie wiedzieć...

Zaraz, czy naprawdę mogli? Gdyby tylko udało nam się sprawdzić, jak na nich samych działają te czarne piguły. Jeśli reagują na nie tak jak my, to znaczy, że posyłali je świadomie, żeby nas zniszczyć, a przynajmniej obezwładnić. Nie ma skuteczniejszego sposobu walki niż unicestwienie łączności. Jeśli jednak było inaczej? Jałowe roztrząsania. Tak czy owak czarne piguły nie miały nic wspólnego z przyjacielskim pozdrowieniem.

Inna rzecz, że ich system łączności mógł być oparty na całkiem odmiennych zasadach niż ziemski. Dowodziłby tego także fakt, że nasze odbiorniki nie były w stanie przekazać komputerom żadnych wskazówek, z których te mogłyby coś wynioskować.

Pewne było tylko to, że sporo pozostało nam tu do zrobienia.

Zlustrowałem jeszcze pobieżnie okienka automatów celowniczych i zamknąłem oczy.

* * *

Zbudził mnie głos Snagga. Oświadczył, że spaliśmy sześć godzin i życzył nam smacznego. Zameldował, że „Helios” daje namiar bez żadnych przerw i niekształceń. Baza potwierdziła odbiór kolejnych kodów. Byli, zdaje się, trochę zdziwieni, że jeszcze żyjemy. Ale nie tracili nadziei. Tym razem powstrzymali się jednak od udzielania dobrych rad.

Temperatura na zewnątrz „Phobosa” osiągnęła minus trzydzieści Celsjusza. Można wytrzymać. Zwykły styczniowy mroźnik w którymkolwiek z ziemskich rezerwatów. Nie to, co na Lunie, w czasie dwutygodniowej nocy.

Śniadanie zjedliśmy w milczeniu. Zaraz potem Riva wyszedł z kabiny, żeby przeprowadzić pomiary. Ja zająłem się radarem. Obliczyłem drogę, jaką przebyliśmy od momentu wtargnięcia do podziemi i wziąłem poprawkę na dalszą jazdę. Za podstawę przyjąłem oczywiście kierunek namierzony podczas sekundowej łączności z załogami „Proximy” i „Monitora”, na skraju pustynnego pasa. Pół godziny później ruszyliśmy, pozostawiając małą kopułkę z czernią przestrzeliny i nieduży, podłużny nasyp, uformowany z minerałów o barwach nie występujących na Ziemi.

Droga wiodła przez rozfalowane wzgórza, na północny wschód. Wydmy stawały się stopniowo coraz niższe, białe snopy, padające spod wieżyczki i szyjące

granatowy mrok coraz łagodniejszym ruchem, wspinały się i opadały ze zboczy. W końcu znieruchomiały. Wyjechaliśmy na równinę.

Krajobraz, obserwowany w pasmach podczerwieni, zasnuwała półprzezroczysta niebieskawa mgiełka. Góry na horyzoncie wyglądały jak z dziecięcych rysunków, gładkie i pozbawione głębi. Mimo to już z odległości dobrych kilku kilometrów dostrzeżliśmy ciągnącą się poprzecznie do kierunku jazdy krawędź owego rowu lub jak kto woli kanionu, poprzedzającego podnóża skalnych gigantów. Nie minęło piętnaście minut i stanęliśmy na skraju urwiska.

O wzięciu tej przeszkody nie sposób było nawet pomyśleć. „Phobos” miał opinię najbardziej uniwersalnego pojazdu, ale tylko pojazdu. Nie był rakietą, nie był nawet jedną z tych kombinowanych maszyn, używanych przez ekipy nadzorujące pracę bezludnych baz satelitarnych, jakimi można od biedy wejść na orbitę. Tamte zapewniały załogom większą operatywność, ale nie nadawały się do walki. Za wiele miejsca zajmowały w nich automaty napędu.

Tymczasem zielona nitka na tarczy radaru celowała najwyraźniej w górskie szczyty, położone za przepaścią. Trzeba było szukać innej, mniej powietrznej drogi.

Wezwałem Snagga. Chciałem mu powiedzieć, żeby spróbował odzłać jeszcze jedną sondę. Miałem nadzieję, że pod osłoną nocy uda jej się nieco dłużej utrzymać łączność z „Uranem”.

Ale Snagg nie odpowiadał.

Powtórzyłem sygnał. Bez rezultatu.

— Namiar — rzuciłem.

Riva pochylił się nad pulpitem centrali. Przerzucił kontakty. Nic. Otworzył pokrywę i zajrzał do programu. Wrócił do klawiatury. Cisza.

— Tego tylko brakowało — mruknął, jakby ze złością. Odczekał chwilę i ponownie zajął się aparaturą. Ale wszystkie jego zabiegi pozostawały bez rezultatu. „Uran” milczał. Nadajnik Snagga przestał pracować. Albo jego samego nie było już tam, gdzie go zostawiliśmy.

— Poczekaj — powiedziałem. — To może być chwilowe.

— Uhm — mruknął i usiadł wygodnie, prostując nogi.

Wyłączyłem silniki. Brzuch „Phobosa” przywarł do podłoża i nastąpiła cisza.

— Jak on zginął? — odezwał się nagle półgłosem Riva.

— Collins?

— Uhm. Wszedł tam sam jeden, czy ktoś go wciągnął? Na ciele nie miał najmniejszych śladów walki, sińców, ani jednego zadrapania. . .

Zastanowiłem się. Skąd, u licha, miałem wiedzieć.

— Może wyszedł z pojazdu i zgubił się w zakamarkach podziemia? Jeżeli puścili im tam jedną z tych czarnych piguł. . .

— I zostawili go?

— Kto? Nasi? Czy tamci?

Pominał to milczeniem. Pomyślał chwilę i powiedział tak, że ledwo dosłyszałem:

— I rozebrał się, jakby miał zamiar pójść do łóżeczka. . .

Kabiny pojazdów typu „Skorpion” mieszczą najwyżej cztery osoby. Właściwie trzy. A innych poprzednie ekspedycje nie miały. Jeżeli na przykład wysiadł i wówczas właśnie w sąsiedztwie pojawiło się urządzenie stymulujące strefę zerową. . . Wtedy mógł rzeczywiście odejść, nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co. . . A tamci po prostu odjechali. W każdym razie udało im się wydostać. Znaleźlibyśmy zniszczony pojazd, gdyby tam został.

Rzecz prosta, wszystko mogło odbyć się zupełnie inaczej. I z pewnością odbyło się inaczej. Już otwierałem usta, żeby powiedzieć Rivie, co myślę o wartości naszych przedczesnych spekulacji, kiedy centralka ożyła. W górnym rogu pulpitu mignęło ostre światelko, zgasło na kilka sekund, znowu rozbłysło, trwało tak dwie, może trzy sekundy i nagle łagodniejąc zaczęło regularnie pulsować. „Uran” był tam, gdzie powinien. Jego automatyczny nadajnik namiarowy pracował normalnie.

— Snagg! Odezwij się!

Cisza. Riva nie śpiesząc się manewrował klawiszami.

Ale Snagg się zgłosił.

— Wyszedł — powiedziałem po chwili. — Zaszło coś takiego, że musiał opuścić statek.

— Jak tamten, w tunelu? — spytał. Głos miał spokojny, opanowany.

— Nie — uciałem. — Tamten nie był z Korpusu.

Zamilkł.

Zająłem się pulpitem. Uruchomiłem zespół zdalnego sterowania i uzyskawszy kontakt, przekazałem „Uranowi” rozkaz wystrzelenia sondy. Podałem dane i trajektorie. Ale w okienku kontrolnym nic się nie pokazało. Spróbowałem jeszcze raz. Automat przeprowadził jakieś błyskawiczne operacje, po czym wyrzucił „zero”. Nic z tego. Neuromat „Ura” nie przyjmował poleceń. Na trasie przepływu informacji znajdowała się blokada. To mógł zrobić tylko Snagg, osobiście.

Wywoływaliśmy go jeszcze kilka minut bezskutecznie, wreszcie daliśmy spokój.

— Jedźmy — powiedziałem.

„Uran” był w porządku. Na razie nie groziło nam odcięcie od „Heliosa”. Droga na orbitę stała otworem. Snagg może poczekać.

Kto natomiast nie mógł czekać, to ludzie. Załogi statków, które trafiły tu przed nami.

Wracać w kierunku „Ura” nie miało sensu. Skalna rozpadlina ciągnęła się tam po kres horyzontu. Natomiast stosunkowo blisko na północ wspięła się stromym językiem jakby zastygłej łąwy ku niewidocznej teraz przełęczy.

Zapуściłem silniki, skierowałem dziób pojazdu prosto jak strzełił w kierunku północnym i ruszyłem pełną mocą.

* * *

Od czterdziestu minut podłoga kabiny jęczała piskliwym, wibrującym tonem jak napięta do ostateczności struna. Przechylił wgniatał nas w fotele, ręce z trudem sięgały do pulpity. Ściana, którą pokonywał „Phobos”, była miejscami niemal pionowa.

Z lewej i z prawej strony wznosiły się przytłaczające ogromem czarne, przewieszane urwiska. Na próżno sięgaliśmy wzrokiem ku ich szczytom, tonęły w granicie nocy lub śmigały w górę, pozostając niewidoczne, nawet kiedy wstawaliśmy z miejsc i przekrzywiając głowy przywieraliśmy szybami kasków do iluminatorów. Niższe turnie, odstające groźnymi kłami od głównego masywu, wyglądały jak wulkaniczne fajerwerki, zastygłe w straszliwym wybuchu.

Stopniowo jednak ich rozczapierzone, iglaste wierzchołki pozostawały za nami. A raczej pod nami. Nie wiedzieliśmy, co to lęk wysokości, a jednak woleliśmy nie oglądać się za siebie. Była tam tylko przepaść.

Żleb zwęzał się. Z obu stron zbiegały nieregularne, poszarpane grzędy, pozostawiając pośrodku prześwit, tak wąski, że chwilami musieliśmy niemal stać w miejscu. Wkrótce jednak ujrzeliśmy w górze, przed nami szerokie, płaskie siodło. Przebyliśmy jeszcze ze sto metrów, po czym kabina wróciła powoli do poziomego położenia, silniki przycichły, wjechaliśmy na coś przypominającego wygodną półkę, wyprowadzającą łagodnym trawersem na szczyt przełęczy. Zauważyłem nagle dziwny refleks na skalnej gładziźnie grani, wspinającej się ku najbliższemu szczytowi. Zgasilem reflektory, ale ów błękitnawy pobłysk, jakby pierwszy promień świtu, trwał nadal. Tylko że do świtu pozostały jeszcze niespełna dwie doby. Gdzieś, za skalnym murem musiało się znajdować inne źródło światła.

Ponownie zapaliłem reflektory i, opuszczając półkę, szerokim łukiem wyjechałem na szczyt przełęczy. Wyłączyłem silniki. Pojazd przebył samym rozpędem kilka metrów, zakołysał miękko, przekraczając szeroki w tym miejscu garb grani i znieruchomiał.

* * *

Nie myliłem się co do tych świetlnych refleksów. Ale nie zdążyłem przyjrzeć się nowemu widokowi tak dokładnie, jak na to zasługiwał, bo w kabinie zabrzmiał nagle spokojny głos Snagga.

— Mam was na ekranie. „Helios” w porządku. Baza przyjęła meldunek o lądowaniu. Hiss was pozdrawia. . .

— Nawzajem — wycedziłem. — A przy okazji, nie zdaje ci się przypadkiem, że o czymś zapomniałeś?

Umilkł. Na co, do diabła, liczył. Wołaliśmy go dobre półtorej godziny.

— Miałem. . . gości — wykrztusił wreszcie.

Spodziewałem się tego.

— Zablokowałaś automaty celownicze? — stwierdziłem raczej, niż zapytałem. Tym razem odpowiedział natychmiast:

— Zrobiłem mały przegląd przekazników. Wtedy właśnie posłali mi taką czarną pigułę. Jakby tylko na to czekali. . .

— „Kwarka” i „Merkurego” także remontowałaś?!

— Są sprzężone. . .

Łatwo było uwierzyć, że czuje się teraz nieszczęśliwie. Ale i tak mógł mówić o niebywałym szczęściu.

— Wychodziłeś? — spytałem już normalnym głosem.

— Uhm. . .

— Po co?

Trwało chwilę, zanim wybąkał:

— Nie wiem. . .

Oczywiście, że nie wie. Ale wrócił. Nie tak, jak Collins. Dlaczego? Dlatego, że w przeciwieństwie do niego, był facetem z inforpolu. Co powiedziałem Rivie?

— Al. . . — odezwał się nagle.

— Co jeszcze?

— . . . przepraszam.

— Przepraszam! — powtórzył sarkastycznie Riva.

Ale ja zrozumiałem, co Snagg ma na myśli. Nie chodziło mu o odblokowanie automatów, opuszczenie rakiety i o wszystko, co robił lub czego nie robił, pozostając w strefie zerowej. Myślał teraz, jak przyjął moją relację. Wtedy kiedy wróciłem z samotnego lotu do „Heliosa”. Przepraszał za to, że nie wierzył.

— Dobra — rzuciłem. — Tylko nie ruszaj więcej blokady celowników.

Mruknął coś niezrozumiale i wyłączył się.

* * *

Nie wspominałem już o sondzie. Nie była potrzebna. Przed nami rozpościerała się obszerna, kolistą niszą. Jakby dno krateru o łagodnych, łukowato wygiętych zboczach.

W centralnym punkcie kotliny, w jej najniższej położonym miejscu lśnił jasno-błękitnym światłem regularny pierścień. Jak aureola nad głowami świętych na średniowiecznych malowidłach. Tylko że miejsce głowy zajmował widoczny jak na dłoni strzelisty kontur potężnego cygara. Na pierwszy rzut oka rozpoznaliśmy raketę. I nie mogła to być żadna inna rakietą, jak „Proxima” albo „Monitor”.

Powiększyłem obraz.

Gładka jak stół płaszczyzna. Kamienne jezioro, bez śladu fali i wiatru. Powleczone jakby warstewką szkliwa. Błękitne światła, padające z przysadzistych wieżyczek, kładły się na tej powierzchni monstrualnie długimi palcami. Pod ich dotykiem powłoka lśniła jak lustro.

Wieżyczki stały jedna przy drugiej w regularnych, kilkumetrowych odstępach. Świeciły tylko ich szpiczaste czuby. Poza tym nie było w nich nic, na czym można by oprzeć wzrok. Szerokie, koliste podstawy unosiły stożkowate, proporcjonalne kształty, bez śladu jakichkolwiek anten, celowników czy miotaczy. Tak to przy najmniej wyglądało z tej wysokości i z odległości dobrych sześciu kilometrów.

* * *

Przełęcz spadająca za nami na pokrytą wydmowymi wzgórzami wyżynę niemal pionowym kominem, tutaj spływała łagodnie szerokim żlebem. „Phobos” toczył się miękko, z wyłączonymi światłami, odrobinę tylko ciemniejszy od wypełniającego przestrzeń granatu. Nie minęła godzina, kiedy żleb wyprowadził nas, rozszerzającym się i twardniejącym w szklistą masę językiem, na skraj jezirowatej kotliny. Zastopowałem.

* * *

Pierścień błękitnych latarni, opasujący raketę i przywodzący na myśl kordon, był nie dalej niż o półtora kilometra. Jak dotąd nie spostrzegliśmy w nim żadnych

zmian, żadnego ruchu, który mógłby świadczyć, że nas zauważono i że spotkamy się z zawczasu obmyślonym przyjęciem.

To była „Proxima”. Białe litery na burcie majaczyły wprawdzie tylko niewyraźnymi plamami, ale przypomniałem sobie, że „Monitor” był nieco mniejszy od „Heliosa” i różnił się od statków drugiej ekspedycji budową dysz.

Kłapy włazów były zatrzaśnięte. Wzdłuż korpusu ciągnęła się jednak nie uszkodzona pionowa prowadnica windy.

Wywołałem Snagga, przekazałem mu ostatnie wiadomości i powiedziałem, żeby posłał meldunek bazie. Mruknął: „ucieszą się” czy coś w tym rodzaju i dodał, że obcy przestali się nim interesować.

— Czy to cię martwi? — spytał łagodnie Riva.

— Przynajmniej coś się działo.

— Potem nam wszystko opowiesz — odpowiedział mu obiecująco Riva, takim tonem, jakby mówił do dziecka. Rozmowa rozwijała się interesująco, ale kazałem im przerwać, bo wokół rakiety powstał jakichś ruch. Zamigotała w świetle platforma windy. Wyteżyłem wzrok. Obiektywy kamery naszego pojazdu dawały już największe powiększenie, na jakie było je stać.

Winda spłynęła i nagle z bezkształtnej, zagęszczonej masy cienia leżącego pod dyszami statku wyskoczył człowiek. Odruchowo sięgnąłem do klawiatury celowników.

— Minus pięć od zera — zabrzmiał chłodny głos Rivy.

Bez tego wiedziałem, że nie możemy strzelać. Więcej szkody zrobilibyśmy ludziom niż kordonowi. Pochyliłem się w fotelu i patrzyłem.

Człowiek, odziany w próżniowy skafander, biegł potykając się i zataczając. W pewnej chwili uniosł wysoko ramiona i wtedy zobaczyłem, że jest uzbrojony. Miał ręczny miotacz.

Pierścień opasujący szeroko miejsce postoju statku ani drgnął. Nie zaobserwowaliśmy w nim najmniejszego poruszenia nawet wtedy, kiedy mężczyzna dotarł do samych niemal wieżyczek. Nagle zachwiał się i upadł na kolana. Błysnął miotacz. Ujrzeliśmy cieniutką strugę światła, strzelającą w kierunku najbliższego stożka i oplatającą go momentalnie płomieniem podobnym do wyładowania atmosferycznego. Mężczyzna nie odejmował palców od spustu. Ale promienisty sztych zafalował. Trafił w grunt, rozpryskując się miliardami krystalicznych ogników, przeniósł się z kolei na drugą wieżyczkę, ale liznął ją tylko, wznosił się stromo w górę i począł szyc granatowy bezmiar przestrzeni. Czas płynął. Kolba miotacza musiała już parzyć dłonie strzelającego, nawet przez grube, próżniowe rękawice.

Raptem wylot miotacza zmatowiał. Przez ułamek sekundy unosiło się z niego coś przypominającego strużkę pary, wreszcie zgasł zupełnie. Zrozumiałem, że to nie obłąkany strzelec zwolnił w końcu spust, a po prostu wyczerpał się ładunek energii. To również dawało coś do myślenia.

Miotacz błysnął w locie, odrzucony daleko w bok. Mężczyzna upadł twarzą na ziemię i wił się jak ranne zwierzę. Po chwili znieruchomiał. Uniósł się na łokciach, kilka sekund trwał tak bez ruchu, po czym zaczął walić pięścią w szkliste podłoże. Wyrzucał w górę całe ramię i spuszczał je z szybkością i siłą ciężkiego młota. Wreszcie opadł ponownie, płasko przywierając do ziemi. Wtedy wieżyczki, ale nie najbliższa leżącego, tylko trzy czy cztery po obu jej stronach, posunęły się do przodu. Pełzły powoli i nierównomiernie. Wkrótce utworzyły jakby podkowę, wysuniętą otwartymi ramionami w stronę nieruchomej rakiety. Przypominały teraz kształtem niewód założony na płytkiej wodzie. Przystanąły na moment. Znowu ruszyły, już równocześnie, bardzo powoli, ale z jednakową szybkością. Kiedy stożek stanowiący najgłębszą część łuku znalazł się tak blisko, że niemal dotykał kasku leżącego, ten uniósł się z widocznym wysiłkiem i poleciał do tyłu, jak uderzony. Upadł na plecy, ale natychmiast podkurczył nogi i zaczął pełznąć, odpychając się stopami, niezdarnym ruchem kaleki. Świetlista podkowa przyspieszyła. Mężczyzna upadł znowu, przewrócił się na bok, chwilę przebierał bezradnie nogami, aż wreszcie udało się mu wstać. Skoczył do tyłu, zachwiał się, zatoczył, po czym, łapiąc równowagę, wyprostował na całą wysokość.

Wtedy dopiero poznałem jego skafander. Nie był taki jak wszystkie. Nawet z tej odległości rysował się niewyraźnie biało-czarny emblemat na lewym ramieniu. Podłużna narośl na udzie to zespół wyjść dobrze mi znanej, specjalnej aparatury. Odruchowo sięgnąłem ręką do biodra i pojechałem nią wzdłuż mięśnia, muskając palcami końce przewodów. I to nie był zwykły skafander. Ludzikom nic by nie przyszło z jego wszystkich przekaźników i wzmacniaczy. A ten facet na dole, szczuty nagonką świecących wieżyczek, padający i zbierający się z największym wysiłkiem, z każdym ruchem bliższy klatki, jaką stanowił właz statku, to Krosvitz.

Czy naprawdę powiedziałem kiedyś do Liny: „Nie będę go lubił. . .”?

Właśnie.

— Kompresja? — rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

— Pełna moc — odpowiedział natychmiast Riva.

— Przeciek?

— Zero.

— Usuń blokadę.

Dostrzegłem ruch w okienkach automatów celowniczych. Nie mogliśmy bić ciągłym, strefowym ogniem. Nie tutaj.

Rzut oka w ekran. Krosvitz pochlonał już cień pod rufą rakiety. Wieżyczki zatrzymały się. Błysnęła platforma windy. Wtedy błękitne stożki drgnęły i zaczęły pełznąć z powrotem. Nie minęła minuta, a wokół statku widniał już jednolity, regularny pierścień. Zwierzę zostało zapędzone tam, gdzie było jego miejsce.

— Naprzód — powiedziałem. Poczułem chłód na policzkach. Spokojnie, jakbym przystępował do wykonania jednego ze zwykłych ćwiczeń na poligonie, ująłem ster. Jeśli w tych przeklętych wieżyczkach są żywe istoty...

* * *

Tym razem nie trwało to nawet dwóch minut. Riva mruknął potem, że nabieramy wprawy.

Od najbliższej wieżyczki dzieliło nas już nie więcej niż pięć metrów. Raptem „Phobos” wyrznął dziobem w coś niewidocznego, okręcił się dokoła własnej osi i zaczął ryczeć wszystkimi silnikami, bezradnie grzebiąc w miejscu. Okienka czujników oszalały. Przez moment śledziłem ich potępieńcze rozbłyski, po czym szczęki zwały mi się tak, że aż zabołało. Ale nie bałem się. Nie popadłem w odrętwienie. Nie zacząłem snuć marzeń ani wspominać lepszych czasów. Ogarnęło mnie jedno jedyne pragnienie: dopaść tego poświęcającego diabelstwa, rozgnieść je na miazgę, rozpylić, wetrzeć w szklisty grunt, żeby śladu nie zostało. Rzuciłem się do sterów. Dałem pełny gaz.

Ryk silników wzmógł się jeszcze. Pojazd zaczął dygotać, początkowo wolno, potem coraz szybciej. Nagle ruszył z takim przyspieszeniem, że nie udało mi się utrzymać steru. Poleciałem do przodu jak wystrzelony. Poczułem silne uderzenie i usłyszałem ostry trzask. Chwilę jeszcze balansowałem, ale zważyłem się niechybnie pod podstawy ekranów, gdyby nie nowe pchnięcie, tym razem do tyłu. Frunąłem jak odbita piłka i wylądowałem na brzuchu, w moim własnym fotelu.

Wygramoliłem się z trudem i rzuciłem okiem na wskaźniki. Stały w pozycjach idealnie zgodnych z programem, jakby nigdy nic. W kabinie panowała cisza.

Wtedy właśnie Riva powiedział, że nabieramy wprawy. Mylił się jednak. Prawda, że wydostaliśmy się tym razem ze strefy zerowej szybko i w gruncie rzeczy bez większych perturbacji. Ale tylko dlatego, że „Phobos” po uderzeniu w coś, czego nie było widać, obrócił się tyłem. Nie miałem najmniejszego zamiaru wycofywać się stamtąd. Pamiętałem o tym aż za dobrze. Ruszyłem pełną mocą silników do przodu. Tylko że ten przód był nie tam, gdzie się spodziewałem.

* * *

Słowem, mieliśmy szczęście. Znowu. Za dużo tego szczęścia. Za dużo przypadków.

Jechaliśmy teraz z powrotem ku przełęczy. Jakiś czas nie zmieniałem kierunku. Dopiero kiedy oddaliliśmy się od kordonu na bezpieczną odległość, zawróciłem i stanąłem. Powiedziałem Rivie, żeby się zajął Snaggiem. W czasie, kiedy przekazywał meldunek, myślałem.

Wokół wieżyczek utrzymuje się strefa zerowa. Ludzie wewnątrz statku pozostają prawdopodobnie pod jej wpływem. Nie prawdopodobnie, lecz na pewno. Świadczyło o tym zachowanie Krosvitz. A zatem byli nieobliczalni. Czyli że nie mogliśmy ryzykować skażenia radioaktywnego w polu, otaczającym rakietę. Nasza najgroźniejsza broń, antimateria, stała się bezużyteczna. Ogień laserów służył po wieżyczkach jak niewinny promyk latarki. Mieliśmy próbkę, kiedy Krosvitz zdobył się na akt rozpacz, którego byliśmy milczącymi świadkami.

Pozostawało jedno. Mały miotacz antyprotonów o bardzo ograniczonym i ściśle obliczonym polu rażenia. Ale jak go zaprogramować? O ręcznym celowaniu nie było mowy. Wewnątrz strefy sami mogliśmy przecież spowodować nieobliczalne szkody. Nie nadawaliśmy się tam praktycznie do niczego.

Nie znaleźliśmy budowy urządzeń, wytwarzających paraliżujące pola. Nie znaleźliśmy ich struktury. Ani materiału, z jakiego je wykonano. Jak w takich warunkach zaprogramować celowniki, żeby reagowały tylko na wieżyczki i czarne piguły — jak je nazywaliśmy — a zachowywały się obojętnie wobec wszystkich innych przedmiotów? Czy to jest w ogóle możliwe?

— Nie — odpowiedziałem sobie na głos. — Niemożliwe.

Tak też było. Teoretycznie moglibyśmy wprawdzie próbować podjeżdżać na bezpieczny dystans kolejno od jednej wieżyczki do drugiej i niszczyć je przy użyciu ręcznie sterowanych miotaczy. Ale było więcej niż pewne, że obcy odpowiedzą wystrzeleniem w nas czarnych automatów. Nie możemy sobie pozwalać na luksus odblokowanych celowników.

Nie. Na dobrą sprawę istniało jedno jedyne rozwiązanie, dające nie gwarancję, ale przynajmniej jakieś takie prawdopodobieństwo powodzenia. Mianowicie zdobyć jedną czarną pigułę i „pokazać” ją neuromatowi, aby ten zapisał jej charakterystykę w programach miotaczy. Zauważyłem, że strefa po jej przekroczeniu działa z pewnym opóźnieniem rzędu dziesiątych sekundy. Za mało dla ludzi, nawet dla nas, ale aż nadto dla neuromatu. Proste. Rzec można, dziecinnie proste. Tylko wyjść, wziąć pod pachę jedną pigułę, przynieść do kabiny i zaprezentować ją komputerom. Ale chciałbym widzieć tego, kto to robi. Kto znalazłszy się w strefie zerowej nie zapomni natychmiast, po co tam poszedł.

Zaraz, zaraz. . . Jak powiedziałem? Że chciałbym tego kogoś zobaczyć?

Nic trudnego. Zobaczę go. I to zapewne niebawem. Jak tylko skończy się ta ciuciubabka i będę mógł zerknąć do lustra.

— Bierz ster — rzuciłem do Rivy. Usłuchał, nie pytając, co chcę zrobić.

Wstałem i ruszyłem w stronę studzienki, prowadzącej do grodzi ładunkowych. Zszedłem po drabiniastych uchwytach i poświeciłem reflektorem. Krótki korytarzyk, szerokości człowieka w skafandrze, rozdwajał się. Na lewo wejście do komór energetycznych i stosu. Na prawo przechodziło się przez kilka klatek, ułożonych tarasowato wzdłuż stopni, a stąd do pojemnika z aparaturą wysięgnika.

Zmitrężyłem dobre trzy kwadransy, zanim w stosach zapasowych części, przekaźników, przetwornic chemicznych i tysięcy innych rupieci znalazłem to, czego szukałem. Wycofałem się czym prędzej, pozostawiając po sobie bałagan, za jaki oberwałbym dobrze po uszach, gdyby rzecz działa się na ćwiczeniach. Ale nie byłem na ćwiczeniach. I nie miałem wcale pewności, czy któremukolwiek z egzaminatorów przyszłoby na myśl coś tak paradoksalnie prostego.

Zatrzasnąłem za sobą klapę wjazdu i odszedłem kilka kroków, żeby dostać się w pole widzenia Rivy. Następnie podniosłem przedmiot, który z takim trudem odnalazłem i poprosiłem, żeby go sobie dobrze obejrzał.

Był to stary, niemal muzealny aparat do zdjęć holograficznych. Z archaiczną migawką. Żeby ją zwolnić, przyciskało się palcem mały, srebrny guziczek. Żadnego zdalnego sterowania, żadnych samoczynnych przekaźników, żadnych automatów, żadnych sprzężeń. Prościutki, zacny mechanizm, niewrażliwy na wszelkie możliwe strefy, jako że pozbawiony wszystkiego, co wiązało się z automatyczną łącznością.

W normalnych warunkach zadanie można by było, rzecz jasna, powierzyć automatycznym kamerom, którymi najeżony był nasz pojazd. Cóż, kiedy cała pokładowa aparatura zaczynała fiksować natychmiast lub niemal natychmiast, kiedy to, co tym razem miała zapamiętać, znalazło się w jej polu widzenia. Graniczyłoby z cudem, gdyby któraś z tych pigułek spadła akurat tam, gdzie już przedtem skierowaliśmy obiektywy. Wtedy istotnie w ciągu tych ułamków sekundy, jakie mijały, zanim dochodziło do całkowitego zerwania łączności, aparatura zdążyłaby coś zarejestrować.

Ale szczęśliwych przypadków mieliśmy już dość. Trudno liczyć, by powtarzały się w nieskończoność.

Teraz miałem przynajmniej realną szansę. Oczywiście, o ile poradzę sobie z własną łącznością, wewnątrz mojego układu nerwowego. I jeśli kształt czarnego aparatu wystarczy, aby zaprogramować miotacz. Ale miałem nadzieję, że „pigułki” nie będą przypominać żadnych ziemskich urządzeń.

Odwrociłem się, przygotowałem aparat i, zawiesiwszy go na szyi, ruszyłem wprost w stronę błękitnego kordonu. Palec trzymałem w pogotowiu, na spuście migawki. Doszedłem do wieżyczki i zrobiłem zdjęcie, obejmując całą jej sylwet-

kę. Zbliżyłem się jeszcze trochę, zmieniłem ogniskową i sfotografowałem sam szczyt, którego koniuszek świecił jak boja. Nie było tam żadnej latarni, szkła czy czegoś w tym rodzaju. Po prostu szpic gładkiego, jakby wykonanego z polerowanej stali, stożka. Podeszedłem jeszcze trochę i zrobiłem powiększenie wycinka jego korpusu. Nawiasem mówiąc, padające z góry błękitne światło było silniejsze, kiedy patrzyło się z daleka niż tutaj, u podnóża konstrukcji.

Obszedłem wieżyczkę dokoła, ciągle zbliżając się do niej, wreszcie stanąłem i dotknąłem rękawicą ściany. Nic. Twarda powłoka bez żadnej klapy, włazu, uchwytów czy choćby miejsc oznaczonych inną barwą. Podnóże stożka wcinało się w szklisty grunt jak osadzone na głęboko wkopanych fundamentach, choć widzieliśmy przecież na własne oczy, że mamy do czynienia z konstrukcjami ruchomymi. Uderzyłem ręką. Głuchy, stłumiony stuk. I cisza.

Zaparłem się nogami i natarłem na stożek barkiem, z największą siłą, na jaką było mnie stać. Ani drgnął. Zrozumiałem, że nic tutaj nie wystoję. I jeszcze coś. Tu nikogo nie ma. Żywego ducha.

Statek otacza kordon. Ale tworzą go automaty. Zaprogramowane tak, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się epidemii na powierzchni globu. Gospodarze tutejszego układu słonecznego zostawili je i wynieśli się. Nie było ich w podziemiach. Nie spotkaliśmy ich na orbicie ani nigdzie po drodze. Nie warowali także tutaj, gdzie ludzie o sztucznie rozkojarzonych układach nerwowych, w obezwładnionym, pozbawionym automatów statku, czekali na głodową śmierć. Energia nagromadzona w zespołach „Proximy” dostarczałyby wprawdzie przetwórciom chemicznych składników potrzebnych do syntetyzowania pożywienia jeszcze przez co najmniej dziesięć lat, ale fakt pozostawał faktem.

Nie było ich nigdzie. Na całym globie. Porzucili go umyślnie. Zarządzili ostrą kwarantannę, po czym opuścili wszystkie bazy i urządzenia. Wrócą, kiedy będzie po wszystkim.

Ogarnęło mnie rozdrażnienie. Moje nerwy znajdowały się w opłakanym stanie. Zacisnąłem zęby i zmusiłem się do spokoju. Odszedłem kilka kroków od wieżyczki i stanąłem w miejscu, gdzie Krosvitz uruchomił miotacz.

Rozejrzałem się.

Po niewidocznej przeszkodzie, która zatrzymała „Phobosa”, nie pozostało śladu. Może działa wybiórczo? Przedemną wznosiło się potężne cygaro statku, głucho, masywne, celujące zadartym dziobem w granatową noc, w gwiazdy. Nie dochodził stamtąd żaden głos, jakby cała rakietka była tylko martwym pomnikiem zbudowanym wiele lat temu, aby dać świadectwo ludzkiej tęsknocie i ludzkiej myśli. Temu wszystkiemu, co nazywamy duchem eksploracji.

Pod statkiem gęstniał cień. Na prowadnicach windy migotały błękitne refleksy. Podejść, wezwać platformę, wjechać do włazu i przywitać się z ludźmi. Powiedzieć: „jak się macie, piękna dziś noc” czy coś w tym rodzaju.

Wystarczy jednak spojrzeć w lewo lub prawo, aby zdać sobie sprawę, na czym się stoi. Błękitny kordon trwał nieruchomo jak pluton egzekucyjny, najstraszniejszy ze wszystkich, bo martwy. Światła kładły się łagodnie na szklanym gruncie, przywodząc na myśl ciche przystanie nad jeziorami. Dalej był tylko granat i odrobinę ciemniejsze postrzępione masywy skał.

Czułem się coraz gorzej. Od dobrej chwili stałem bez ruchu. W stronę statku nie wolno mi już postąpić kroku. Tam jest ta strefa. Każdy strzępek nerwów ostrzegał mnie przed jej obecnością. Ale stojąc i czekając, nie wiadomo na co, niczego nie osiągnę. Trzeba wziąć się w garść.

Odwróciłem się. Chwyciłem oburącz aparat i podniosłem celownik do oka. Zacząłem wykonywać półobroty, jak saper na ćwiczebnym polu minowym. Ruszyłem po cięciwie koła, wyznaczonego przez błękitne stożki.

I wtedy pochwyciłem kątem oka króciutki błysk. Mały czarny przedmiot upadł kilkanaście metrów przede mną. Jeszcze się toczył, gdy zwolniłem migawkę. W tej samej chwili puściłem aparat, który zawisł na pasku, przymocowanym przezornie do kryzy skafandra i rzuciłem się szalonym biegiem w kierunku „Phobosa”. Uderzyłem o coś, zatoczyłem się, ale biegłem dalej. Błękitne światelka zgasły. Znajdowałem się już po drugiej stronie kordonu.

Pośliznąłem się. Pod nogami miałem lód. Rozpędziłem się i próbowałem pojechać na butach jak na łyżwach. Przyhamowało mnie tak, że upadłem i szurnąłem kaskiem po powierzchni gruntu, która z bliska nie wydawała się już tak bardzo śliska.

— Granatowa ślizgawka! — wykrzyknąłem. Nogi plątały się pode mną. Podskakiwałem, tańczyłem, biegnąc zygzakiem, zakolami, stale jednak oddalając się od rakiety i kordonu wieżyczek. Jeśli Riva to wszystko widział, musiał mieć niezłą zabawę. A trudno, żeby nie widział. Kotlina była gładka jak stół. Przebiegłem jeszcze kilka kroków, ciężko dysząc, i zwałem się na kolana. Przez chwilę walczyłem z przemożnym pragnieniem zderzenia z siebie kasku, wszystkiego. Wtedy przypomniałem sobie prawie nagie ciało Collinsa. Oprzytomniałem.

Uważnie obejrzałem dyndający mi na piersiach aparat. Na szczęście nie ucierpiało od tego, co wyprawiałem.

Dźwignąłem się z trudem i szeroko stawiając nogi ruszyłem w stronę widniejącego w odległości kilkudziesięciu metrów „Phobosa”.

* * *

Z wywoływaniem zdjęć było trochę kłopotu. Długo szukałem odpowiednich arkuszy folii. Takich, żeby można je wprowadzić do zespołu programowego automatów celowniczych.

Pozytywy nie przedstawiały się ciekawie. Czarny przedmiot, któremu zawdzięczaliśmy wszystkie atrakcje od momentu wkroczenia w obszar układu planetarnego Alfy, wyglądał jak dobrze zachowana kula armatnia z czasów hiszpańskich konkwistadorów. Fotografie strażniczych stożków nie powiedziały nam również nic nowego. Ale w czasie całej mojej eskapady przekonałem się przynajmniej o jednym. To nie wieżyczki są odpowiedzialne za pola, paraliżujące centra nerwowe ludzi. Stymulatorami stref zerowych były tylko „czarne piguły”. Rola stożków pozostawała niejasna. Stwarzały jakąś niewidoczną zaporę. „Phobos” uderzył w nią i nie przeszedł. Zatrzymała również Krosvitz. Ale ja przedostałem się do wnętrza kordonu bez przeszkód.

Mniejsza z tym. Teraz chodzi tylko o to, czy neuromatowi wystarczy materiał, jakim dysponujemy, więcej niż skąpy, do zaprogramowania automatów celowniczych małego miotacza.

Wprowadziłem przestrzenne zdjęcia do zespołu pamięciowego. Przeliczyłem wszystkie dane, odległość od kuli w czasie wykonywania zdjęcia, naświetlenie, charakterystykę soczewki aparatu, czułość folii, temperaturę otoczenia i tak dalej. Jeżeli komputer zdoła z tego wysnuć jakieś wnioski na temat struktury czarnego urządzenia, to tym lepiej. W każdym razie celowniki otrzymają jego kształt i rozmiary.

Tym razem nie bawiłem się w żadne podchody. Nie zatrzymując pojazdu, posłałem krótką serię w najbliższą wieżyczkę. Sekundowy krzaczasty rozbłysk, podmuch, który przeniknął do wnętrza kabiny jak ciche westchnienie, pełna moc silników. Natychmiast zablokowałem celowniki, przerzucając je na sterowanie z neuromatu.

Byliśmy już w miejscu, gdzie przed chwilą trwała anihilacja. Po błękitnym stożku pozostała tylko odrobinę ciemniejsza, matowa smuga na szklistym gruncie. Przeszliśmy. Wieżyczki pozostały za nami. Widzieliśmy odbicia ich światła w czołowym ekranie.

Moja szalona, samotna wyprawa nie poszła na marne. Umieszczone w programie zdjęcia stanowiły dostateczną informację dla neuromatu. Lufa miotacza wykonywała krótkie, błyskawiczne ruchy. Jej wylot rozjaśniał się na setną część sekundy, nie zdążył jeszcze zmatowieć, zmieniał kierunek i błyskał znowu jednym jedynym uderzeniem. Wszystkie celowały w cień, gęstniejący pod rufą stat-

ku. Wybuchwały w nim białe, mikroskopijne gwiazdy. Obcy (czy ich automaty) nie oszczędzali aparatów, stymulujących strefy. Pod rakieta aż roilo się od nich.

Co do nas, czuliśmy się jak w małym, staroświeckim samolocie w czasie huraganu. „Phobos” niósł miękko, lekko kołysząc. Tylko tak reagował na pracę miotacza. Ale nam żołądki podchodziły do gardeł, chciało nam się śmiać, płakać, wpadaliśmy w odrętwienie, to znowu w obłądną wściekłość. Za każdym razem nie trwało to dłużej niż sekundy. Wylot miotacza bluzgał światłem w stronę najbliższej piguły i przychodziło uspokojenie. Też na sekundy.

Miotani tą piekielną huśtawką, okrążaliśmy podnóża rakiety. Pierścień się zamknął. Zapanowała cisza. Byliśmy już w połowie drugiego okrążenia: Z tyłu, spoza wieżyczek, dobiegł znany nam już aż za dobrze błysk.

Czarny przedmiot nie zdążył nawet dotknąć gruntu, gdy został unicestwiony ogniem miotacza. Powtórzyło się to jeszcze kilkakrotnie. Krążyliśmy wokół statku, jakby zapraszając obcych do kontynuowania zabawy. Byliśmy już spokojni. Nasze mózgi pracowały jak zawsze.

Minęło kilka minut. Ataki urwały się, jakby ich sprawcy zostali przekonani o daremności swoich wysiłków. Ale o przekonaniu kogokolwiek nie mogło być, rzecz jasna, mowy. Zapewne wreszcie wyczerpał się zapas piguł, pozostawiony przez obrońców Trzeciej. Wieżyczki sączyły łagodne, błękitne światło i stały bez ruchu. Mogło się wydawać, że nigdy nie opuszczają swoich stanowisk, by zrozpaczonego człowieka zagnać z powrotem do głodowej celi.

Odczekaliśmy jeszcze następne pięć minut, po czym skierowałem pojazd prosto do podnóża prowadnicy dźwigu. Riva przejął ster. Wskoczyłem na szkliste podłoże. Teren był już silnie skażony, nie tak jednak, żeby nie można ryzykować. Jednym susem dopadłem płaskiej kratownicy i wezwałem platformę. Mechanizm działał normalnie. „Phobosa” już nie było obok mnie, dalej okrążał podstawę statku zataczając możliwie ciasne koła. Riva nie mógł czekać. Nie wiadomo było, czy mimo wszystko nie nastąpi kolejny atak. „Phobos” musiał mieć w każdej chwili wolne pole ostrzału. Za pozostawienie czarnej piguły w miejscu zasłoniętym akurat przed nami przez wyloty dysz „Proximy” dłużej niż kilka sekund, mogliśmy zapłacić bardzo drogo. Po prostu — powiększyć czekającą na śmierć ziemską załogę.

Płaska tarcza, zabezpieczona tylko jedną ścianką, za to wyposażoną w duże, wygodne uchwyty, wyniosła mnie aż na poziom włazu. Był nie domknięty. Jeśli śluza też. . . — przemknęło mi przez myśl. Ale klapę zagradzającą przejście z komory śluzowej do wnętrza statku zatrzaśnięto na głucho. Zamknąłem za sobą wąż i odnalazłem studzienkę oczyszczacza. Trwało dobre dziesięć minut, zanim czerwone oko indykatora promieniowania przygasło. Przestałem być niebezpieczny dla otoczenia. Wyrównałem ciśnienie i otworzyłem przewód tlenowy. Znowu musiałem odczekać, aż nad klapą zapłonie zielone światełko. Otworzyła się sama, jak zawsze. Na wszelki wypadek zamknąłem ją ręcznie, zabezpieczyłem i spraw-

dziłem urządzenie alarmowe. Było sprawne. Wtedy odwróciłem się. Nad moją głową, wysoki jak wnętrze wieży, otwierał się szyb korytarza.

* * *

Statek był jak wymarły. Zaglądałem do kilku kabin, lecz nikogo w nich nie znalazłem. Wszędzie panował trudny do opisanego rozgardiasz. Na podłodze walały się pomięte arkusze folii, taśmy mikrofilmów, części ubrania, porzucone narzędzia. Co kilka metrów zatrzymywałem klatkę, której prowadnice biegingy wzdłuż wąskiej ściany, stanowiącej w czasie lotu strop korytarza. Wszędzie ta sama martwa cisza. W końcu doznałem do nawigatorki, a raczej poprzedzającej ją sali.

Z kilkunastu ustawionych tutaj foteli tylko trzy były zajęte. W najbliższym leżała kobieta, obok mężczyzna, którego nie znałem, nieco dalej, z głową przechyloną do tyłu, komendant „Heliosa” — Thorns. Na moje wejście nikt nie zareagował najmniejszym poruszeniem.

Na podłodze, pod pulpitem, w przejściu do łazienki, pomiędzy segmentami ławiatostego stołu leżeli ludzie. Nieruchomi, jakby nieprzytomni po gwałtownym upadku, z rozrzuconymi lub podkurczonymi nogami.

Nie rozglądając się, ruszyłem szybkim krokiem do sterowni. W progu musiałem przekroczyć leżącego tam mężczyznę w zdartym do połowy kombinzonie. Ten miał oczy zamknięte. Jego pierś wznosiła się i opadała gorączkowo, w szybkim, nieregularnym rytmie. Pchnąłem nie domknięte drzwi i znalazłem się w ciasnym pomieszczeniu pilotów. Wszystkie wskaźniki trwały na pozycjach roboczych. W okienku neuromatu pulsowało „zero” — jakby wyniki daremnych prac nad źle skonstruowanym programem. Klawisze w pulpicie były połączone tak, że każdy komputer musiał dostać od tego obłędu. Z tym mogłem sobie poradzić sam i to bez trudu. Zlustrowałem wskaźnik zużycia energii. Jego strzałka zbliżała się powoli do czerwonego pola. Nie czekałoby już długo. Pozostałe zasoby wystarczały jednak aż nadto do wyjścia na orbitę. Wszystkie zespoły napędowe funkcjonowały normalnie. Można było startować, choćby zaraz. Cofnąłem się i ponownie przestąpiłem próg nawigatorki. Stałem. Teraz miałem już dość czasu, by uważnie przyjrzeć się ocalonym przez nas ludziom.

Tak. Tutaj nie pomogą żadne diody laserowe, żadne butlery i automatyczne korektury homeostazy. Tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Rozdział 9

„PROXIMA”

Frontowy szpital z wojny, po której nie zostało już śladu w pamięci żyjących pokoleń. I to szpital nie dla żołnierzy. Dla obłąkanych mieszkańców osad, przez które przewalił się front. Dramat historyczny z pierwszych lat kryzysu cywilizacyjnego. W scenerii komfortowo wyposażonej kabiny współczesnego statku kosmicznego. Nie jedli chyba od tygodni. Ich twarze sprawiały wrażenie żywcem przeniesionych ze szkiców Goyi. Na płycie stołu, na pulpitych, we wszystkich zakamarkach, wszędzie, na całej podłodze walały się brudne naczynia, resztki żywności i bandaże. Tylko że to nie jedzenia im brakowało. Wystarczył rzut oka na barierę syntetyzatorów. Wszystkie segmenty były pod prądem. O wyczerpaniu zapasów, po kilku zaledwie latach, nie mogło być mowy.

Pośród tego ludzie wychudli do szkieletów, zarośnięci, półnaczy. Wyczerpani do ostateczności. Ale niektórzy z nich już odzyskiwali świadomość. Czuję na sobie pojedyncze, półprzytomne, nieruchome spojrzenia, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu.

Stałem w przejściu do sterowni i patrzyłem. Chciałem zostawić im trochę czasu. Nie minęło dziesięć minut, odkąd miotacz „Phobosa” zakończył uprzątnięcie terenu wokół statku. Do tego momentu tkwili w strefie zerowej. Licho wie, od kiedy. Ja potrzebowałem ładnych paru sekund, aby przyjść do siebie po kolejnych wizytach czarnych automatów, chociaż nigdy nie pozostawałem w ich sąsiedztwie dłużej niż kilka minut. A oni przybyli tutaj całe lata temu.

Moją uwagę przykuła zaimprovizowana konstrukcja jakiegoś destylatora, ustawiona na opuszczonej klapie zasobników chemicznych. Podszedłem do niej, ostrożnie podniosłem zbiornik i powąchałem pozostałą na dnie resztkę płynu. Nie mogło być wątpliwości. Produkowali alkohol.

Odwróciłem się i poszukałem spojrzeniem Thornsa. Przez chwilę wpatrywał się we mnie, po czym przymknął oczy, jakby chciał odpowiedzieć twierdząco na nie zadane pytanie. Znowu poczułem ziać na policzkach. Zacząłem przeglądać powyrzucane z zasobników chemikalia. Na sąsiednim skrzydle klapy stał jakiś

dziwny przyrząd. Nie potrafiłem go skojarzyć z żadną ze znanych mi reakcji. Pospawane były jak kolby, powiązane drutem, krzywe przewody, promienniki, mały laser chemiczny, celujący w wypukłą tarczę, posypaną białym proszkiem. W opróżnionych, przezroczystych kanistrach resztki substancji. Na etykietach nazwy samych alkaloidów. Coś mnie tknęło. Otworzyłem pozostałe zasobniki i zrobiłem pobieżny przegląd ich zawartości. W przegrodzie alkaloidów znalazłem jeszcze sporo substancji. Jedna grupa była wyczyszczona do cna. Pochodne izochinoliny.

Orientowałem się na tyle, żeby wiedzieć, co to znaczy. I co robili z eterem, po którym pozostały porzucone, walające się na podłodze pojemniki. Alkohol przestał im w pewnym momencie wystarczać. Eter rozpuszcza alkaloidy. A z pochodnych izochinoliny otrzymuje się morfinę. I inne narkotyki.

Wiedziałem już przynajmniej jedno. Od tych ludzi nie dowiemy się niczego. Nie dlatego, że nic nie będą chcieli powiedzieć. Czy też nie będą w stanie przypomnieć sobie, co przeżyli od dnia, kiedy dysze „Proximy” dotknęły powierzchni tego globu. Nie. Po prostu nie będziemy ich pytać.

Poczułem czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciłem powoli głowę.

Za mną stał Krosvitz. Jego szeroko otwarte oczy wpatrywały się we mnie z taką siłą, że przez ułamek sekundy musiałem napiąć mięśnie do granic bólu, żeby się nie cofnąć. Głęboką ciszę kabiny mąciły tylko odgłosy płytkich oddechów leżących bezwładnie ludzi. Mimo to nie usłyszałem jego kroków, kiedy zachodził od tyłu.

Poruszył wargami. Jego spojrzenie odrobinę przygasało.

— Krosvitz — powiedziałem spokojnie. — Cieszę się, że cię widzę.

Mój głos brzmiał obco. We wnętrzu kabiny zaszła jakaś zmiana. Jakby ruszył nieczynny od lat agregat, wprowadzający ożywczy gaz do hibernatorów.

Jego ręka, wciąż jeszcze spoczywająca na moim ramieniu, drgnęła. Poczułem słaby ucisk palców. Nagle puścił mnie i cofnął się dwa kroki, nie przestając mierzyć mnie wzrokiem.

— Ty jesteś Thaal — wymówił, cedząc każdą literę z osobna. Był to właściwie szept, ledwie słyszalny.

Wszystko to dzieje się naprawdę — przemknęło mi przez myśl. — Naprawdę...

— Chodź ze mną — powiedziałem, wyciągając do niego rękę. Nie przyjął jej. Wyprostował się i rozejrzał po kabinie.

— Nie patrz. Chodź.

Tym razem usłuchał. Zaprowadziłem go do płytkiej niszy koło łazienki. Znajdował się tam zestaw diagnostyczny i automatyczna apteczka.

Miał chłop zdrowie. Właściwie nic mu nie było. Ogólne wyczerpanie, wzmożona pobudliwość, lekkie osłabienie mięśnia sercowego, drobne potłuczenia. Naderwane ścięgno w prawym przedramieniu. Tego to napytał sobie chyba dzisiaj,

waląc ręką o ziemię, w bezsilnej wściekłości po daremnym, nieprzytomnym wypadzie.

Połknął porcję specyfików, wydzieloną mu przez automat i dał sobie obandażować ramię. Siedział spokojnie, nie odzywając się już, nagi, wychudły, ale nie tak chudy, jak pozostali. Kiedy było po wszystkim, wstał i bez słowa poszedł do umywalni. Usłyszałem huk wylatującego gazu.

Zastanowiłem się. Kiedy wyszedł w nowym kombinezonie, zastąpiłem mu drogę i powiedziałem twardym tonem:

— Jestem szefem ekipy interwencyjnej. Na razie będziesz musiał wykonywać moje polecenia.

Skinął głową. Następnie wskazał oczami spoczywającą w fotelu kobietę.

Odwrociłem się twarzą do kabiny i policzyłem obecnych. Thorns, Leger, kobieta w foteli, Torith, Bistra, Notti... Dziewiętnaście. „Monitor” miał na pokładzie pięć osób. „Helios” i „Proxima” po dwanaście. Collinsa zostawiliśmy w płytkim zagłębieniu, nakrytym nasypem z barwnych minerałów, obok kopuły z wejściem do tunelu. Brakowało dziewięciu osób. Wśród nich Ustera,

— Gdzie reszta? — spytałem.

— Niedaleko. Jeśli ktoś z nich jeszcze żyje. Siedzą w takiej małej bazie...

— Jak to się stało?

Wzruszył ramionami.

— Nie było zgody... na pokładzie. Walczyliśmy...

— Ze sobą? — W moim wzroku musiało być coś takiego, że uśmiechnął się mimo woli. Był to jeden z najsmutniejszych uśmiechów, jakie zdarzyło mi się w życiu oglądać.

— Nie bój się — powiedział. — Jestem przy zdrowych zmysłach. Teraz już tak — położył akcent na słowie „teraz”.

— Wiesz, gdzie to jest?

— Uhm. Byłem tam.

— Byłeś?

— Tak... przywitani mnie ogniem. Potem sam strzelałem.

— Jak się wydostałeś poza kordon?

— Wtedy nie było jeszcze tych stożków. Tylko antypola...

Nazywali te strefy antypolami. Można i tak.

— Uster też tam jest? — pytałem dalej.

— Nie. Wziął „Monitor” i poleciał na Trzecią. Mówił, że to jedyna szansa. Ja zostałem, bo... — zająknął się.

Jasne. Został, żeby pilnować pozostałych.

Ale jeśli tak, to znaczy, że nie tkwili cały czas w strefach zerowych. Skoro byli w stanie przytomnie rozmawiać.

Nie było Ustera. W ich położeniu mógł rzeczywiście próbować tylko jednego. Kontakt. Za wszelką cenę. Kontakt, w wyniku którego przekonałby mieszkań-

ców układu Alfy, że nie mają do czynienia z dzikusami. Mało było szans, by nie zapłacił ceny, na jaką się zdecydował, podejmując tę próbę.

— Zaprowadzisz nas tam — rzuciłem. Wyprostowałem się i ruszyłem w kierunku fotela, zajętego przez nieprzytomną kobietę. Wyprzedził mnie szybkimi krokami i zastąpił drogę.

— Thaal — bąknął, nie patrząc mi w oczy.

Stałem.

— Nazywaj mnie Al. O co chodzi?

— Jedno pytanie. Co j e s z c z e chcesz wiedzieć?

W tym momencie zrobiło mi się go szczerze żal.

— Nic, Kros — powiedziałem półgłosem. — Naprawdę nic.

Twarz mu się wygładziła. Powoli skinął głową.

— To dobrze — szepnął. — To bardzo dobrze. . .

Kobieta poruszyła wargami. Przez moment spoglądała na mnie półprzytomnym wzrokiem, ale zaraz powieki jej opadły. Była niemal naga. Zostały z niej skóra i kości. Jedynie po oprawie oczu i gładkiej cerze można było poznać, że nie przekroczyła czterdziestki.

Schyliłem się. Jej ramię od łokcia do barku pokrywały drobne, czerwone cętki. Odwróciłem głowę i poszukałem wzrokiem w stosach rupieci, zalegających podłogę. Jest. Rzucona jakby ze złością w ką, za postawami pulpitów, leżała mlecznobiała półautomatyczna strzykawka.

Wziąłem w ręce to nic prawie nie ważące ciało i zaniósłem na fotel diagnostyczny. Krosvitz poszedł za mną.

— To jest Ann — mruknął po chwili, pomagając mi zamknąć obwody. — Jej siostra. . .

— Wiem — przerwałem ostro. Obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem i umilkł. Kiedy zdjąłem pled, żeby ją umyć, bo sama nie byłaby w stanie przejść do łazienki, spuścił wzrok i odwrócił głowę. Miał prawo czuć się podle. Tylko że to już teraz wyłącznie jego sprawa.

Automat marudził. W nieskończoność zmieniał numerację. Musiało brakować jakichś składników.

Pomyślałem o Linie. Daleko mi było do zadowolenia z siebie. Ale musiałem się uśmiechnąć. I raptem, nie wiadomo dlaczego, przyszedł mi na myśl Uster. Lina i Uster. Co u licha?

Nagle zrozumiałem. Zrobię wszystko, żeby go znaleźć. Dla niej. Sam tego jeszcze nie pojmowałem. Ale czułem, że coś się we mnie przesiliło. Znajdę go i wyciągnę choćby z grobu. Nigdy w życiu nikt nie był mi tak potrzebny, jak teraz Uster. Itia. . . mniejsza o nią. Nie chodzi o Itię. Więc o co?

Mój głośniczek obudził się i zaświergotał. No, tak — przemknęło mi przez myśl — program.

Znowu się uśmiechnąłem.

— Dobra, dobra — mruknąłem, jak zawsze w takich wypadkach i zająłem się już wyłącznie Ann.

Po kilku minutach przysłała trochę do siebie. Przynajmniej na tyle, że mogła przełknąć kubek koncentratu. Patrzyła na mnie przytomnie i kilka razy otwierała usta, ale nie pozwoliłem jej mówić. Zaniósłem ją do sterowni, gdzie było trochę czystiej i umieściłem w fotelu pilota. Otuliłem ją pledem i wróciłem do nawigatorni.

Z kolei zajęliśmy się drugą kobietą z załogi „Monitora”, Bistra, potem Thornsem, a następnie pozostałymi. Pracowaliśmy bite dwie godziny. Zabrakło foteli, więc posłałem Krosvitzę, żeby wymontował kilka z najbliższych kabin. Zrobił to szybko i bez zmęczenia. Był już dobry.

W końcu wszyscy byli już zbadani, naszpikowani lekami, wykąpani i nakarmieni. Stosunkowo najbardziej poszkodowany był Thorns. Głęboka rana w plecach, nad prawą łopatką, goiła się jednak bez komplikacji. Przypomniałem sobie jego przestrelony skafander, o który potknął się Snagg w kabynie „Heliosa”, i pomyślałem, że chłop miał dużo szczęścia. Nie Snagg, oczywiście.

Kiedy ludzie spoczęli już w rozłożonych fotelach i kiedy większość z nich zapadła w drzemkę, wezwałem automaty oczyszczające. Z jakąś mściwą satysfakcją obserwowałem znikające w mgnieniu oka cuchnące resztki, porwane mikrofilmy, brudną odzież i splamione bandaże. Następnie przeszedłem do sterowni i połączyłem się z Rivą. Kazałem mu zameldować w bazie, że pierwsza część zaprogramowanej przez nią ekspedycji inforpolu osiągnęła sukces. Za wcześnie na radość. Tym niemniej jakiś komunikat powinni już z tego wysmażyć.

Riva rozmawiał ze mną spokojnie, ale wyczułem, że ma już serdecznie dość nieustannego kręcenia się w kółko u podnóża rakiety. Trudno. Teraz bardziej niż kiedykolwiek nie wolno nam ryzykować. Powiedziałem mu, że przewiduję start mniej więcej za godzinę i wyłączyłem się.

Brakowało dziewięciu osób. Krosvitzę zapewniał, że poza zgromadzonymi w nawigatorni, na statku nie ma żywego ducha, ale wolałem sam się o tym przekonać. Zresztą i tak przed startem trzeba było wszystko przejrzeć. Uruchomiłem automaty kontrolne, zostawiłem Krosvitzę przy uratowanych, a sam wybrałem się do kabin osobowych.

W pierwszych sześciu poza wszechobecnym bałaganem nie znalazłem nic interesującego. To znaczy nic ponad to, czego się spodziewałem.

Postałem chwilę w szybie korytarza, wpatrzony w spokojną perspektywę światła, wypłaszających cień najgłębszych zakamarków, po czym uruchomiłem dźwig i zjechałem piętro niżej. Tutaj drzwi najbliższej kabiny stały otworem. Wszedłem i stanąłem jak wryty.

Kramik początkującego antykwariusza. Zarazem buduar podupadłej dziewiętnastowiecznej kokoty i składnica odpadków. Kiosk z odpustowymi smakolykami, jaki oglądałem w mediolańskim muzeum folkloru.

Było tu wszystko. Stare ubiory robocze, relaksowe, wieczorowe, stopy kosmetyków, nie używanych od lat i nie wytrzymujących porównania z najluchszym zestawem, dostarczonym automatycznie do każdej łazienki, tak samo jak gaz czy woda. Setki mikrofilmów, z których samotny lokator kabiny nie mógł mieć najmniejszego pożytku, z tej prostej przyczyny — że do końca życia nie zdążyłby ich przejrzeć, chociażby pobieżnie. Stopy drobnych elementów aparatury łączności i zasilającej. Okulary, ołówki magnetyczne, latarki, zapasowe butle tlenowe, stełaże, zwoje tkanin i kartony folii. I żywność. Zwały koncentratów w oryginalnych pojemnikach i luźnych paczkach, kanistry i gruszki z płynem odżywczym zalegały dosłownie wszędzie. Początkowo układane starannie, bliżej wejścia wałały się już bezładnie pod stołem, na leżance, na każdym wolnym skrawku podłogi.

Wyobraziłem sobie sylwetkę człowieka, przemykającego chyłkiem, rzucającego na boki trwożne i chytre zarazem spojrzenia, niosącego swój zebrany z zaplecza wspólnej nawigatorni, nonsensowny łup. Gromadzenie sprzętów. Jak najszybciej i jak najwięcej. Stale, godzina po godzinie, dzień po dniu przybywało w tej pojedynczej kabinie rzeczy, które chory, porażony człowiek chciał mieć za zamkniętymi drzwiami własnego azylu, zawsze pod ręką, zawsze tylko dla siebie. **G r o m a d z e n i e s p r z e t ó w . . .**

Mimo woli przyszło mi na myśl przekleństwo, jakie rzucano w starożytności. Ale wbrew pozorom rzecz nie była aż tak starożytna. . .

Odruchowo podniosłem dłoń do czoła. Chwilęostałem jak skamieniały, po czym nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, podszedłem do iluminatora i rozjaśniłem ekran.

Wieżyczki, trwające w nieruchomym pierścieniu, były niewidoczne. Tylko z dolnej krawędzi obrazu wynurzały się jak rozczapierzone palce miękkie, błękitne smugi światła. Za nimi powierzchnią gruntu pobłyskiwała delikatnie, jakby odbijając jedynie promienie odległych gwiazd.

Spojrzałem w górę. Nie próbowałem nawet wyłuskiwać zarysów znajomych konstelacji z białozłotego mrowia. Co było w tym widoku naprawdę niezwyklego, porywającego nawet, to opływający gwiazdy soczysty, nieskazitelny granat. Takiej barwy nieba nie widziałem jeszcze nigdy.

* * *

Przestrzeń. Nie próżnia. Czystszej nie można sobie wyobrazić. Cisza. Noc, jaka w człowieku, oddalonym od własnego słońca o półtora parseka budzi nagle, nie wiadomo skąd i dlaczego, echo zastyszanej kiedyś kolędy. I ta kabina, peł-

na sprzętów, nagromadzonych w obłąkanej samotności, w okrutnym pośpiechu, nakazanym przez nonsensowny, zwierzęcy strach, żeby ich kiedyś nie zbrakło.

Jakie pokłady podświadomości wyzwoliło w ludziach naruszenie przepływu informacji wewnątrz ich precyzyjnie przez naturę obmyślonych układów? Które z dawniejszych pokoleń doznało wstrząsów tak silnych, że piętno wyciśnięte przez nie w kodzie genetycznym, zagłuszyło inne atawizmy? I że przetrwało, zablźnione, głuche, pozornie niebyłe, dłużej niż wiek nareszcie zintegrowanej, nareszcie sterowanej zgodnie z ideałami wspólnoty cywilizacji człowieka? Po to, żeby teraz, w strefie obcego słońca, na globie penetrowanym przez obcą rasę, nagle ożyć, rozrósć się, rozpanoszyć i całą wolę, nadzieję, dumę pokolenia eksploratorów sprowadzić do zwierzęcych odruchów? Czy ludzie musieli polecieć aż tak daleko, żeby się przekonać, co tkwi w nich naprawdę i ile są warci?

Odpowiedź na te pytania, przynajmniej pierwsze z nich, nasuwała się sama. Zresztą udzielono nam jej w sposób aż nadto wymowny. Zrobili to oni. Mieszkańcy układu Alfę. Programując projekcję, jaką zademonstrowali w podziemnej hali. Ziemskie miasto z okresu ubiegłowiecznego kryzysu. Ludzie. Samotni w tłumie, lękający się zarówno tej samotności, jak i czyjejs interwencji w jej obszarze, pochłonięci bez reszty dzisiejszym pośpiechem, który jutro miał im przynieść za doświadczenie w postaci chwili odprężenia, a przynosił tylko nowy wzrost tempa. Jeżeli taką treść wydobyli z podświadomości przybyszów, mieli prawo poczuć się zniechęceni.

Przyszło mi na myśl, że wszystkie automaty, stymulujące strefy zerowe, podzucane przybywającym, mogły być tylko testami. Kto wie, czy gospodarze układu nie mieli za sobą niemiłych doświadczeń, wyniesionych z wizyt przedstawicieli innych ras niż ich własna i niż ludzka. I czy te doświadczenia nie kazały im poddawać kolejnych ekspedycji lądujących w ich obszarze surowym egzaminom? „Sprawdzianom podświadomości”?

Ta myśl mnie tknęła. Zacząłem sobie przypominać wszystkie po kolei zetknięcia z czarnymi pigułami. Od pierwszych, wysyłanych na podobieństwo próbnych sond, naprzeciw naszym rakietom, zanim jeszcze wkroczyły w obszar ich systemu planetarnego. Potem kolejne ataki. A może nie ataki, tylko właśnie obserwacje i badania? Może dostrzegli w nas mimo wszystko cechy, które wydały im się bliższe lub interesujące i dlatego eksperymentowali tak długo?

Im usilniej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej prawdopodobna wydawała mi się ta nowa, niezbyt miła hipoteza. Załóżmy, że tak właśnie było. I że „egzamin” nie wypadł pomyślnie. Dlatego obezwładnili statek, otoczyli go nieprzenikliwym kordonem, odebrali ludziom możliwość jakiegokolwiek świadomego działania, a sami wynieśli się cichaczem nie tylko z najbliższego otoczenia siedliska zarazy, ale z całego globu.

Dość. Sprawdzian, nie sprawdzian, to, co zrobili, sprowadziło na ludzi groźbę zagłady. Dlatego tu właśnie jesteśmy. Bo przecież my, z Rivą i Snaggiem, stanowiliśmy ekspedycję nie tylko ratunkową.

Wyprostowałem się, zgasilem iluminator i wyszedłem na korytarz.

* * *

Dziesięć minut później, zatrzasnąwszy kłapę pieca indukcyjnego, pomyślałem, że cokolwiek by się stało, wspomnienie o tej kabynie zachowam tylko dla siebie. Ani słowa Rivie czy Snaggowi. Najmniejszej wzmianki w żadnym z meldunków, teraz ani później, po powrocie do bazy. Jeśli wrócę. Nie mówiąc o rozmowach z uratowanymi. Było to jedyne, co mogłem jeszcze zrobić dla tych ludzi i ich przyszłości.

* * *

Skończyłem przegląd kabin i wróciłem do nawigatorni. Krosvitz siedział przy stole i jadł. Ludzie leżeli bez ruchu w fotelach, pogrążeni w drzemce. Ich oddechy uspokajały się powoli, jeśli o nich chodzi, do zrobienia zostało tylko jedno.

Skierowałem się do głównego pulpitu. Doprowadzenie do porządku jego obwodów oraz usunięcie zakłóceń, spowodowanych obłądnym manewrowaniem klawiszami, nie zajęło mi więcej niż piętnaście minut. Wezwałem automaty hibernatorów. Wszystkie odpowiedziały żółtymi światełkami, na znak, że komory są w porządku i że w tej chwili nikogo w nich nie ma. Zleciłem neuromatowi czynności przygotowawcze, a sam zająłem się ludźmi.

Tym razem nie szukałem pomocy zespołów diagnostycznych. Na własną rękę zaaplikowałem każdemu porcję tabletek nasennych. Kiedy do nich podchodziłem, odwracali głowy i zamykali oczy. Kilku tylko przyglądało mi się, jakby usiłując odgadnąć moje prawdziwe zamiary. Ale robili, co chciałem, bez oporu.

Zadałem sobie pytanie, czy kiedy będzie po wszystkim, wrócą do swego zwyczaju pokazywania pleców na widok facetów z czarno-białymi emblematami Korpusu. W gruncie rzeczy niewiele mnie to jednak obchodziło.

Czterdzieści minut później tkwili już pod szczelnie przyssanymi do ścian pokrywami hibernatorów. Zapadali w sen. Pracę automatów zaprogramowałem na rok. Jeśli tutaj uda się sprawy pomyślnie doprowadzić do końca, będziemy mieć

jeszcze dość czasu, żeby ich gruntownie wyremontować przed powrotem do bazy. Jeśli nie, darujemy im przynajmniej rok spokoju. Teraz nic im nie groziło. Chyba że obcy zmienią taktykę i postanowią zniszczyć statek. Ale nie zanosilo się na to. Przynajmniej na razie.

* * *

Dwoje z nich tylko zostawiłem w nawigatorni. Ann i Thornsa. Ten ostatni zachował stosunkowo najwięcej przytomności umysłu. A poza tym odniósł najpoważniejsze ze wszystkich obrażenia. Nie byłem specjalistą. Nie na tyle, żeby mieć pewność, czy hibernacja będzie dla niego wskazana. Wolałem nie ryzykować.

Co do Ann, ona również nie czuła się dobrze. Jej rany nie przestawały krwawić. Ale nie byłbym szczerzy twierdząc, że powodowała mną wyłącznie troska o stan jej zdrowia, kiedy zdecydowałem, że zostanie z nami.

W każdym razie nawigatornia opustoszała. Odnieśliśmy na miejsca pożyczone z kabin fotele. Ann i Thorns drzemali, obstawieni pomocniczą aparaturą.

Wezwałem Rive. Poinformowałem go krótko o tym, co zrobiłem i powiedziałem, że pojedzie teraz z Krosvitzem po resztę. Ten ostatni, słysząc to, bez słowa wstał i zaczął się ubierać. Po chwili zniknął w szybie, prowadzącym do służy. Dwie minuty później na pulpicie w sterowni zapaliła się czerwona lampka. Czujnik dawał znać, że właz osobowy statku został otwarty.

— Melduj teraz — rzuciłem do Rivy.

Moment był krytyczny. Jak długo „Phobos” znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie „Proximy”, nie mogłem zablokować automatów celowniczych w pozycji pierścieniowego ostrzału ciągłego. Z kolei, aby zabrać Krosvitz, Riva musiał podjechać pod windę i zatrzymać się. Wystarczyłaby teraz jedna czarna piguła, podrzucona po przeciwnej stronie statku, w polu zakrytym przed „oczami” celowników pojazdu, a cała zabawa mogła się zacząć od nowa.

— Właz otwarty — donosił Riva. — Klatka w ruchu. Podjeżdżam. Widzę Krosvitz. Jest już na dole. Stopuje.

Wstrzymałem oddech. Chwilę panowała cisza. W nawigatorni coś się poruszyło. To Thorns sięgnął po kubek z płynem.

Pomyślałem, że operacja trwa odrobinę za długo. I w tej samej chwili usłyszałem spokojny głos:

— Ustal kierunek na radarze. I zajmij się centralką.

Odruchowo wyciągnąłem rękę w stronę pulpitu. Równocześnie przebiegłem spojrzeniem ekrany. Uśmiechnąłem się. Teraz dopiero dotarło do mojej świadomości, że słowa Rivy nie były skierowane do mnie. Krosvitz zajął już miejsce

w kabinie „Phobosa”. Pojazd wrócił na swoją naziemną „orbitę”. I nic się nie stało.

— Odchodzę na północny zachód — zabrzmiał nagle nowy głos. — Podaje współrzędne...

* * *

Kiedy na ekranie radaru ukazał się rąbek seledynowej nitki, wytyczającej drogę pojazdu, zająłem się celownikami. Wreszcie mogłem spokojnie odetchnąć. Ludzie na pokładzie byli bezpieczni. Jeśli w sąsiedztwie statku pojawi się najmniejsza kruszyna, ślad jakiegokolwiek podejrzanego ruchu, celowniki „Proximy” w ciągu tysięcznych części sekundy prześlą miotaczowi sygnał otwarcia ognia. A nie ma takiej konstrukcji, białej czy czarnej, płaskiej czy kulistej, która oparłaby się antyprotonom. W całym naszym wszechświecie.

Wstałem, raz jeszcze odruchowo sprawdziłem blokadę i przeszedłem do dużej salki. Udałem się prosto do stołu. Zdawało mi się, że znajduję jakiś nowy smak w znanych do znudzenia kostkach koncentratu. Wypiłem chyba dwa litry płynu. I, o dziwo, przy milczącej aprobacie butlera.

O Rivę mogłem się nie martwić. Mały miotacz był trafnie zaprogramowany. Ludzie, kiedy do nich dotrą, będą tak samo odrętwiali i półprzytomni jak ci tutaj. Komory „Phobosa” pomieszczą bez trudu całą dziewiątkę. Pozostanie tylko jeden newralgiczny moment: wprowadzenie pojazdu przez właz transportowy do wnętrza „Proximy”. Ale tym będę się kłopotał w stosownym czasie.

Od strony, gdzie leżał Thorns, znowu dobiegł jakiś dźwięk.

Odwróciłem się. Zawieszony oburącz na lewej poręczy, usiłował podciągnąć się i usztywnić oparcie. Podszedłem i pomogłem mu. Spojrzał na mnie nieprzytomnie i uśmiechnął się blade.

— Masz miłą pracę — wyszeptał.

Położyłem palec na ustach.

— Musisz jeszcze odpocząć — powiedziałem. — Później pogadamy.

Uniósł się trochę i spojrzał mi w oczy.

— Mogę mówić — oświadczył. Jego głos zabrzmiał odrobinę raźniej.

Przytaszczyłem fotel spod pulpitu i usiadłem koło niego.

— Jak się czujesz? — spytałem. Było to jedno z celniejszych, pytań, jakie udało mi się w życiu zadać.

— Poczekaj — szepnął. Sięgnął do pomocnika po kubek z płynem, omal nie strącając przy tym całego zbiorniczka. Nie poruszyłem się. Pozwoliłem, żeby sam sobie poradził. Potrzebował tego teraz bardziej, niż czegokolwiek innego.

Pił długo, drobnymi łyczkami. Grdyka poruszała mu się tak, jakby za chwilę miała wyskoczyć z wychudłej, pomarszczonej szyi.

Wreszcie odstawił kubek.

— Chodź bliżej — powiedział, robiąc ruch głową. Pochyliłem się.

Milczał jeszcze przez chwilę. Kiedy w końcu przemówił, jego głos zabrzmiał niemal normalnie:

— Cywilizacja rozwinięta... typu technologicznego. Starsza od naszej o jakieś pół miliona lat. Robiłem pomiary, zanim... — urwał. Odwrócił wzrok i mówił dalej:

— Łączność podprogowa. Mają... mają... — zaciął się.

— Daj spokój — powiedziałem. — Wiem, co mają. Widziałem.

I tak na razie nic nie możemy zrobić. Wszystko dokładnie omówimy. Mamy mnóstwo czasu. Bieże sześć lat. Obecnie musicie jak najprędzej przyjść do siebie. Będę ci wdzięczny, jeśli mi w tym pomożesz — uśmiechnąłem się.

Znowu uniósł się o kilka centymetrów. Niemał usiadł. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, po czym poważnie skinął głową. Rozejrzał się.

— Gdzie reszta? — spytał.

— Śpią w hibernatorach — powiedziałem. — Cali i zdrowi.

— Zostawiłeś... tylko mnie?

— I Ann — mimo woli zniżyłem głos. — Poczekamy, aż wasze rany się zabliznią.

Znowu omiół wzrokiem nawigatornię. Uniósł brwi.

— Gdzie ona jest?

— W sterowni. Śpi — wyjaśniłem.

Pomyślał chwilę i spuszczać wzrok, wyszeptał:

— Czy... czy ona pamięta?

Wyprostowałem się. Położyłem mu rękę na ramieniu.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziałem z naciskiem. — Ale nie pamięta. Żadne z was nie pamięta niczego. Ty też. Poza faktami, dotyczącymi tutejszej cywilizacji. A tych zdobyliście, niestety, niewiele.

Chwilę wpatrywał mi się w oczy, jakby sprawdzał, czy mówię serio. Jego wzrok stopniowo łagodniał. Mruknął coś, czego nie dosłyszałem, uniósł lewą rękę i położył dłoń na mojej, spoczywającej na jego prawym ramieniu. Poczulem lekki uścisk wychudłych palców.

— Jesteś porządny chłop, Thaal — powiedział bez uśmiechu. — Cieszę się, że to właśnie ty...

Urwał i uniósł twarz, jakby sobie o czymś przypomniał.

— Byłeś na „Heliosie”? — spytał innym tonem.

— Uhm. To twój skafander?

— Tak.

Wolałem o więcej nie pytać. Jasne, że nie rozdarł go przełaząc przez płot.

— Przed tobą był tam Areg. Wiedziałaś o tym?
Przytaknął ruchem głowy.
— Sam go tam posłałem. Ale nic nie wskórał. Nie mógł.
— Nie mógł — zgodziłem się. — Nie męczy cię mówienie?
— Męczy mnie cisza.
— Znaleźliśmy Collinsa. Niestety, nie żył. Pochowaliśmy go w pobliżu ich bazy. Tam jest całe podziemne miasto. . .
— Wiem — przerwał. — Byłem tam.
A więc jednak.
— Uległ wypadkowi. . . — szepnął Thorns, patrząc mi przenikliwie w oczy. Zrozumiałem. Przyjął moją grę. To znaczy, że nie myliliśmy się. Gospodarze bazy nie mieli nic wspólnego z „wypadkiem” Collinsa.
— Krosvitz pojechał z Riva, moim towarzyszem z Korpusu, po resztę — powiedziałem. — Niedługo powinni wrócić. Zaraz potem będziemy startować. Możesz być potrzebny w czasie manewrów. Wobec tego teraz powinieneś się jednak przespać. Wezmiesz tabletki?
Połknął je i głowa mu opadła. Przykryłem go pledem i poprawiłem opatrunek na jego ramieniu. Sprawdziłem także zestaw neutralizatorów i przekaźników. Końcówki zasilaczy, odżywiających bezpośrednio układ krwionośny i włókna nerwowe.
Kiedy skończyłem, spał już spokojnym, zdrowym snem. Oddychał równo, głęboko. Nie gorączkował. Z kolei zająłem się Ann. Nie próbowałem z nią mówić. Nie dopuściłbym do żadnej rozmowy, nawet gdyby sama chciała. Była wyczerpana bardziej niż Thorns. Potrzebowała dłuższej kuracji. Kto wie, jak długiej. Jeśli jednak pamiętała, jak o to pytał szef załogi „Heliosa”. . .
Automaty lecznicze i zasilające, podłączone do jej organizmu, pracowały bez przerwy. Kiedy podszedłem, uniosła powieki i obrzuciła mnie nieprzytomnym spojrzeniem. Natychmiast jednak znowu zapadła w płytką, gorączkową drzemkę.
Pomyślałem o jej siostrze. O jej nieśmiałym, jakby chłopięcym uśmiechu. O subtelnych rysach jej twarzy i króciutkiej spódniczce. Lina. . . Powiedziała, że Ann jest ładniejsza od niej. Tak jakbym tylko dlatego miał zwlekać z rozpoczęciem akcji pacyfikacyjnej, żeby ocalić kobietą urodę.
Przyjrzałem się jej uważniej. Nawet zawodowy portrecista nie potrafiłby, powiedzieć, czy ta twarz była kiedyś naprawdę młoda i ładna. Zobaczymy za sześć lat. Do tego czasu będzie wyglądać jak dawniej. Wtedy powiem Linie, czy. . .
I nagle znowu przyszedł mi na myśl Uster. A zaraz potem to, co muszę zrobić. Sam. Nikt nie ma się prawa do tego wtrącać. Żaden z nich. A tym bardziej nikt z mojej ekipy. Z Korpusu.

* * *

W tym momencie w sterowni zabrzmiał sygnał wywoławczy. W kilka sekund znalazłem się przed pulpitem. W górnym rogu pulsowało światelko.

— Widzę światła kordonu — mówił Krosvitz. — Zajmij się miotaczem.

Odblokowałem automaty. Nie musiałem się śpieszyć. Widziałem ich na ekranie. Mieli jeszcze dobre piętnaście minut jazdy.

— Zabraliście wszystkich? — spytałem.

— Ośmiu. Jednego zostawiliśmy koło bazy.

— Kto?

— Areg. Powiesił się na przewodzie własnej butli tlenowej.

* * *

Godzinę później szkliwo, jakim pokryta była kotlina otoczona masywami skał, rozgorzało rażąco purpurą. Refleksy w ekranach zmieniły się w błyskawice. Z dysz buchnęły płomieniste chmury, aż raptem cały widnokrag przeszył krzaczasty błysk, jakby pod statkiem w ułamku sekundy weszło słońce. Dno niecki, opasujące ją ściany starego krateru, wykrojone nagle z czerni pionowe nawisie mury pięciotysięczników, wszystko to stanęło w blasku dnia. Błękitne lampki kordonu dawno już utonęły w ogniu, jak krople w oceanie. Wieżyczki, trafione podmuchem anihilacji, przestały istnieć. W słoneczną, złotą biel wdarła się fala gorejącego fioletu. Pod rufą rozszedł się powoli płomienisty rozziew. Grzmot, odbity od skalistych ścian, wrócił i ogłuszył małą gromadkę ludzi, spokojnie obserwujących ekrany i wskazania czujników.

Wszystko to nie trwało dłużej niż minutę. W następnej grzmot zaczął się oddalać i cichnąć. Dziób statku odchylił się niedostrzegalnym dla oka łukiem od osi startu. Na tarczy tachdaru pojawiła się seledynowa nitka namiaru. U jej celu leżał krążący nieruchomo wokół globu, na kształt martwego satelity, porzucony przez ludzi „Helios”.

* * *

Równocześnie — czterysta kilometrów dalej na południe — trzy potężne cygara wykonały identyczny manewr. Pozostała po nich kipiela rozpalonego piachu, zastygającego powoli w szkliste bąble.

Ludzie opuszczali drugi księżyc trzeciej planety Alfy. Opuszczali go, choć tak niewiele brakowało, a zostaliby tu na zawsze. Teraz spali w hibernatorach, aby obudzić się w pełni sił, po roku powrotnego lotu do domu. Tylko dwoje z ocalonych pozostało w kabinach, samotnych ze swoimi myślami i uczuciami. Co do innych, czuwających przy automatach... Cóż. Wpojono w nich, że tam, gdzie w grę wchodzi działanie, tam nie liczą się uczucia. A od dziecka, a nawet zanim jeszcze przyszli na świat, przeznaczono im właśnie to jedno. Działanie.

Rozdział 10

ANATOMIA CZŁOWIEKA

Ktoś zapukał do drzwi.

Wchodziliśmy w szesnaste okrążenie Dziewiątej, jednej z granicznych planet systemu słonecznego Alfy, ostatniej, na jakiej nasz zwiad fotogeologiczny wykrył obecność ziem rzadkich. Po upływie niespełna dwóch godzin „Helios” i „Proxima”, które lądowały tutaj dla uzupełnienia zapasów paliwa, miały spotkać się z nami na orbicie.

— Proszę — rzuciłem, nie odrywając wzroku od pulpitu. Wszedł Krosvitz. Chwilę marudził przy drzwiach, wreszcie przeszedł przez kabinę i stanął za moimi plecami.

— Poczekaj minutkę — mruknąłem, nie odwracając się. — Już kończę.

Rzeczywiście byłem akurat przy ostatnim wzorze. Pracowałem bez przerwy jedenaście godzin. Teraz tylko sprawdzałem wyniki. Trajektorię lotu, przyspieszenia i korytarze znałem już niemal na pamięć.

Automat zabrzączał cichym, przerywanym sygnałem, wyrzucił na ekran rozwiązanie wybranego wariantu i umilkł. Chwilę wpatrywałem się w zapis. Mocny, harmonijny wzór. Jak ostatni akord symfonii. Jeden z tych, za jakie każdy średniowieczny matematyk zapisałby duszę diabłu.

Wyłączyłem komputer i odwróciłem się z fotelem.

— Lecisz na Trzecią — stwierdził raczej, niż zapytał Krosvitz.

— Kto ci powiedział?

— Thorns. Kilka minut temu. . .

Umilkł. Oczekałem chwilę, po czym spytałem:

— Lecę. O co chodzi?

— Po Ustera?

— Powiedzmy, że po Ustera. Masz coś przeciwko temu? — sam się zdziwiłem, ile zniecierpliwienia zabrzmiało w moim głosie.

Potrząsnął głową.

— A co będzie z nami?

— Nic — rzuciłem. — Poczekacie tu na orbicie dwadzieścia dni. Ani minuty dłużej. Jeżeli do tego czasu nie wrócę, weźmiecie kurs na Lunę.

Przybliżył się o krok. Stał teraz tuż nade mną, tak, że chcąc spojrzeć mu w oczy, musiałem zadzierać głowę.

— Siadaj — powiedziałem.

Nie poruszył się. Milczał tak długo, że zaczęło mnie to już naprawdę drażnić. Wreszcie oświadczył:

— Polecę z tobą.

— Nie.

Skinął głową, jakby się tego spodziewał. Odwrócił się, zrobił kilka kroków, następnie znowu przystanął i utkwiał we mnie wzrok. Nie był wzburzony.

— Ja czekałem na tę chwilę — powiedział spokojnie. — Sześć lat. Miałem zadanie. Nie wykonałem go. Byłem razem z Usterem. Jeśli ktoś ma prawo. . .

— Ja też otrzymałem zadanie — przerwałem. — I jak dotychczas nie idzie mi najgorzej.

Przyjął to bez protestu. Wiedziałem, o co mu chodzi. Ale obydwaj mieliśmy własne rachunki. A poza wszystkim, byłem tu w końcu dowódcą.

Główny cel ekipy został osiągnięty. I to bez względu na to, czy uda mi się odnaleźć Ustera, czy nie. Po jednym facecie z Korpusu nikt nie zapłaci się na śmierć. Tak już jest.

Jeszcze tylko jedno zostało do zrobienia: pouczenie mieszkańców trzeciej planety Alfy, że z ludźmi należy postępować przyzwoicie. Można ich nie kochać. Ale w takim razie, trzeba ich się bać.

To prawda, że Krosvitz ma prawo uczestniczyć w tym ostatnim akcie pierwszego wypadu człowieka w rejon obcej cywilizacji. Mimo to postanowiłem, że będzie inaczej. Nie zmienię programu automatów celowniczych, zanim sam nie dotknę stopą ich macierzystej planety. Nie obejrzę z bliska tych miast wyrastających z kwietników. Nie zrobię wszystkiego, aby wyciągnąć stamtąd Ustera. Co do tego ostatniego, nie próbowałem w siebie wmawiać, że chodzi o naszą dawną przyjaźń. To znaczy, tylko o nią. A jednak była to moja i wyłącznie moja sprawa.

Wstałem i podszedłem do Krosvitz.

— Mamy dwudziestu sześciu ludzi na „Proximie” — powiedziałem pojednawczym tonem. — Z tego dwudziestu czterech w hibernatorach. Wiesz, w jakim są stanie. Ktoś musi być przy nich. Zostanie Snagg. Riva weźmie „Urań” i jeden ze statków satelitarnych. Najprawdopodobniej „Merkurego”. Ty będziesz się musiał przesiąść na „Heliosa”. Nie można zdalnie pilotować całej eskadry. Masz jeszcze coś do powiedzenia?

Dobrą chwilę milczał, wpatrując się we mnie nic nie mówiącym wzrokiem, w końcu wzruszył ramionami.

— Mam. Ale sam wiesz, że to niczego nie zmieni.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z kabiny. Odprowadziłem go spojrzeniem. Nie uwierzył. Oczywiście. Na jego miejscu zachowałbym się zapewne podobnie. I nic dziwnego. Byliśmy tacy sami. Bliżsi sobie niż bracia bliźniacy. O jednym tylko nie wiedział. Że kiedyś, wiele lat temu, w kręgu psychotronu centrali, dokonałem wiwisekcji na automatycznej korekturze homeostazy. Zepsułem sobie idealną równowagę ducha. Po to, żeby zachować pamięć czegoś, co nie mieściło się w kategoriach już nie tylko regulaminu inforpolu, ale i sposobu myślenia każdego z tysiąca jego członków: uczucia.

* * *

Dokładnie dwie godziny po tej rozmowie, która niczego nie wyjaśniła, bo nie mogła wyjaśnić, byłem gotów. Energetyczne grodzie „Heliosa” i „Proximy” wypełniał świeży zapas lantanowców, wystarczający dla lotu do Budorusa i z powrotem. To „z powrotem” nie wchodziło, rzecz jasna, w rachubę.

Wszystko było już omówione. Tak jak zapowiedziałem Krosvitzowi, mieli czekać tutaj, na granicy obszaru Alfy, nad globem nie większym od Plutona i równie mało przytulnym, dwadzieścia dni. Termin aż nadto długi, biorąc pod uwagę przyspieszenia, osiągnane przez zespół napędowy „Kwarka”, rakiety bojowej, przeznaczonej w zasadzie do lotów bezzałogowych. Zostawiłem sobie trzy dni na penetrację powierzchni planety. Zresztą nawet gdybym się z jakichś powodów zasiedział dłużej, mogłem sam wrócić do bazy. Rezerwy energetyczne statków satelitarnych były praktycznie niewyczerpane. Tyle że bite sześć lat miałbym spędzić w zaimprovizowanym fotelu, przed pulpitem nawigacyjnym. Na pokładzie „Kwarka” nie było hibernatora. Ani nawet umywalni. Przeniosłem tylko z „Heliosa” jeden syntetyzator koncentratów odżywczych.

Nie żegnałem się z nikim. Siedząc już w kabinie pilota, umieszczonej w samym niemal dziobie, tuż za wylotem głównego miotacza, połączyłem się z „Proximą”.

— Baza potwierdza odbiór meldunku o starcie z drugiego satelity Trzeciej — oświadczył Snagg. — Hiss pyta, czy przetrzepiesz im skórę.

— Komu?

Zaśmiał się, po czym powiedział:

— Nie poznaję ich. Opublikowali komunikat z naszymi nazwiskami.

— Uściskaj ich ode mnie — rzuciłem. — Powiedz, że się popłakałem. A przy okazji spytaj, co zrobią z tym pięknym pomnikiem na Evereście? Melduj — dodałem szybko.

Podał mi jeszcze raz apogeum równikowej orbity, na jaką wyszły wszystkie statki. Tachdar nie wykazywał śladu obecności w rejonie Dziewiątej jakichkolwiek sztucznych obiektów. Promieniowanie w normie.

— Obejmujesz dowództwo, Snagg. Schodzę z orbity — powiedziałem, uruchamiając generatory głównego ciągu.

— Tak, Al — jego głos brzmiał nadal czysto i mocno, pomimo charakterystycznego organowego akordu, jaki wypełnił nie wytłumioną kabinę. — Thorns cię pozdrawia.

— Dziękuję — mruknąłem. Powiedział jeszcze coś, czego nie dosłyszałem. Po chwili znowu. Tak, jakby rozmawiał z kimś trzecim.

— Ann również — oświadczył wreszcie. — Prosi, żebyś na siebie uważał.

Nie znam nic bardziej pożytecznego niż dobre rady. Nie wiem doprawdy, co bym bez nich zrobił.

* * *

Dobra, sprawna rakietka. Ale człowiek był w niej intruzem. Statek dawał to poznać każdym kolejnym manewrem. Przez najbliższe minuty miałem okazję doświadczyć wszystkiego, co musieli znosić piloci pierwszych statków księżycowych. Przeciężenia jak na poligonie, pod koniec ostatniego kursu. Wgniotło mnie w fotel, na klatce piersiowej spoczął dwustukilowy ciężar, zmętniałbym wzrokiem nie ogarniałem wskazań czujników, nie było mowy o doprowadzeniu do końca jakiegokolwiek myśli poza jedną: żeby się to raz nareszcie skończyło. Pottrzymało mnie tak dobre dziesięć minut. Inna rzecz, że startowałem niemal pionowo, jak z powierzchni lądu. I jednym ciągiem, bez najkrótszej chociażby aklimatyzacji etapowej, wszedłem w szybkość podrózną. Zwykle unika się tego w obszarze układu planetarnego. Pełno tam zawsze meteorów, odprysków starych planet i satelitów, jakichś zabłąkanych asteroidów. I chociaż okolice Alfy były pod tym względem bez porównania czystsze niż sąsiedztwo naszego słońca, wolałem nie ryzykować. Wyszedłem wysmukłą parabolą z płaszczyzny ekliptyki, dokładnie tak, jak przewidziałem w programie lotu. Neuromat „Kwarka” działał bez zarzutu.

* * *

Czwartego dnia osiągnąłem cel pierwszego etapu. Znowu doświadczyłem pionierskich rozkoszy, tym razem w związku z pracą hamownic. Na orbitę wszedłem jak po sznurku. Wyłączyłem silniki i przeprowadziłem pomiary. Przede wszystkim wysłałem dwie sondy. Minęło trzydzieści minut, później godzina, a automat w dalszym ciągu rejestrował ich meldunki. Ale też glob, nad którym zawisłem na wysokości stu dziewięćdziesięciu tysięcy metrów, nie był satelitą Trzeciej. Nie był również planetą. Wybrałem pierwszy księżyc Czwartej. Głównie dlatego, że jak wskazywały pomiary i tak w okresie najbliższych stuleci miał wejść w strefę Roche'a. Dawało to pewność, że nie instalowali na nim baz załogowych, najwyżej jakieś radiolatarnie czy automatyczne instrumenty badawcze.

Pobyłem na orbicie tak długo, ile było trzeba, aby nabrać pewności, że ich stacje sygnałowe zdążyły mnie wysledzić i przekazać mieszkańcom systemu wiadomość o powrocie jednej z ziemskich rakiet. Potem zająłem się miotaczem.

Nie był to duży glob. Mniej więcej sześćdziesiąt razy mniejszy od Luni. I znacznie starszy. Ale kiedy, odszedłszy na bezpieczną odległość, wystrzeliłem w niego cały jednorazowy zapas energetyczny wszystkich akceleratorów „Kwar-ka”, myślałem, że jestem świadkiem wybuchu supernowej. Martwy od milionów lat, wysuszony do cna, pozbawiony nawet kraterów satelita przypominał sobie wieki gwiazdowej świetności. Rozgorzał jak słońce w straszliwych wybuchach plazmowej protuberancji, powiększając swoją objętość niemal dziesięciokrotnie. Piękna śmierć. I szybka. W ciągu najbliższych nie lat, ale dni rozpadnie się jak zeschły, wypalony owoc, zdobiąc macierzystą planetę barwnym, jeśli patrzeć z odległości milionów kilometrów, pierścieniem krystalicznych okruchów.

Nie czekając na to, w dosłownym znaczeniu, uwieńczenie własnego dzieła zniszczenia, przesłałem krótki meldunek Snaggowi i wziąłem bezpośredni kurs na Trzecią. Jak dotąd, wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Zostali uprzedzeni. Jeżeli nie chcą, aby ich planetę razem ze wszystkim, co na niej stworzyli, spotkał ten sam los, co martwego satelitę Czwartej, powinni być grzeczni. Skąd mieli wiedzieć, gdzie kończą się możliwości przybyszów. Nie znali antymaterii. To wydawało się pewne. Inaczej dawno już uporaliby się z nami. Prędko i higienicznie.

* * *

Obraz oglądany w ekranie czołowym rozmazał się, pokryła go barwna, popękana mozaika. Tak wygląda przelot płomieni tryskających z hamownic. Wprawowany w twarde fotel, na pół przytomny, pierwszy raz w kabinie pozbawionej automatów wyrównawczych i pierwszy raz po przeszło sześćioletniej przerwie wchodziłem w atmosferę.

Granat firmamentu spłówał i roztopił się w słonecznej bieli, ale zanim to nastąpiło, gwiazdy zaczęły filować. Pierwszy sygnał, że nie jest się już w próżni. Podo mną rozpostarł się dywan chmur jak powierzchnia mlecznego jeziora lekko zmarszczona od wiatru. Ułamek sekundy i ich strzępy, nagle rozplomienione, przeleciały wzdłuż iluminatorów.

Teraz, na jedno mgnienie, uderzyłem dyszami głównego ciągu.

Zaraz potem zmieniłem napęd na chemiczny. „Kwark” ciężkim łukiem wyrwał się z lotu koszącego i przeorał niższe warstwy obłoków wszedł w niemal poziomy ślizg.

* * *

Srebrzystą łuską lśniła powierzchnia oceanu. W oddali zarysowała się regularna, aż zbyt regularna linia brzegu. Już byłem nad nią. Szybkość lotu wciąż jeszcze za duża dla jakichkolwiek bezpośrednich obserwacji. Pomimo to przybliżyłem i powiększyłem obraz na bocznym ekranie. Szczyty, przełęcz, niteczki rzek i nagle pierzchające obrzeża dolin przewalały się barwnymi pasami. Góry pociemniały, po czym raptem zapadły w głąb. Otworzyła się nieobjęta wzrokiem równina. Leciałem prosto na wschód, wzdłuż równoleżnika, odpowiadającego mniej więcej ziemskiemu zwrotnikowi Koziorożca. Ponownie wpadłem w noc. Przez najkrótsze mgnienie, tam gdzie planeta wygasła wąskim, jakby narzuconym na powierzchnię pasem cienia, wypatrzyłem mrowisko drobniutkich świateł. Wyglądało z góry jak jedna lampka, przykryta miniaturową siatką na motyle. Nie inaczej przedstawiają się ziemskie miasta na nocnej półkuli, kiedy podchodzi się do lądowania. Potem, już w zupełnym mroku, który bezskutecznie usiłowały rozproszyć tarcze dwóch księżyców, dających w sumie mniej światła niż nasza Luna, kilkakrotnie jeszcze mignęły mi podobne skupiska świetlików. Ale postanowiłem już, że będę lądował przy tym pierwszym, tam gdzie teraz jest świt, zaraz za linią gór odgradzających brązową miedzą rozległą równinę od przymorza.

* * *

Kiedy promienie słońca ponownie trafiły w soczewki iluminatorów i prze-strzeliły ekrany, znajdowałem się na wysokości nie przekraczającej dwunastu tysięcy metrów. Minąwszy brzeg oceanu poszedłem w dół, aby przemknąwszy nad czubami górskiego pasma uderzyć pionowym słupem w niebo. Bezbłędnie. „Kwark” znieruchomiał, zawisł jak wyrzucona w powietrze wieża, ziejąc ogniem otwartych dysz rufowych prosto w niewielką kotlinę, pośrodku której widniały wypiętrzenia smukłych zabudowań.

Schodziłem spokojnie, nie przyspieszając, jakbym dawał pokaz pilotażu. Ściany kabiny jęczały, obudziło się w nich wibrujące granie, z wytłumieniem stanowczo nie było najlepiej, ale mimo to w pewnej chwili uderzyła mnie nagle niezwykła cisza. Chwilę wyteżałem słuch, wreszcie zrozumiałem. Niepojęte dla ziemskich komputerów sygnały nadajników, jakimi posługiwali się mieszkańcy układu Alfy, sygnały, do których przywykliśmy tak, że żaden z nas już ich w gruncie rzeczy nie słyszał, urwały się jak nożem uciął. Wiedzą — przemknęło mi przez myśl. Tak jakbym potrzebował i tego jeszcze sprawdzianu. Ogłosili ciszę radiową. Dokładnie tak samo postępujemy w naszych bazach planetarnych lub satelitarnych, kiedy grozi niebezpieczeństwo i kiedy cały eter czeka na jeden jedyny sygnał alarmu lub komunikat odwołujący pogotowie.

Lądowałem. W ekranach widziałem już wyraźnie czarne smugi, rozbiegające się z miejsca trafionego odrzutem. Jeszcze jedna, ostatnia korekta wprowadzona przez zespoły kierunkowe neuromatu, tak nieznaczną, że ktoś mniej obyty z lotami nie byłby w stanie niczego zauważyć i z hukiem plazmowego huraganu zmieszał się dźwięk, zawsze przyjazny: zgrzyt wypuszczanych z kadłuba kratownic z ogromnymi teleskopowymi amortyzatorami. Wszystkie ekrany zasnuły się w jednej chwili kłębamii ognia i dymu, grunt był tuż, niemal fizycznie czułem, jak drży, darty strumieniem gazów, wreszcie nadszedł ten jeden cios, krótki, pewny, jak uderzenie ołowianej kuli padającej na piasek. Stałem.

* * *

Natychmiast, nie spuszczać oka z okienek wskaźników, z palcami lewej dłoni zawieszonymi nad kontaktami, wysłałem kod Snaggowi. Odbierze, jak dobrze pójdzie, za kilkanaście minut. Ale nie pozwoliłem mu potwierdzać odbioru. Nie chciałem am na sekundę tracić z pola widzenia tego, co działo się tutaj.

Na razie jednak nie działo się nic. Chmura wzniecona przez odrzut siadającej rakiety opadała szybciej, niż mogłem przypuszczać. Ekran przecierały się z każdą chwilą, błysnął najpierw skrawek nieba, błękit, czysty, bez żadnych domieszek, potem ukazały się chmury, wreszcie pod nimi zaśniły promienie słoneczne, odbite od szczytów strzelistych, powleczonych jakby barwnym szkliwem budowli. Mogłem sobie postawić niezłą notę. Siadłem mniej więcej półtora kilometra od pierwszych konstrukcji miasta.

* * *

Znałem to miasto. Może nie to. Takie miasto.

Taka sama kwiecista łąka. Bez śladu linii przesyłowych, torów i dróg. Ściągająca się do stóp olbrzymich, odwróconych stożków lub owalnych, lecz niesłychanie wydłużonych wież, opasana niskimi górami, jakby związanymi promieniście z wierzchołkami napowietrznych konstrukcji. Po mistrzowsku wkomponowano to miasto w krajobraz. Łąka, dokładnie tak jak na obrazie wyświetlonym nam wówczas w podziemiach, przemykała pod nim, opływała punktowe podstawy budowli i biegła szerokim prześwitem dalej, nie tracąc nic ze swojej soczystej bujności i świeżości kolorów.

A jednak było to inne miasto. Film, jeśli program wprowadzony w projektorry pozostawione na drugim satelicie można nazwać filmem, zrobiono z tej samej mniej więcej perspektywy, z jakiej teraz „patrzyły” kamery „Kwarka”. Ale tamto miasto było większe, jego wieże i stożki wznosiły się wyżej, więcej łączyło ich dróg, przypominających fantazyjnie rozrzucone karnawałowe serpentyny. Oczywiście nie liczyłem na to, że odnajdę oryginał obrazu wybranego przez mieszkańców planety, aby reprezentował ich cywilizację. Nie było mi to zresztą do niczego potrzebne.

Wydawało się oczywiste, że rozwinęli tylko dwa rodzaje komunikacji: powietrzną i podziemną. Jakież koleje grawitacyjne i tym podobne. Mniejsza z tym. Obchodziło mnie tylko to, jaki użytek zrobią ze swojej łączności. Byłoby z mojej strony szczytem naiwności szukać miejsca, gdzie trzymali Ustera. Nawet gdybym tam wreszcie jakimś cudem trafił, musiałyby mi to zająć lata. Planeta jest mniej więcej rozmiarów Marsa.

Nie. Niech mi go przyślą tutaj, gdzie wylądowałem. Z powietrznej komunikacji nie zechcą chyba skorzystać. Podczas obydwóch okrążeń globu ani razu nie dostrzegłem śladu maszyn latających. Przyczaili się. Proszę bardzo. Nie moja rzecz, jak to zrobią.

Na szczęście miałem do czynienia ze społeczeństwem zintegrowanym. Nawet jeśli w swojej ekspansji kosmicznej nie przekroczyli dotychczas progu własnego systemu słonecznego, to choćby tylko ze sposobu zasiedlenia okolicznych planet przebijała prawda o ich dynamice społecznej. Zupełnie inaczej poczynalaby sobie rasa skłócona lub podzielona wewnętrznie. A skoro tak, to dla mieszkańców miasta, przed którym akurat stałem, porozumienie z ośrodkiem, gdzie przebywa Uster, będzie tylko kwestią czasu. Oczywiście, jeśli żyje. Gdyby miało być inaczej...

Wolałem o tym nie myśleć. Na razie.

Nie śpiesząc się, wstałem i przeszedłem do śluzy. Przygotowałem wszystko jeszcze przed odejściem z orbity Dziewiątej. Jeden podręczny generator laserowy i projektor holowizyjny z pełnym zestawem kontaktowym. Ważył chyba z dziesięć kilo, ale umieściłem go na stelażu butli tlenowych. Te przynajmniej nie były tu potrzebne. W śluzie nie odezwała się ani jedna sprężarka. Nad górną krawędzią włazu świecił napis: „Ziemia”. Oto, jak łatwo oszukać automaty. Trochę helu, trochę argonu, szczypta dwutlenku węgla, niemal połowa tlenu — i zaraz „Ziemia”. Ale automat brał pod uwagę jedynie przydatność powietrznej mieszanki dla pęcherzyków płucnych człowieka. A atmosfera była tutaj, trzeba przyznać, bez porównania lepsza niż na naszej macierzystej staruszcze.

* * *

Kłapa windy opadła z jęklwym zgrzytem. Nie chcąc ani na chwilę tracić z pola widzenia miasta i poprzedzającej go równiny, ustawiłem się tyłem do uchwytów. Właz był tuż pod dziobem, a rakieta miała pięćdziesiąt sześć metrów wysokości. Licząc razem z podporami, którymi wparła się w grunt.

Platforma znieruchomiała. Przebrzmiało ciche sapnięcie pneumatycznych amortyzatorów. Nie odczułem wstrząsu. Stałem na powierzchni Trzeciej planety Alfy. Jeszcze niezupełnie. Jeszcze czułem pod stopami stal konstrukcji ziemskiego statku. Małą, owalną płytę windy. Jakby mnie zaczarował ten skrawek metalu lub przyssał podeszwy moich butów polem magnetycznym. Nie wkładałem próżniowego skafandra. Tu nie był potrzebny. Na wszelki wypadek wziąłem tylko kask z całym oprzyrządowaniem.

Spojrzałem pod nogi. Wypalona na kość gleba bielą centymetry przed czubkami moich butów. Mimo to, kiedy wreszcie zdecydowałem się opuścić platformę, uniosłem stopę wysoko, jakbym przekraczał wysoki próg.

Teraz szedłem już nie zatrzymując się, aż grunt zmienił barwę, z bieli przeszedł w jasny brąz, w który wmieszał się fiolet, aż wreszcie zacząłem deptać żół-

kłe, ocalone źdźbła roślin. Jeszcze parę kroków i wkroczyłem w wysoką trawę. Krąg martwej ziemi, po krytej miałkim, białawym pyłem, wszystkim, co zostało z łąki trafionej ogniem lądującej rakiety, został poza mną.

Przeszedłem już więcej niż kilometr, kierując się stale w stronę podstawy najbliższej budowli i ani razu nie spoglądając za siebie. Powietrzne estakady, opasujące spletanymi ślimacznicami wieże miasta, dawno już rozrosły się do rozmiarów owej rynny, której trzymał się „Phobos” w czeluściach satelitarnej bazy. Ruchome żuki, jak je nazwaliśmy, osiągnęły wielkość ziemskich żyrobusew. Wypukłe ściany pierwszych konstrukcji wznosiły się stromo, musiałem zadzierać głowę, chcąc dosięgnąć wzrokiem ich wierzchołków.

Wtedy stanąłem. Powoli zsunąłem z ramion stelaż i rozłożyłem na trawie stojak projektora aparatury holowizyjnej. Rozpiąłem jego półkoliste skrzydła i usztywniłem je magnetycznymi taśmami. Sprawdziłem zasilanie. Następnie odszedłem kilka kroków, ciągnąc za sobą kabel projektora. Sam aparat postawiłem na trawie, w zasięgu ręki.

Wtedy w obrazie miasta zaszła zmiana. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, o co chodzi. Nie czekałem jednak długo na wyjaśnienie.

Ażurowe tarasy, pozornie zawieszzone w powietrzu na nie istniejących sieciach, strome spirale i ślimacznice dróg, wszystko to nagle opustoszało. Jeszcze kilkanaście sekund, jeszcze u wylotu jednej i drugiej poboczniczy mignęła wydłużona sylwetka zapóźnionego „żuczka” — i żywy, tętniący ruchem organizm miejski przeistoczył się na moich oczach w powiększoną do absurdalnych rozmiarów martwą makietę, obrazującą wizję awangardowej grupy urbanistów.

Podczas całego lotu i później już, kiedy metr po metrze zbliżałem się do podnóża kompleksu gmachów, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ktoś wyjdzie mi na spotkanie. Nie spodziewałem się jednak, że tak przede mną zrejterują. Brakuje tylko, żeby całkiem opuścili miasto, podobnie jak postąpili z drugim satelitą, nawiedzonym przez istoty z Ziemi.

A może takie właśnie wyjście dyktuje im przyjęta i obowiązująca obyczajowość, etyka ich rasy? Może ich społeczność wykształciła i narzuciła sobie prawo, stanowiące swego rodzaju parodię staroindyjskiej zasady nieprzeciwstawiania się złu? Prawo tak konsekwentnie od wieków przestrzegane, że nie mieści im się w głowie, aby można było od niego odstąpić, nawet wtedy, kiedy zło, jak chyba przecież sądzili, spotyka całą ich cywilizację?

W takim wypadku doprawdy mógłbym im tylko współczuć. Ale ta ostatnia hipoteza, ba, nie hipoteza nawet, lecz jakieś pseudo-filozoficzne domniemanie, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. I to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze rasa kierująca się takimi zasadami nigdy nie osiągnęłaby wielkości. Po drugie... ludzie. To co z nich uczyniło kilkuletnie przebywanie w kręgu tej cywilizacji.

Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem frontowe budowle miasta, ich strzeliste bryły o litych, połyskujących pastelowo ścianach. Kompletny bezruch. Cisza. Nigdzie wjazdu, drzwi, jakiegokolwiek otworu, który kojarzyłby się z czymś takim jak okno.

Stałem tak już dobre piętnaście minut. Dość. Nic, tylko ta martwa obojętność wspaniałych form, ciągle to samo wrażenie ostatecznego opuszczenia.

Spokojnie, jakbym powtarzał regulamin, przystąpiłem do dzieła. W gruncie rzeczy cały czas czułem, że jestem pod obserwacją. Może setek par oczu. Może milionów. Powiedzmy, za pośrednictwem telewizji.

Wziąłem w ręce miotacz laserowy i, unosząc jego wylot pionowo w górę, zwolniłem spust.

Ku mlecznym, pierzastym obłokom trysnęły jaśniejsze od słońca nitki. Pochyliłem się do przodu. Wiązka promieni przecięła powietrze centymetry nad płaską kopułą najbliższej budowli. Trzymałem miotacz pewnie, oburącz przyciskając uchwyt do piersi. Kierunek ognia korygowałem ruchami całego ciała. Nie mogłem się pomylić.

Trzy punktowe uderzenia. Trzy dłuższe. Pauza.

Ostrożnie, milimetr po milimetrze naprowadzałem promienistą prostą w prześwit między ścianami konstrukcji. Teraz musieli pojąć, że nie chodzi o atak. Że sygnalizuję.

Jeden krótki błysk jak sekundowy refleks potężnej soczewki, następnie dwa, trzy i tak do dziesięciu. Przerwa. I od początku.

Nic. Od kiedy pierwszy raz dotknąłem spustu, minęło dziesięć minut. Długich jak lata. Osiem razy przejechałem nasz system dziesiętny. Byłem w połowie dziewiątej serii.

Skończyłem, chwilę stałem jeszcze nieruchomo, ściskając krótką rękojęść miotacza, wreszcie wyprostowałem się powoli i opuściłem ręce. Rzuciłem aparat przed siebie, w trawę. Upadł miękko, bezgłośnie, jakby trafił na kupę pierza. Łąka była gęsta i bujna. Rośliny bardziej mięsiste i wyższe niż nasze. Poza tym niezwykle elastyczne, a równocześnie jakby obłożone gąbczastą masą. Kiedy szedłem w stronę projektora, poddawały się podeszwom moich butów jak puszysty dywan. Początkowo niewyczuwalnie, potem sprężyste i bez najmniejszego szmeru. Kiedy unosiłem stopę, natychmiast wstawały, prostowały łodygi, podobne do wysmukłych, rozdwojonych na końcu palców, tak że po upływie kilku sekund nie potrafiłbym już wskazać miejsca, gdzie przed chwilą spoczywała moja stopa, unosząca cały ciężar ciała.

Zatrzymałem się przed aparaturą holowizyjną i sprawdziłem ekranizację łączy. Nie było żadnych przebić ani wpływów. Zwróciłem się do projektora. I wtedy kątem oka dostrzegłem, że w mieście coś zaczyna się dziać.

Nie. To nie działo się w mieście. Przemknęło mi przez myśl, że ulegam halucynacji. Zamknąłem oczy.

Obraz zniknął. Czyli, że istniał w rzeczywistości. Pomimo że nie przypominał żadnej ze znanych projekcji. Nie potrafiłem umiejscowić go w jakiegokolwiek konkretnej płaszczyźnie. Jakby mimo wszystko rzecz rozgrywała się tylko w mojej wyobraźni.

Widok miasta zatarł się, budowle i spinające je napowietrzne szlaki osnuła delikatna mgła. Wysoko na niebie, sięgając łukiem powyżej linii horyzontu, zarysował się pierścień kolorowej tęczy. Pozostał tak nie dłużej, niż było trzeba, aby jego kształt dotarł do mojej świadomości. Łuk zaczął się zacieśniać, wielobarwny pierścień zbliżał się malejąc, wbrew wszelkim prawom optyki. Równocześnie pasma fioletu, różu, złota i purpury wyostrzyły się. Niby przezroczyste, zaczęły jednak przesłaniać wszystko, co znajdowało się za nimi. Pierścień czy raczej już unoszący się pionowo krąg podpłynął ku mnie łagodnym, ale niezbyt wolnym lotem. Wszędzie, gdzie w danym momencie patrzyłem, widziałem równocześnie i tę zwiniętą tęczę, i wyraźnie rysujące się w perspektywie miasto.

Znowu przymknąłem oczy. I znowu wszystko znikło. Pomyślałem, że mają aparaturę, zdolną pobudzić umysł człowieka do plastycznych wyobrażeń rozmaitych form, barw, konstrukcji, może nawet pojęć, na przykład wzorów. Ale w takim razie obraz zachowałby tę samą wyrazistość bez względu na to, czy miałem powieki otwarte, czy zamknięte. Nie.

Przestrzenna projekcja. Bez porównania bardziej „przestrzenna” niż program zademonstrowany nam w podziemiach satelity.

Tęczowy ślimak przestał się zbliżać. Odruchowo postąpiłem kilka kroków do przodu. Czułem pod stopami łagodną sprężystość łąki. Aparatura projektowa została za moimi plecami, zapomniałem o jej istnieniu.

Gdzieś daleko, jakby w innej rzeczywistości, czekała moja rakietka z otwartym włazem i gotową unieść mnie przy najbliższym dotknięciu platformą windy.

Pierścień, nieruchomy teraz, jakby równoległy w czasie do całego wycinka obcego świata, jaki miałem przed oczami — ale tylko w czasie — nie był martwy. Przeciwnie. Jego barwy przemawiały tak, jak przemawia kolor oczu człowieka. Pozornie niezmiennie te same, przecież wyrażały coś, i czułem, że mogą wyrazić bardzo wiele.

Nagłym ruchem sięgnąłem do kryzy skafandra i odrzuciłem kask. Upadł kilka metrów dalej, równie bezgłośnie jak przed chwilą ciężki generator miotacza. Poczulem wiatr. Właściwie powiew, dotykający tylko skóry na policzkach i koniuszkach włosów. Głęboko zaczerpnąłem powietrza. Było niezwykle lekkie i orzeźwiająca. Wydawało mi się, że czuję jego smak na języku i podniebieniu. Ale to tylko zapach. Teraz dopiero odkryłem, że łąka wydziela woń dorodnych, aromatycznych jabłek. Cierpką, a równocześnie jakby słoneczną.

Utkwiłem wzrok w trwających nieruchomo pierścieniach tęczy. Raptem zauważyłem zbliżające się do jej zewnętrznego kręgu szpiczaste ostrze czarnego klina. Przez mgnienie krawędź łuku zachowała jeszcze niezmacony profil. Nagle

prysła, rozpekła się pod dotknięciem czarnej klingi, w ułamku sekundy fiolet zewnętrzny pasa zmętniał, zbladł, poszarzał jak szlachetna tkanina polana stężonym kwasem. A ostrze nieubłaganie szło dalej, przeniknęło pas fioletu i pograżyło się w sąsiadującej z nim słonecznej żółci. W jednej chwili spotkał ją ten sam los, co barwę skrajnego pierścienia, nie było już granicy, tylko jedna zmętniała szarość, z której uciekło życie. Klin rozdzierał już tkanki purpury. Nie potrafiłbym powiedzieć, skąd się wziął. Najwyraźniej rysowało się jego szpiczaste zakończenie, atakujące tęczę, dalej kontury nie były już tak mocne, wreszcie, niepostrzeżenie, jednoczył się z tłem, jakie stanowiła spowijająca miasto mgiełka.

Po całym wielobarwnym kole pozostała szara, potargana, jajowata tarcza. Nikt, kto nie był świadkiem odegranej przed chwilą sceny, nie odgadłby, jak wyglądała jeszcze dwie minuty temu. I nie to było najgorsze, że unicestwiono piękno, wyrażone w przedziwnej treści kolorów. Tamta tęcza żyła. Zademonstrowano mi historię zagłady. I nie trzeba było wielkiego wysiłku umysłowego, aby pojąć, komu przypadła rola czarnego klina.

Pośrodku martwej tarczy coś zalśniło. Jakby mikroskopijna plamka fioletu. Natychmiast otoczyła się grubiejącą w oczach skorupą czerni. Czerni tak soczystej i głębokiej, jakiej nie zdarzyło mi się jeszcze oglądać. Zaraz w następnej chwili poczęła pęcznić, rozrastać się zwartym, regularnym kręgiem. Zajaśniała żółć, jakby otworzono okrągłe, słoneczne okno. Potem czerwień. Wewnątrz zabitego pierścienia rozwijało się nowe życie. Tylko pas fioletu nie stanowił już granicy. Przed nim szła gęsta, pancerna obręcz czerni.

Klin, dokonawszy dzieła zniszczenia, znieruchomiał. Teraz zewnętrzny krąg odrodzonego koła tęczy dotknął już w swoim pochodzie jego ostrza. Klin opierał się chwilę, ale wkrótce jego szpiczasty dziób uległ. Ostrze wywinęło się w przeciwną stronę, jak odwrócona rękawiczka, i naciskane od tyłu przez rozrastającą się skorupę czerni, poczęło pruć swój macierzysty korpus.

Proces przebiegał coraz szybciej. Klin dalej zachował pozorny bezruch. Tylko od strony nowego pierścienia barw stawał się coraz bardziej płaski. Własna broń, jaką dokonał przedtem dzieła zagłady, wnikała teraz coraz głębiej w jego ciało.

Krąg wypełnił się i rozwinął. Wrócił do pierwotnych rozmiarów. Barwy były znów żywe, znów wyrażały niezrozumiałe dla mnie treści. Zatrzymowała urzekająca, niemal muzyczna harmonia linii i gry pastelowych kół. Coś się jednak zmieniło.

To już nie bezbronny fiolet biegł skrajnym pasmem okalającym pozostałe. Dostępu do niego strzegła gruba warstwa czerni. Z boku, zepchnięty, stępiony i zniekształcony, podobny bardziej do nieforemnej kuli aniżeli do ostrego trójkąta, majaczył wrak klinowatego intruza.

* * *

Czy chciano mi wyjaśnić genezę pamiętnych czarnych kul, „piguł”, jak je nazywaliśmy? Mało prawdopodobne. A sam klin, rozdzierający żywe ciało barwnych pierścieni? Te ostatnie mogły oznaczać ich cywilizację. Lub najwyżej przez nią cenione wartości. Czym byłby więc ów intruz? Symbolem wszelkiej, nagłej, brutalnej zmiany? Najściem obcej rasy? Czy mogło chodzić o „Monitor”? Należało wątpić. Wyglądało na to, że system obrony i owe „psychologiczne” projekcje były przygotowane dużo wcześniej. Może więc miałem rację, przypisując to, co spotkało tutaj ludzi, wcześniejszym i niezbyt dobrze wspomnianym doświadczeniom mieszkańców planety wyniesionym z wizyty, jaką złożyli im kiedyś przedstawiciele innych gwiazdnych kultur?

Bacznie patrzyłem, co będzie dalej, z nadzieją, że kolejne ruchy przestrzennego obrazu ułatwią mi sprecyzowanie hipotezy, w którą sam od biedy byłbym w stanie uwierzyć. Ale nic się już nie działo. Tylko tęcza zgasła nagle jak zdmuchnięta, mgła spowijająca miasto rozproszyła się w mgnieniu oka i znowu miałem przed sobą jedynie jego strzeliste, pobłyskujące w słońcu konstrukcje.

Odczekałem dłuższą chwilę, potem — jak ktoś zbudzony raptem z najgłębszego snu — rozejrzałem się nieprzytomnie dokoła.

Parę kroków dalej leżał, zagłębiany do połowy w trawie, bo tak nazywałem w myślach rośliny porastające kotlinę, białozielonkawy kask. Nieco na prawo rozchylone czubki łodyżek znaczyły podługowaty kształt miotacza.

Pachniało jabłkami. Ukłakłem i zdjąłem rękawice. Rozstawiłem palce i przejechałem nimi przez miękki, delikatny gąszcz. Ścisnąłem w garści pęczek roślin i próbowałem je wyrwać. Wyśliznęły mi się, pozostawiając między palcami jedynie kilka płatków kwiatu o barwach, które próżno siliłbym się porównać do jakichkolwiek znanych z naszych łąk czy parków. Każda łodyżka wypuszczała dwa talerzowate skrzydła o konchach przypominających przekrojone na pół pomarańcze.

Wyprostowałem się, nie wstając z kolan. Moje palce pachniały teraz jabłkami. Ale z bliska wyczuwało się jeszcze inną woń towarzyszącą, jakby morszczyynu. Powiedzmy, jabłka, świeże jabłka, zwalone na plaży, tam, gdzie dobiega fala oceanu.

* * *

Wstałem. I musiałem się uśmiechnąć. Od początku byłem zdecydowany, że przylecę tutaj sam. Ale nigdy dotychczas nie czułem tak mocno, że było to jedyne, co mogłem zrobić.

Cokolwiek znaczył ów seans, na pół malarski, na pół symboliczny, wynikało z niego jedno.

Nie będą z nami rozmawiać. Gdziekolwiek się pojawię, pod każdym innym miastem, na którymkolwiek satelicie, pochowają się, ucichną i co najwyżej pokażą mi znowu coś, z czego powinienem wywnioskować, jak bardzo jestem tutaj niepożądany.

Zgoda. Nie będziemy się narzucać. Zostawimy ich drzemiących w niezmacnym, harmonijnym łądzie, pozbawionym wszelkiego ryzyka i wszelkich nadziei. Przynajmniej w ludzkim rozumieniu tych słów. Usiłowałem zdziwić się tą myślą. Tym, że tak łatwo zdecydowałem się odejść. Ale nie potrafiłem. Ta myśl tkwiła we mnie już od dawna. Przynajmniej od momentu, kiedy dotknąłem stopą ich planety. Jeśli nie dopuszczałem jej do głosu, to oszukiwałem się tylko.

A więc dobrze. Niech oddadzą Ustera. Dla niego... nie, nie dodawajmy do starych nowych kłamstw. Zrobiłem to dla siebie. Ja. Facet z Korpusu.

Ale jeśli się lepiej zastanowić, to czemu właściwie mam zawdzięczać fakt, że teraz oto stoję tutaj oko w oko z cywilizacją rozkwitłą w ekosferze obcego słońca? Akceleratorom antyprotonów, którymi mogę w ułamku sekundy przemienić kwitnący glob w krater czynnego wulkanu? Automatom?

Nie. Automaty zawiodły. Nawet nie. Po prostu zrobiły tyle, na ile je stać. To i tylko to, co zawierały ich programy. Opracowane przez ludzi na podstawie precyzyjnych, naukowych przewidywań. Ale co można przewidzieć, ruszając ku gwiazdom?

Bezużyteczna stała się tutaj nawet doskonała aparatura łączności, zapewniająca mieszkańcom Ziemi społeczną mądrość działania. A nawet system synchronizujący łączność wewnątrz układu nerwowego jednego człowieka. W jednej chwili odebrano nam możliwość optymalnego korzystania z całego zasobu wiedzy, wzorców i schematów postępowania, zawartych w ośrodkach pamięciowych mózgu.

A jednak jestem tutaj. Wygrałem. Dzięki temu, co drzemało we mnie od lat, czy może od pokoleń, a z czego obecności nigdy nie zdałem sobie sprawy, bo nie było mi to do niczego potrzebne. Co więcej, nauczono mnie, przeznaczonego do działania bez ryzyka porażki, że tego czegoś nie ma i być nie powinno, bo gdyby istniało, podważałoby tylko skuteczność podejmowanych akcji.

Teraz dopiero ogarnąłem myślą cały fałsz, całą powierzchowność wniosków, jakie wysnuli mieszkańcy planety z obserwacji ludzi, poddanych działaniu stref

zerowych. Żalną niedoskonałość kryteriów, jakimi się posłużyli, odczytując i interpretując projekcję ich pól mózgowych.

Te istoty szanują jak my piękno, ciszę, harmonię. Ich cywilizacja jest łagodna i doskonale zintegrowana. Ale mimo wszystko są nam obcy, jak obcy może być tylko pozaziemski świat. Nie znają nas i nie rozumieją. Nigdy nie zrozumieją. Pozostaniemy im nie znani, nawet jeśli sami, ze swej strony, ich cywilizację i rządzące nią prawa zgłębimy do końca.

Bo nam powiodłoby się to ponad wszelką wątpliwość. Dlatego, że jesteśmy bardziej skomplikowani. Że nosimy w sobie spadek pokoleń, których dzieje były pasmem okrutnych, tragicznych pomyłek i nieustannej szarpaniny o każdy mały krok naprzód. Że nie wypieramy się tego spadku. Człowiek nigdy nie wypierał się tkwiącego w nim zła. Ale nigdy się z nim nie godził. I przecież wyszliśmy zwycięsko z kryzysu cywilizacyjnego. A jeśli nawet część tego świata, który pokazali nam w podziemiach, tkwi jeszcze w naszej podświadomości, to tym lepiej. My nie będziemy otaczać tęczy kół naszej współczesnej cywilizacji pancerną skorupą czerni. My poradzilibyśmy sobie inaczej z przybyszami z gwiazd, skoro radziliśmy sobie z czymś bez porównania trudniejszym: z sobą.

Jesteśmy bardziej skomplikowani. A więc bardziej uniwersalni. I dlatego oni będą trwać teraz w bezruchu łagodnej harmonii, zasklepieni w błogostanie terażniejszości, aż wszystkie inne rasy pozostawią ich daleko za sobą. Przebytuja w pokoju setki, może tysiące lat, odcięci od własnych, niechby nawet bolesnych, tradycji i od własnej przyszłości. Nic ich już nie czeka. Ich miasto, zawieszone nad pachnącą jabłkami połoniną, jest miastem śmierci. Jak cały ten urzekająco piękny glob.

Nie będziemy im się narzucać. Odejdziemy. Niech tylko załatwią to, co zostało jeszcze do załatwienia.

O zestawie kontaktowym, jaki przyniosłem w zasobniku projektora, już nawet nie myślałem. Coś muszę jednak zrobić. Dać im jakoś do zrozumienia, na co czekam. Żeby wiedzieli, że bez niego nie odejdę.

Gdybym miał fotografię Ustera... ba, gdyby.

Zaraz. Mam przecież... ależ tak. W zestawie kontaktowym są plansze przedstawiające budowę człowieka. Mężczyzny.

Przerzuciłem pośpiesznie komory zasobnika. Jest. Mężczyzna, kobieta, dziecko. Anatomia, układ nerwowy, krwionośny, kościec, mięśnie. Pełna prezentacja gatunku, który przybył z przestrzeni galaktycznej i teraz oto ceremonialnie przedstawia się gospodarzom. Śmiać mi się chciało.

Założyłem serię plansz. Połączyłem obwody. Przed miastem, wysoka na jakieś pięćdziesiąt metrów, zarysowała się w powietrzu sylwetka mężczyzny. Wyostrzyłem obraz.

Była to chyba trzecia czy czwarta z pierwszego szeregu plansz, demonstrujących rasę zamieszkującą Ziemię. Ogólna budowa, ale już w powierzchniowym

schemacie anatomicznym. Ostre rysy twarzy, kości policzkowe, ściągnięty podbródek. Nos i oczy w zewnętrznym kształcie. Ale pod sklepieniem czaszki widniały zwoje mózgowe.

Model przedstawiał wysokiego, silnie umięśnionego faceta, takiego jak Uster. I nawet w rysach twarzy, zwłaszcza dolnej jej części, z ustami i twardo zarysowanym podbródkiem, dostrzegłem pewne podobieństwo.

Odruchowo zmieniłem planszę na następną, odwróciłem się twarzą do miasta, przeszedłem kilka kroków i usiadłem na trawie. Miałem wrażenie, że pograżam się w pianowym czólnie jakiejś wyrafinowanej modelowanej leżanki. Wiatr zburzył mi włosy, łączył intensywny zapach roślin z orzeźwiającym ruchem powietrza, wokół panowała cisza, talerzowate kwiaty, rude i błękitne, sięgały mi do piersi. Jeśli są kwiaty — przemknęło mi przez myśl — powinny być także owady. Ale nie było w powietrzu brzęczenia, jakie zawsze unosi się nad ziemskimi łąkami. Nie dostrzegłem śladu żywych stworzeń.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tak siedziałem. Ogarnął mnie niezwykły spokój, przenikający wszystkie najdrobniejsze włókna nerwowe. Krótko mówiąc, było mi dobrze.

Cichy, łagodny świat. Można w nim żyć bez problemów i kłopotów. Można by. Tylko nie ma w nim ludzi.

Pojąłem, jak mocno człowiek jest związany z własnym gatunkiem. Nie dlatego, że łączy go z nim wspólna świadomość, narosła i ugruntowana w historii tysięcy pokoleń. Chociaż dlatego także. Najważniejsze jest jednak to, co chciałoby się jeszcze zrobić, wspólnie z tym swoim gatunkiem. Wspólnie i dla niego. Bo inaczej nie miałyby sensu wszystko, co robi się dla siebie.

Śmieszne. Bo i o cóż ostatecznie chodzi, jeśli nie o uczucie.

Coś tak osobistego, jak tylko być może. Czy robiłem coś myśląc tylko i wyłącznie o sobie? A czy robiłem coś innego?

Kiedyś zmieniłem program zainstalowany w mojej osobistej aparaturze stymulującej. Żeby zapamiętać miłość. No i mam ją w sobie. Czy mi to przeszkodziło? Nie mógłbym powiedzieć, że tylko dzięki niej przebrnąłem zwycięsko przez strefy zerowe, kiedy zerwały się wszystkie zewnętrzne i wewnętrzne obwody informacyjne, jakie, jak sądziłem, warunkują powodzenie każdego przedsięwzięcia. Nie mógłbym tak powiedzieć, bo być może, poradziłbym sobie jakoś i bez tego.

Ale dlaczego przeciwstawiłem się wtedy surowym przepisom centrali, zmieniając program osobistej aparatury? Chwilowa słabość? Przecież zrobiłem to pozostając cały czas w kręgu psychotronu. Jak więc mogłem to zrobić, jeśli naprawdę tego nie potrzebowałem? Właśnie aby działać skuteczniej i bardziej niezawodnie?

Nie da się ukryć, myślałem tylko o sobie. I robiłem wszystko dla siebie. Nie dla Itii. Mniejsza o Itię. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę nie chodzi o Itię. Zresztą może wiedziałem o tym już od dawna?

Teraz też jestem tu dla siebie. Dlatego przyleciałem sam. Nie miałem prawa mieszać w to innych. Muszę mieć Ustera. Muszę go mieć na Ziemi. Oddać go Itii. Bo nie zapomniałem. Reszta to tylko prosta konsekwencja.

* * *

Kiedy go ujrzałem, znajdował się już nie dalej niż o dwieście metrów. I teraz byłbym go jeszcze nie zauważył, zatopiony w rozmyślaniach, gdyby nie to, że podniósł ramię i coś do mnie krzyknął.

Wstałem. Odwróciłem się i powoli poszedłem w stronę projektora. Nie był już potrzebny. Z ręką na wyłączniku, spojrzałem jeszcze w stronę nadchodzącego.

Szedł mocnym, równym krokiem, nie spiesząc się specjalnie. Był bez kasku, w lekkim, treningowym kombinezonie. Idąc kołysał się nieznacznie w biodrach, jak stary żeglarz. Zawsze tak chodził. Wielkie, mocne chłopisko. Facet z inforpolu. Przyjaciel.

Był już blisko. Znowu uniósł ramię i odrobinę przyspieszył. Teraz dopiero spostrzegłem, że cały czas się uśmiecha.

* * *

Przeniosłem wzrok na ciągle jeszcze przesłaniający miasto, zawisły w powietrzu obraz anatomii człowieka. Nie wiem, skąd przyszedł mi nagle na myśl posąg zwycięskiego wodza starożytności.

A więc zrobiłem to. Pomimo wszystko. Mogę wrócić. Do tego, co zostawiłem dla siebie. Wrócić do Liny. Zapewne miesiące minęły już od chwili, kiedy zrozumiałem, że ją kocham. Teraz mogłem to sobie powiedzieć.

Przekręciłem kontakt. Ułamek sekundy trwał jeszcze w powietrzu precyzyjny rysunek postaci człowieka. Nadnaturalnie wielki, z dokładnie zaznaczonymi centrami i węzłami nerwowymi, zwojami mózgu, czerwonymi szlakami żył, zbiegającymi się w okolicy serca. Pomyślałem, że nie potrafiłbym powiedzieć, czy przywiozłem ten obraz tutaj, w strefę obcego słońca, aby pokazać go innej, galaktycznej rasie, czy też tylko po to, aby przyjrzeć mu się samemu. Pomyślałem również, że to jedno z tych pytań, które mogą pozostać bez odpowiedzi.